

MIESIĘCZNIK

1(52) STYCZEN 1987 CENA 80 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839



ZALEJSKI • ROGINSKI

METROPOLIS

Maria – robot
z filmu
METROPOLIS
Fritza Langa



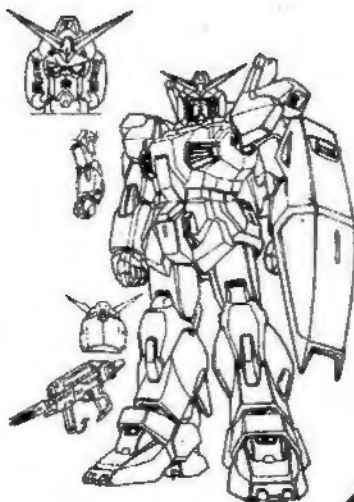
mówiąca
lalka
mechaniczna
- 1794

Lepsze niż CZŁOWIEK...

Trzy prawa robotyki:

1. **Robot** nie może wyrządzić nic złego człowiekowi ani też przez brak czynnej reakcji dopuścić, aby człowiekowi stała się krzywda.
2. **Robot** musi wykonać każdy rozkaz człowieka, pod warunkiem, że rozkaz ten nie jest sprzeczny z Prawem Pierwszym.
3. **Robot** ma obowiązek chronić przed uszkodzeniem lub zniszczeniem swój mechanizm i powłokę, jeżeli taka ochrona nie koliduje z Prawem Pierwszym i Drugim.





Tym razem w naszej „Galerii” wizerunki automałów, robotów i sztucznych ludzi. Tych już skonstruowanych i tych widzianych oczami malarzy, grafików, ilustratorów różnych epok. Niektóre z przedstawionych podobizn ocierają się o granicę kiczu, inne są sztuką stosowaną lub mają wartość zaledwie historyczną i budzą uśmiech jak stare powieści Verne’a. Jeszcze inne fascynują, przyciągają uwagę, niepokoją. Spotkanie robotów i ludzi już nastąpiło. Jaki będzie świat przyszłości? Czy taki, jakim wyobrażają go ilustratorzy SF?

Galeria „Fantastyki” – Lepsze niż człowiek...

Opowiadania i nowele

Greg Bear
Martwy kurs

Jaroslav Petr
Ściegno Achillesa

✓ Jaroslav Veis
Na zdrowie

Bruce Sterling i Lewis Shiner
Mozart
w przeciwsłonecznych okularach

4

12

13

15

„... Możecie się teraz trochę przejść – powiedziałem do wszystkich. – Wypuszczę tych z pierwszej przyczepy.

Otworzyłem boczne drzwi i umarli zaczęli wychodzić. Niczym nie śmierdzieli, nie wyglądali nędźnie, po prostu trochę blade...”

„...pędził na lekkim, aerodynamicznym monstrum z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, jak gdyby nie przesiedział na siodełku niemal całego dnia. Słyszał megafony i szalony ryk tysięcy ludzi...”

„...świecące rurki tworzyły kieliszek na wysokiej nóżce z którego ulatywały bąbelki. Aby nikt nie musiał wątpić o jakości napoju, bąbelki były oznaczone O_2 i O_3 ...”

„...Historia jest jak drzewo, rozumiesz? Jeżeli zawracasz i łazagasz w przeszłości, inna gałąź historii oddziela się od głównego pnia. Wasz świat jest po prostu jedną z takich gałęzi...”

Powieść

Frederik Pohl
Kupcy wenusjańscy

21

„Bardzo potrzebowałem pieniędzy. Wiecie, miałem taką drobną dolegliwość wątroby. Była bliska kompletnej wysiadki. Jak mi wytnąli lekarze, miałem trzy możliwości: albo wrócić na Ziemię, by pomścić się jeszcze trochę na zewnętrznej protezie, albo zdobyć pieniądze na przeszczep. Albo umrzeć...”

Z polskiej fantastyki

Tadeusz Meszko
Pożeracz szarości
Praca nadesłana na konkurs „Fantastyki”

45

„...Po chwili na skroniach poczuła delikatne dotknięcie mroźnych i oślizłych macek. Mimowolnie wzdrygnęła się, lecz zaciśnięta mocniej oczy i spokojnie czekała. Naraz w jej ciele wstąpiło gorąco, uczuła ogarniającą drętwotę; przestraszyła się, że ginie, ale zaraz zapomniała o wszystkim. Zapomniała, że siedzi na śliskim konarze, pośród chłiwych bagien, a za jej plecami czai się nieznany stwór...”

Krytyka

Pieśń kata,
czyli moje widzenie fantastyki

53

Marek Oramus nie poddaje się egzorcystom (por. „Fantastyka” nr 12/86), wręcz przeciwnie – proponuje zamianę ról. Polemikę podsumowuje Adam Holianek („Na smyczy Lema?”, str. 55).

Słownik polskich
autorów fantastyki

56

Hanna Malewska (1911–1983) i Krzysztof Wiesław Malinowski (ur. 1946) Na „pożółkłych kartkach” fragment powieści (i. Malewskiej „LLW, czyli co się może wydarzyć jutro”.

Recenzje

58

Leszek Bugajski o powieści Konrada Fiałkowskiego „Adam, jeden z nas”. Rafał A. Ziolkiewicz o serii debiutanckich tomików wydanej przez „Almapress” Krzysztof Sokolowski o zbiorze esejów Arthura C. Clarke’a „1984 Spring: A Choice of Futures”.

Nauka i SF

Trójgłos w sprawie
prababki Ewy

60

Czy wszyscy przedstawiciele Homo sapiens są potomkami kobiety żyjącej 200 000 lat temu w Afryce? Hipotezy biochemików potwierdza znawca mitologii Sumerów i paleoastronomiki Zacharia Sitchin!

Koniec Wszechświata?

62

Etap I: gasną gwiazdy... Etap V: znikają ostatnie czarne dziury – Maciej Flowiecki o hipotezach dotyczących przyszłości najdalej, ostatecznie.

Film i fantastyka

Szulkinada!

III

Maciej Parowski o najnowszym filmie Piotra Szulkina „Ca, ga – chwata bohaterem”.

Nie chcę być naiwnym obrońcą czy też chwalcą fantastyki, uważam bowiem tę naszą dziedzinę pisarstwa lub powiedzmy bez żenady, literatury – za w pełni dojrzałą do samoobrony, nawet wobec najbardziej „sophisticated” ataków krytyki. Niechby to była krytyka elitarna, stawiająca na zjawiska najważniejsze historycznie. Jakkolwiek wydaje mi się, że w dzisiejszym pojęciu ataku krytyki tkwi przede wszystkim jego literackość, jego zindywidualizowanie – najważniejsze – jak w każdym akcie twórczym. Trudno więc w takich warunkach antycypować kto będzie wielkim pisarzem, a kto odpadnie z konkurencji historycznej. Zwracając zresztą już nieraz na tych łamach uwagę na szybką rotację idoli pisarskich: ci, których wyczytywano do inwentu i uważano za najważniejszych – ułękają dzisiaj zbyt często w pięknych oprawach na półkach prywatnych bibliotek, jako przedmiot snobizmu, lecz absolutnie nie emocjonalnych czy intelektualnych olśnień.

Niestety, dla mnie osobiście niestety, choroba szybkiego przemijania, stając się coraz bardziej naturalnością, zwyczajnością, dotyka największych pisarzy, zarówno światowych, jak i rodzimych. I trudno na to cokolwiek poradzić. Siłą nie da się nikogo przekonać do lektury trudniejszej, bardziej ekskluzywnej niż ta, którą wszyscy kochają. Zresztą tak bywało nie tylko dzisiaj, zakazane książki zawsze zaczytywano w szkole pod ławkami, mimo grożących dwój, a wiedzę o oficjalnie wynoszonej na piedestał literaturze czerpali młodzi jakże często jedynie z bryków. Nie przecierajmy więc obrazu teraźniejszości. Fantastyki zresztą broni chociażby fakt wydania przez nią najpopularniejszego na świecie pisarza polskiego współczesności, jakim jest bez żadnych wątpliwości Stanisław Lem, a wyszedł on przecież, wyrósł z masowej pop-literatury, tak ciągle pogardliwie traktowanej przez naszych elitarnych krytyków. Ale nie przez wszystkich intelektualistów bynajmniej. Jako że Lema czytują w kraju, a przede wszystkim na świecie właśnie ci najbardziej zaawansowani intelektualnie. I to jest fakt, powtarzam fakt bez precedensu w innych dziedzinach naszej literatury, a może i literatury ogólnoswiatowej.

A więc fantastyka, dziedzina nowa w swej karierze na naszym rynku czytelnictwa i pisarskim, wydała już człowieka aspirującego do historycznej nieprzemijalności. Krótszej czy dłuższej – to już inna sprawa. Z jakimi faktami literackimi „nor-



malnego obiegu” da się ten ewenement fantastyki porównać?

Piszę to wszystko pod wrażeniem niezwykłej literackiej wiwisekcji dokonanej przez elitę krytyków i publicystów na małej grupie młodych twórców, którzy zaprezentowali swoje fantastyczne utwory w najnowszym almanachu „Iskier”, ułożonym przez Mirosława Kowalskiego. Rolę wprowadzających spełnili pisarze średniego pokolenia już znani, już częściowo uznani. Nie będę tutaj podawał nazwisk, nie o nie mi bowiem chodzi, lecz o samą istotę sprawy. W kilku dotychczas pokazanych almanachach „Iskier”, poświęconych młodej i najbardziej obiecującej rodzimej sztuce pisarskiej – przewinęła się cała plejada młodej lub bardziej obiecujących talentów. Mimo bardzo skromnego nakładu tych almanachów, nie były one jednak rozchwytywane, podobnie zresztą nie został od razu na pieńku sprzedany almanach (podobno ostatni – dlaczego?) z fantastyką, jakkolwiek wystąpili w nim ci sami autorzy, których drukujemy na łamach „Fantastyki”, czasopisma – nie piszę tego, aby się chwalić – sprzedawanego w kioskach raczej spod lada. Dziwne zjawisko? Znowu niespodzianka? Czyżby nowatorstwo poprzednich almanachów zraziło do tego słopnia czytelników, że nie bardzo kwapili się do rozkupowania prozy – nawet fantastycznej – w wydaniu „Iskrowego” almanachu? A więc dokumentami, dowodami stały się te almanachy z dziedziny socjologii odbioru literatury współczesnej?

Szkoda, że ciekawa inicjatywa ich periodycznego pojawiania się na rynku księgarskim ma się na fantastyce zakończyć, szkoda, że nie zapowiada się kontynuacji – może w nieco zmienionej formie – tych wydawnictw, chociażby pełniły one w końcu jedynie rolę eksperymentu ze sztuką najnowszej, z pisarstwem najmłodszych. Natomiast dobrze się stało, że do wiwisekcji na młodych autorach fantastyki współczesnej zaproszono elitę oceniającą. W

takich ostrych operacjach właśnie odstawia się bowiem nie tylko idee i warsztaty samych początkujących, tych poddanych wiwisekcji, lecz także i ich operatorów. Mimo woli nasuwają się tutaj porównania z klasycznymi dziełami sztuki malarskiej przedstawiającymi czy to scenę z prosektorium, czy też mistrzów, nakłuwających nagą, poddaną sądowi czarownicę w poszukiwaniu na jej ciele miejsc bardziej i mniej bolesnych. W tym szaleństwie jest metoda, takie rzeczy przechodzą, jak widać, w różnych potem formach do polimnności.

Nie mam zamiaru tutaj kruszyć kopii o literacką wartość poszczególnych utworów młodej literatury fantastycznej. Zdania o niej areopagu znawców, którzy wypowiedzieli się w almanachu „Iskier”, były bardzo zróżnicowane – od jawnej niechęci, przesądzającej a priori wszelkie oceny, po pełną zyczliwość dla nowych treści i sposobów ikwiących na przykład w prozie o charakterze – w tym przypadku – wybitnie erotycznym. Zresztą i my też, publikując młody i nie tylko młody literaturę fantastyczną na łamach naszego pisma mamy zawsze do niej stosunek krytyczny, czemu daję wyraz w tych wstępnych felietonach. Myślę jednak, że krytykując fantastykę w naszym piśmie robimy to pozbawieni kompleksu Amadeusza. To znaczy sami, jako autorzy utworów fantastycznych, nie stawiamy się nigdy w roli Salieriego, pragnącego za wszelką cenę wykaazać swoją wyższość intelektualną czy przewagę (fizyczną?) nad Amadeuszem. W sumie jednak pozytywne bywają konfrontacje elity z powszechnością i od czasu do czasu nawet wiwisekcja nie zawadzi. Jakkolwiek określanie wartości utworów pisarskich i w ogóle dzieł sztuki (czy także sztuczki) operuje różnorodnymi skalami, wśród nich zaś ocena typu „to mi się podoba, a to nie” (zastosowana w ocenie utworów fantastycznych almanachy przez czołowego krytyka z kręgu „Twórczości”) zajmuje także niepoślednie miejsce. Nie sposób odróżniać wartościowań intelektualnych od emocjonalnych, o czym nieraz się zapomina. I to tyle na dzisiejsze orbitowanie wokół antologii fantastyki z „Iskier”. Kto wie czy jeszcze jakieś jej egzemplarze nie tkwią na półkach księgarń. Warto je natychmiast wykupić. To nie jakaś reklama – to tylko chęć przekazania naszym Czytelnikom rzeczy inaczej podanej niż większość książek fantastycznych.

10 - 9 - 8 - 7 - 6 - 5 - 4 - 3 - 2 - 1 - 0

Adam Hollanek

Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacj., sekretariat, działy techn., graf., literatury polskiej, 25-30-31 (cał. red. nacj., sekretariat, działy zagr., krytyki)

Redaktor naczelny: Adam Hollanek. **Zespół redakcyjny:** Andrzej Brzuch (kier. działu graf.), Leszek Bugalski, Anna Gładka, Lech Jęczyński (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekret. red.), Zbigniew Leśna (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Wiktor Małski, Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacj.), Krzysztof Szobienia (sek. red.), Dorota J. Toruń, Marek Załuski, Rafał A. Ziemiakiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Mokotowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy, tel. 25-35-36. Skład: Zakład Wydostudniowy RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 3745/86, P-31.

Nakład 150 000

ŁĄDOWANIE XLVII

To już styczeń 1987 roku, jak ten czas leci. Piąty rok od wydania pierwszego numeru „Fantastyki”, a kończy się czwarty tych naszych wspólnych łądowań, w czasie których rozwija się dyskusja, dotycząca pisma i problemów przez nie eksponowanych. Długo, jako podstawa do dyskusji, będą nam służyły głosy czytelników nadesłane w odpowiedzi na drugi sondaż. Trochę z nich już zacytowaliśmy, wprowadzając najczęściej wyrzykowo, z powodu zalecaniej zresztą w listach zwięzłości. Dziś więc może trochę miejsca na propozycje niecodzienne, nadzwyczajne lub wręcz dziwaczne. Rozrzuł zawodów i zainteresowań naszych Czytelników jest jednakże tak duży, że w gruncie rzeczy nawet skrajnie brzmiącym propozycjom warto poświęcić choćby trochę miejsca.

Wielec pogranicza

Diabli będą brać prawdziwych fanów, gdy przeczytają tę moją korespondencję, a niech ich biorą, czy tylko dla nich jest to pismo, czy wszystkie w nim zawarte materiały powinny dotyczyć czystej science fiction lub nawet niezbyt czystej, ale za to jakże nawięcej – fantasy. To już na nic innego nie może być placu? Dajecie nieśmiało w dziele „pożółkłych kartek” czy w ramach krytyki rzeczy z pogranicza fantastyki i głównych nurtów literatury (jeśli w ogóle powinno się wprowadzać taki podział), pisaliście o Witkacym, który absolutnie fantastyką w sensie klasycznym nigdy nie był, pisaliście o Borgesie, o literaturze iberoamerykańskiej, zamieszczacie fragmenty zaledwie prozy i to mało mające z fantastyką wspólnego, autorów z pogranicza czy nawet spoza pogranicza. Nie macie jednak dotychczas odwagi, aby choćby dla porównania z fantastyką na przykład młodych pisarzy polskich, zamieścić od czasu do czasu utwory prozy zwyczajnej, niefantastycznej. W ten sposób „Fantastyka” nabierałaby rumieńców współczesności i w pełniejszy sposób spełniała swoje literackie obowiązki wobec szerokiej publiczności, przez którą także bywa czytana, nie jedynie przez samych fanów. Rozważcie tę propozycję.

Jan Ciech wraz z grupą polonistów z Południa Polski

Skazani na przypadek

Polityka naszych wydawnictw przypomina mi nasze rybołówstwo. Jedzie się w siną dal morską i zagłębia sieć, odławiając przypadkowo trochę okazów fantastyki. Stąd i powtórzenia całkiem bezsensowne (także i u Was), i dublety (także u Was), i fatalny sposób na poszukiwanie i prezentację młodych talentów (nie u Was). Myślałem, że jak wychodzi takie czasopismo literackie jak „Fantastyka” to wpłynie lub próbować będzie wpłynąć na to, co się w kraju wydaje. A także co naszego powinno wychodzić za granicą.

Tymczasem każdy tak robi jak ci nasi rybacy (...). Partyzanika. Nie ma daj Boże. Są wydawnictwa, specjalizujące się w wydawaniu staroci, tylko dlatego, że za to się autorom nie płaci, a SF i tak w księgarniach poleci, każdy głupi ją kupi. Imi publikują dzieła swoich znajomych, podziękujących, przypadkowo wpadających na takie łąd-

ców” (tłurców) fantastyki. Dzieciuchów, którym się zdaje, że każdy, kto ma trochę wyobraźni, może zostać pisarzem (...). Najgorzej zresztą z tym dzieje się w fanzinach. Dlatego bardzo się dziwię nagrodom „Fantastyki” dla różnych fanzinów, za ich utwory-potwory. O tłumaczeniach, o ich jakości lepiej w ogóle nie wspominać, to już chałupnictwo najwyższej marki, wszystko złe po polsku, że w odniesieniu do oryginałów i to się jeszcze za grube słowy sprzedaje jako „wydawnictwa klubowe”. (...) Ja bym tych wszystkich wziął za ... i dwadzieścia pięć na goło wyspał, bezwstydnie to, bezczelnie i...

Stały czytelnik Jerzy Torasiewicz

Skróty i opuszczenia epitetów w wykonaniu redakcji.

Wyrzucie plastykę

Komu to się u Was, panie Hollanek, zdaje, że stworzył nową szkołę polskiej fantastyki? I pan takim także polakuje. A przecież to bujda na resorach, pic i nawalanka. Jeszcze jaka nawalanka. Huśtanie się na granicy lub już za granicą kiczu. Jakies porozbierane niby-księżniczki, jakieś rozbebeszone urządzenia techniczne, nie wiadomo do czego służące, jakiś pan z Francji kokietujący gołymi pośladkami swoich bohaterów. Po co to wszystko?

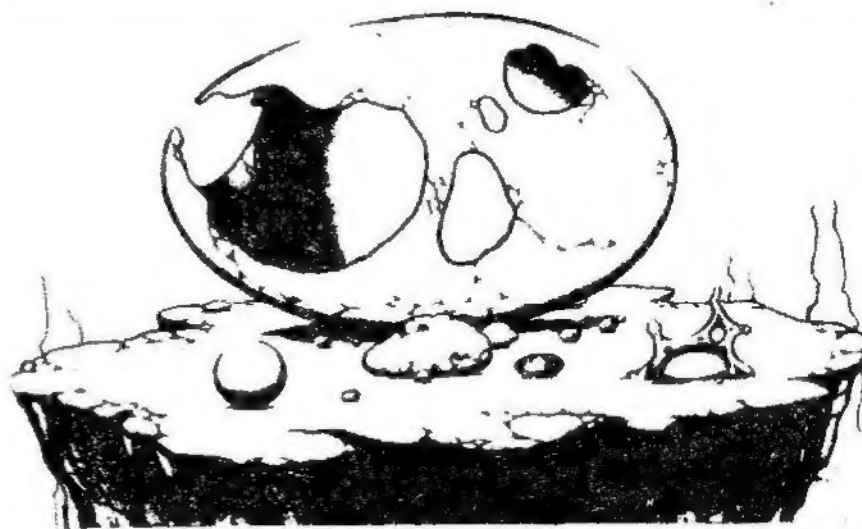
Ja rozumiem, że Wy musicie mieć jakieś okładki i musicie popozować trochę na zagranicę, ale co to z polską szkołą ma wspólnego? Proszę bardzo, niech się na

okładkach śliskich i z polyskiem odbywają te wszystkie zabawy w plastykę, choć czasem to i płakać się chce, gdy Wasi, pożałujcie Boże „turpiści” demonstrują nam, czytelnikom poszukującym pogody życia, na gie kości. Jeśli z tych kości zrezygnujecie, to bym Wam pozwolił na okładki takie jak dotąd, chociaż mało wyliczylibym, gdyby mnie zapytano, które z nich ciekawe. W sondażu wziąłem udział i rąbnąłem, że żadna okładka mi się nie podoba i oczywiście nie dostanę pewno za to nagrody, ale co mi tam z tych książeczek, które możecie kupić w księgarniach. Barachło! Po co jednak, w jakim celu zagracać wnętrza pisma podłą makulaturą, nie najlepszymi dziełami szkoły polskiej (na czym ta szkoła polega?) zamiast dawać dobre teksty, do czego przede wszystkim jesteście powołani i z tekstami najczęściej trafiaacie w dziesiątkę. Zastanówcie się, nie dawajcie zarobić partaczom, a i zawodowcy nasi z największymi „światowymi nazwiskami” nie lepsi. Cześć pracy.

Józef Wisłocki z Krakowa

To oczywiście jeszcze nie cała porcja wydziwiał, nieco innych niż zazwyczaj, niektórych wartych dyskusji, wartych zajęcia stanowiska zarówno przez redakcję jak i przez samych Czytelników. Wobec tego czekam i nie komentuję. Zwłaszcza że chowam w zanadrzu jeszcze jedną porcję takiego jak powyższy pasztetu dla Szanownego Państwa i dla nas do przetknięcia.

Redaktor



Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Jana Papugi

Wydawnictwo „GLOB”, Oddział ZLP, Zachodniopomorski Oddział Stowarzyszenia Marynistów Polskich w Szczecinie oraz Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie ogłaszają V Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Jana Papugi na odpowiadanie sensacyjno-rozrywkowo dla czytelnika młodzieżowego i dorosłego.

- Konkurs ma charakter otwarty.
- Utwory przysyłane na konkurs powinny mieć objętość nie mniejszą niż 1 arkusz autorski (ok. 22 stron znormalizowanego maszynopisu).
- Utwory konkursowe nie mogą być dotąd nigdzie publikowane (nawet we fragmentach).
- Każdy autor może nadesłać dowolną liczbę prac.
- Do pracy konkursowej należy dołączyć zamkniętą kopertę z uwidocznionym na niej godłem, zawierającą imię i nazwisko oraz adres autora.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody: I – 40 tys. zł. II – 30 tys. zł. trzy III – po 20 tys. zł. pięć wyróżnień po 15 tys. zł. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród.

Maszynopisy, utworów w 3 egzemplarzach (opatrzone godłem) należy nadsyłać do 20 stycznia 1988 pod adresem: Zarząd Oddziału ZLP w Szczecinie, ul. Łukasiewicza 8, 71-317 Szczecin, z dopiskiem: Konkurs Literacki.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w maju 1988. Organizatorzy zastrzegają sobie pierwszeństwo publikacji.

powinna brać, że to nic nie pomaga i że żadnych więcej prochów, ale mnie błagała. To co miałem zrobić? Przecież ją kochałem!

Nie patrzył już na drogę tylko w dół, na swe znoszone buty. Ona mnie błagała, człowieku! No, więc coś jej tam dałem. I kiedy nie patrzyli, wzięła wszystko na raz. Zwyczajnie, wszystko. Zrobili jej pukanie, ale w środku już nic nie działało. Usłyszałem o tym dopiero dwa dni temu i aż mnie poraziło. Tylko ja ją kochałem i nawet mi nic nie powiedzieli! Musiałem dopiero pójść do jej pokoju i zobaczyć puste łóżko. Jezu! Siercałem koło związku taty, ktoś coś komuś powiedział i znalazłem ją na liście. Dolna Droga.

- Ja tam z tych dodatków nie korzystam - powiedziałem po prostu po to, żeby było jasne, że nic nie mogę mu pomóc. - Ci z tyłu mają wystarczająco wiele zmarłych bez mnie. Sądzę, że związek posunął się w tym trochę za daleko.

- Zażę sie, że myślą, że możesz poczuć się samotny, potrzebować jakiegoś towarzystwa - powiedział Billy cicho, patrząc mi w oczy. - Ja nie skrzywdzę tych ludzi z przyczepy. Może dam im szansę, żeby... no wiesz... żeby sobie to wszystko jeszcze raz przemyśleli. Może dam im parę godzin ulgi, odpoczynku od Pick...

- Słuchaj, parę godzin nic nie znaczy w porównaniu z wiecznością. Nie jestem taki pewien, czy z czasem do nich nie dołączę, a jeśli tak, to chce, żeby wszystko poszło gładko, żeby mnie nikt nie wyciągał z przyczepy i nie pchał tam z powrotem.

- Racja, rozumiem cie, rozumiem, jak to jest. Ale ona może jechać właśnie teraz i wszystko, co powinienes zrobić to tylko...

- Wystarczy, że muszę prowadzić ten wóz - chciałem po prostu zmienić temat.

- No, jak to się stało?

- Kilka wypadków, składka ubezpieczeniowa poszła w górę, nie dałem rady z opłatami i składką i w końcu zabrali mi ciężarówkę.

- Mogłeś jeździć bez ubezpieczenia.

- To nie ja. No i zaczęło się gadanie. Żadna firma nie chciała mnie wynająć. Poszedłem do związku, chciałem zobaczyć, czy nie mogą mi pomóc. Powiedzieli, że jestem skończony, albo dam sobie spokój z szoferką, albo - wrzuciłem ramionami - to. Nie mogłem rzucić szoferki. Ciężko teraz dostać pracę. Dużo bezrobotnych. Nie mogłem wyobrazić sobie siebie na taryfie, w wielkim mieście.

- Nie, człowieku - powiedział Billy, znów kiwając się cały w potwierdzającym geście i śmiejąc się współczująco.

- Dali mi zaliczkę. Starczyło na wpłacenie pierwszej raty na wykup wozu.

W silniku coś zazgrzytało, ale ciężarówka trzymała się kupy. Za górami, za bardzo malowniczą, jakby wyjętą ze starego sztychu przeleczą, w bardzo kamienistej dolinie leżało Miasto.

- Myślę, że lepiej będzie jak tu wysiąde. Zaczępie się w jakimś innym wozie, popytam kierowców - powiedział Billy.

- Ja tam poczułbym się lepiej, gdybyś się stąd ze mną wyniósł. Chcesz rady? - Kiepski zwyczaj. - Wracaj do domu.

- Nie. Nie bez Sherill. Spróbuje coś załatwić. Ja zostanę, ona pojedzie Górną Drogą. Takie są tam reguły gry, nie?

Na szczybie przełęczy zjechałem na bok i wysadziłem go. Pomachał do mnie, ja pomachałem do niego i każdy ruszył swoją drogą.

Miasto wyglądało na jakąś bardzo starą stolicę pełną wielkich białych katedr. Nie tak, jak powinno. Na obwodzie wysoka ściana, ciągnąca się jak okiem sięgnąć. Nie widać horyzontu, tylko zanikająca perspektywa, ściana, która wydaje się nieskończona, jak przewrócona na bok autostrada. Gdy skierowałem ciężarówkę w dół, po zboczach, hałasy w przyczepach znów się nasiliły. Czuli, jak sądzę, co się zbliża, jak świny spotykające człowieka z nożem. Podjechałem do punktu rozładunkowego i postawiłem pierwszą przyczepę pod ogrodzenie. Pracownicy otworzyli bramę i używając jakichś dziwnych szpikulców zagnali martwych do środka.

Ci ludzie przeżyli już ból śmierci. Nie chciałem nawet myśleć o narzedziach, jakich używają pracownicy, żeby ich tam zapędzić.

Odczepiłem pierwszą przyczepę i obfnąłem się z drugą. Wylazłem z szoferki i zsunąłem się na ziemię. Podeszedł do mnie pracownik, wielki facet z czerwonymi oczami, ubrany w nowiutki kombinezon.

- Dobry ładunek? - zapytał. Jego oddech pachniał jak po posilku z kapusty, fasoli i czosnku.

Potrząsałem głową i wyciągnąłem papierosa po ogień. Przycisnął do niego paznokieć, czubek rozbił się i zaczął się żarzyć. Pracownik patrzył na peta z prawdziwą żądzą w oczach.

- Słuchaj - powiedziałem - macie tu kogoś imieniem Sherill? - Przeliterowałem mu to imię.

- A kto pyta? - burknął, ciągle patrząc na peta. Zaczął odchodzić.

- Jestem po prostu ciekaw. Słyszałem, że znacie wszystkich.

- Wier?

Zatrzymał się. Musiał chodzić w kółko, inaczej jego stopy topiły trochę asfalt i przyklejały się do niego. Wrócił do mnie i zatrzymał się podnosząc jedną nogę, obracając się trochę, stawiając ją i podnosząc drugą.

- Jest kilka Cheryl. Żadnej Sherill. A teraz....

Dałem mu papierosa. Uwielbiali je

- Dziękuję - powiedziałem.

Szybko wsunął peta w usta i przeżuł, a na jego pokrytej bliznami głowie pojawił się wyraz błogości. Przełknął i dym z palącego się tytoniu buchnął mu z nosa.

- Nie ma za co - powiedział i odszedł.

Wrociłem pustym wozem do Baker. Osiem godzin później leżałem w łóżku z puszką piwa w dłoni, czekiem na stolyczku i szeroko otwartymi oczami.

Gówno! Odezwało się moje sumienie. Myślałem, że mam to już za sobą. Przecież nie korzystałem z przywilejów i nie jeździłbym bez ubezpieczenia. Zdaje się, że nie bardzo nadawałem się do życia.

Następna podróż wypadła mi zimnym wieczorem, a droga biegła przez ponury, płaski kraj pełen szkieletowych drzew, szarych, jakby wyciętych z papieru. Kiedy zjechałem na pobocze, żeby się trochę zdrzemnąć - nigdy nie spałem bez przerwy dłużej niż dwie godziny - dochodzące z przyczep krzyki potępionych zaczęły mi przeszkadzać bardziej nawet niż zwykle. Słyszałem takie idiotyzmy, jak:

- Panie, przecież może nas pan odwieźć z powrotem. Naprawde pan może!

- Może?

- A gówno, pieprzony skurwiel!

- Przecież może nas pan puścić. Nie skrzywdzimy pana, nie jesteśmy w stanie. Naprawdę!

W tym przynajmniej nie łgali. Szoferzy żyli, a umarli nie mogą skrzywdzić żyjących. Tyle, że słyszałem co się zdarza, kiedy się ich wypuści. Wiozłem chyba z dziesięćdziesiątkę, a w każdym ładunku jest zawsze ktoś, kto sprawia, że miałoby się ochotę na skorzystanie z przywilejów.

Leżałem na wąskiej kanapce w szoferce i zastanawiałem się mocno co by tu zrobić. Patrzyłem na kalendarz Sierra Club wiszący tuż pod wentylatorem. Diabelska Skala. Ładunek uspokoił się, głosy cichły jeden za drugim. Zabrzmiał ostatni krzyk - jakieś świnstwo - i zapadła cisza.

Właśnie wtedy postanowiłem wypuścić ich i zobaczyć, czy może jest wśród nich Sherill lub ktoś, kto ją zna. Spotykali się przecież wszyscy w Bazie, mieli ostatnią szansę na odrobinę towarzyskiego życia przed Miastem. Może ktoś coś wie? A później, jeśli znów zobaczę Billa...

No i co? Co mógłbym dla niego zrobić? Przycisnął Sherill wspinał się, ale i ona miała w tym swój udział, a Piekło jest właśnie od tego. Biedne, głupie skurwysyny.

Wylazłem z szoferki, zakładając koszulę i wciskając słomkowy kapelusz głębiej na oczy. „Hej” krzyknąłem idąc wzdłuż przyczep. Spomiędzy rozstawionych na dwa cale, pomalowanych na białe pretów patrzyły na mnie ich twarze.

- Mam zamiar was wypuścić. Na chwilę. Potrzebuję informacji.

- Pytaj! - wrzasnął ktoś. - Po prostu pytaj, do cholery!

- Wiecie, że nie możecie uciec, że nie możecie mnie zranić, że jesteście martwi. Wiecie?

- Wiemy - odpowiedział inny głos spokojnie. - Może będziemy mogli ci pomóc.

- Mam zamiar otworzyć obie przyczepy, jedną po drugiej.

Podeszedłem najpierw do tylnej, wyjąłem klucze i zdjąłem kłódke. Otworzyłem drzwi i stanąłem trochę z boku, jakby wylec miała ropa z jairzącej się rany.

Wszyscy byli nadzy. Nie brudni i nie chorzy, nie - po prostu martwi. Wokół każdego unosiła się jakaś nieuchwytna aura wskazująca, za co trafił do Piekła, nic określonego, raczej coś podświadomego.

Tak jak u tych trzech czarnych z tylnej przyczepy, którzy wysiedli pierwsi. Z ich twarzy łatwo było odczytać, za co tu trafili.

- Głupi pierdziel - powiedział jeden, patrząc na mnie spod cienkich, wyraźnie zarysowanych brwi. Kiwnął głową, zwinął dłonie w pięści i spróbował od zewnątrz wytłamać prety, choć te ciosy ledwie wprawiały je w drżenie.

Zeszła też z przyczepy stara, siwowłosa, porządnie uczesana kobieta. Nie byłam pewien, co zrobiła - sprawiła jednak, że poczułem się nieswojo. Po niej pojawili się inni, młodzi i starzy, przeważnie starzy. Spokojni. Patrzyli na mnie, niektórzy wyzywający, inni po prostu oszołomieni.

Chce wiedzieć, czy jest tu jakaś Sherill, która zna faceta imieniem Billy?

- Ja mam tak na imię - odpowiedziała ukryta w tłumie kobieta.

- Chcę ją zobaczyć - machnąłem na nią ręką.

Trzech czarnych wyszło naprzód. Ich oczy błysnęły dziwnie i wszyscy zaraz się cofnęli. Inni też ustąpili z drogi i za ich plecami zobaczyłem młodą kobietę.

- Jak się pisze twoje imię?

To pytanie przeraziło ją. Sylabizowała, powoli, patrząc czy się jej udaje i czy tak właśnie ma być. I bez tego czułem się fatalnie. Miała na imię Cheryl.

- To nie ciebie szukam - powiedziałem jej.

- Może nie specjalnie mnie - odpowiedziała, naprawdę miękko.

Była bardzo ładna, miała pełne piersi, biodra nastolatki i nogi może nie jakieś wspaniałe, ale ładne. Jej czarne włosy przycięte były krótko, a oczy sprawiały wrażenie niemal orientalnych.

- Możecie się teraz trochę przejść - powiedziałem do wszystkich. - Wypuszcze tych z pierwszej przyczepy.

Otworzyłem boczne drzwi i umarli zaczęli wychodzić. Niczym nie śmierdziało, nie wyglądali niedźwie, po prostu trochę blade.

- Szukam kobiety imieniem Sherill - powtórzyłem.

Nikt nie wystąpił. Poczulem nagie, że ktoś podszedł do mnie z tyłu i obróciłem się. To była Cheryl. Uśmiechała się.

- Chciałabym na chwilę usiąść z przodu.

- Każda z nas by chciała, siostró - wtrąciła się kobieta z siwymi włosami. Czarni stali z boku rozmawiając cicho.

Patrzyłem na nią przełykając ślinę. Inni szoferzy mówili, że oni są naprawdę bezcielesni z wyjątkiem tej jednej czynności. To właśnie był dodatek. I mówili też, że te najlepsze zawsze trafiają do Pieła.

- Nie - powiedziałem. I pokazałem im, że mają wracać do przyczep.

Od początku to był bardzo głupi pomysł. Oni wleźli do przyczep, a ja wróciłem do szoferki zastanawiając się, co mi każe tak właśnie postąpić. Potrząsnąłem głową i ruszyłem. Niedobrze jest myśleć podczas martwego kursu.

- Nic - powiedziałem - cholera. - I dodałem: - Dobrze.

Twarz Cheryl pozostała mi w pamięci.

Ciało Cheryl pozostało mi w pamięci dłużej niż twarz.

Zawsze jest coś, co pojawia się i zwabia człowieka na Dolną Droge, nie jako szofera, lecz jako ładunek. Myślałem, dlaczego Bóg obdarzył każdego z nas tą małą usterką, tą drzazgą w kryształowej duszy. Naciśniesz ją wystarczająco mocno i wszystko się rozpada.

Wracałem ciągnąć puste przyczepy i tym razem oprzytomniałem w małym miasteczku Shoshone. Zjechałem ciężarówką na parking kawiarni i z powodu zimna zostawiłem silnik na chodzie. Była mniej więcej jedenasta rano kiedy wszedłem do na pół pełnej knajpki i znalazłem miejsce przy barze koło staruszka, który miał może ze cztery zęby i alakował nimi francuską grzanekę z bardzo uroczystą powagą. Zamówiłem jaja, zapiekankę i sok, zjadłem szybko i wróciłem do wozu.

Bill stał przy stopniach szoferki w towarzystwie wielkiej kobiety z twarzą jak pysk buldoga, owiniętej brudnym kawałkiem ordynarnego płótna, wyglądającego na wyciągnięte z pojemnika na smieci.

- Cześć - powiedział Bill. - Pamiętasz mnie?

- Jasne.

- Zauważyłem, że tu zajeżdżasz. Chciałem, żebyś poznał Sherill. Wyciągnąłem ją!

Kobieta patrzyła na mnie z inteligencją regły.

- Wszystko się tam pokreśliło. Jakbyś moc im wysiadła albo co. Wyszliśmy po prostu na drogę i nikt nas nie zatrzymał.

Sherill mogła ukrywać dowolnie wiele wspaniałych zalet pod maską swego budzącego grozę wyglądu i nikt ze zwykłych ludzi niczego by nie zauważył, ja jednak nie miałem kłopotu z określeniem, co jest w niej najbardziej nie tak. Była martwa. Popatrzyłem wokół, żeby się upewnić czy jestem jeszcze na świecie. To był świat, a Billy nie kłamał. Jasne, coś się zdarzyło na Dolnej Drodze.

- Kłopoty? - spytałem.

- Mnóstwo ucieczek. - Uśmiechnął się do mnie. - Pan-demonium.

- To się nie mogło zdarzyć - powiedziałem, wiedząc, że nie mam racji.

Sherill zadrżała na dźwięk mojego głosu.

- To szofer, Bill. Lepiej się stąd wynośmy.

Była wokół niej dobrze mi znana aura, ten sam wypalony w duszy znak. Sprawiała wrażenie świni, która właśnie zwiała z rączni i znów widzi rzeźnika. Cofnęła się kilka kroków. „Zarłoczność” pomyślałem. „Nienasycone, ukryta żądza i naprawdę wstredny sposób widzenia świata, całkowicie zniekształcony przez tę gorę miasa”.

- Powiedz mi więcej - poprosiłem Billa.

- Ci tam uciekają i biegają wszędzie, chowają się w tych miastach, diabły ich szukają...

- Pracownicy - poprawiłem go.

- Aha, to bez różnicy.

Sherill szarpała go ponaglać za ramię.

- Musimy iść, Bill!

- Musimy iść - zawtórował jej. - Hej, człowieku, dziękuję. Znalazłem ją!

Pokazałem palcem na Sherill, skinął po swojemu całym ciałem i obydwoje zniknęli w uliczce. Ubranie Sherill ciągnęło się za nią w kurzu.

Wróciłem do Baker, zaparkowałem przed swoim domem i usiadłem w środku, pijąc piwo i sprawdzając w kalendarzu trasę na jutro, a za oknem robiło się ciemno. Marzłem. Miałem zabrać nowy ładunek z Bazy, a nikt nie dzwonił. Gdyby były jakieś kłopoty, związek z pewnością dałby mi znać.

Pojechałem do Bazy wczesnym rankiem. Przejazd między światem a robotą odbył się normalnie. Jechałem zwykłą trasą, błękitne niebo zmętniało w kolor cementu i byłem już na pierwszym odcinku drogi prowadzącej do Bazy. Cofnąłem tylną przyczepę do bramy w ogrodzeniu, a z przednią podjechałem do rampy, cały czas nadstawiając uszu na jakąś ciekawą rozmowę. Pracownicy z Bazy wyglądali całkiem po ludzku. Wziąłem list przewoźny od czerwonego na twarzy faceta z oczami jak kule do bilardu. Splunął na beton dymiącą śliną, tylną na mnie spode łba gdy popatrzyłem na niego pytająco i nic nie powiedział. Być może wszystko było już w porządku. Doczepiłem obie załadowane przyczepy i pojechałem.

Znów jechałem przez pustynię, tylko tym razem miasteczka i zrujnowane domy wyglądały jak rozwalone przez bomby, jakby przeszło przez nie coś wielkiego, kończąc zabawę strzałami z armaty.

Nie przejmuj się. Patrz na drogę. Jedź.

Cztery godziny później trafilem na blokadę. Nikogo przy niej nie było, po prostu wielka barykada z popekanej lawy, ciągnąca się przez wszystkie pasma, a za nią ściana żółtego dymu, który, jak mówiła niepisana instrukcja szoferów, oznaczał absolutny zakaz wjazdu.

Wyszedłem. Ładunek zaczął hałasować. Nagle znienawidziłem ich wszystkich. Mogli przynajmniej odejść z godnością i oszczędzić mi obrazu swego nieszczęścia. Stałem obok wozu, czekając na wskazówki lub przynajmniej jakiś znak tego, co mam robić. Ładunek uspokoił się, lecz zaraz usłyszałem jakieś głosy z boku drogi, głównie wrzaski i to rozlegające się dość daleko.

- Nie ma nic - powiedziałem, zapalając jeden z papierosów Billa (choć nie pale) i zaciągnąłem się głęboko - nic wartego tego gowna. Ani praca, ani godność, nic... Przyrzekłem sobie, że rzucę tę robotę po dzisiejszym kursie.

Usłyszałem, że coś porusza się za przyczepami i podszedłem bliżej schodków do szoferki. Wstęgi dymu najpierw wszystko zasłoniły, lecz potem wynurzył się z nich czarny kształt, wysoki na cztery albo i pięć metrów. Stał, opierając się o pręty dachu tylnej przyczepy.

Chrzkało cicho. Pokryty był nagimi ludźmi, czółgającymi się po nim, gryzącymi, drapiącymi i wrzeszczącymi wstredne obelgi. Opadł na kolana, podniósł się i chwiejnie zszedł z drogi.

Nigdy przedtem nie widziałem pracownika tak wielkiego i w tak wielkich opalach. Ładunek zaczął wyć jak stado zapowiadających śmierć upiórów. Rzuciłem papierosa i pobiegłem za nim.

Ci wszyscy, którzy pracują, powiedzą to samo. Solidarność w robocie rozciąga się nawet na tych, których nie lubisz. Cześć tajemnicy jest to, że jak są w kłopotach, to im pomagasz. A poza tym nasze niepisane instrukcje są w tych sprawach całkiem jasne, a ja nigdy świadomie nie pogwałciłem zasad od czasu, kiedy odzyskałem wóz i nie miałem zamiaru zaczynać teraz.

Biegłem przez dym i wielkie grzbiety lawy i wreszcie zauważyłem go jakieś dziesięć metrów przed sobą.

Strząsnął już z siebie nagich ludzi i stał teraz, trzymając po jednym w każdej dłoni. Jego plecy dymity, łuski sterczały we wszystkich kierunkach. Nieźle poszkodowali sukinyń! Dziesięciu albo i dwunastu zmarłych zbierało się z lawy, bez siniaków, bez zadrapań. Zobaczyli mnie.

Pracownik też mnie zobaczył.

I wszyscy ruszyli w moją stronę, próbując mnie złapać. Obróciłem się i zacząłem uciekać do ciężarówki, potykając się o wyciągnięte ręce i nogi. Włosy stanęły mi dęba na głowie. Ludzie błagali mnie, żebym ich zabrał z powrotem, skowycząc jak bite psy.

Pragnięcie zbudowania sztucznej istoty było zawsze nieukrywanym marzeniem człowieka. Tradycja kultury śródziemnomorskiej notuje przypadki kiedy próbowano postawić się magii (tajemnicza postać Golema z „Talmudu”; legenda o homunkulusie Jehudy Löwa ben Bezalela – XVI-wiecznego rabina z Pragi opisana w 1915 r. w „Golemie” Gustawa Meyrinka). Niekiedy marzenie stawało się faktem, ale magię zastępowała codzienna praktyka życiowa, znajomość praw mechaniki. W czasach antycznych istniały teatry lalek-androidów, które przeżyły okres niesłychanego rozkwitu w XVII stuleciu. Jak głoszą podania, papież Sylwester II skonstruował „mówiącą głowę”, zasięgając jej rad i przepowiedni. W XIII wieku graf von Bollstadt stworzył mechaniczną kukłę, która potrafiła otwierać i zamykać drzwi, a także wypowiadać kilka słów powitania. Automat nie służył jeszcze celom użytkowym, był rodzajem rozrywki i to nader kosztownej. Słynny „gracz w szachy” zbudowany przez Kempelena na początku XIX wieku zrobił zawrotną karierę, a w roku 1809 – jak utrzymywali współcześni – wygrał nawet partię z Napoleonem w Schoenbrunnie. Nic dziwnego, że podobne tematy podejmowali autorzy różnych epok, twórcy beletrystyki fantastycznej. Postać homunkulusa powołanego do życia za pomocą eksperymentów chemicznych pojawia się w opowieści Mary Shelley „Frankenstein albo Nowy Prometeusz” (1819), uchodzącej za jeden z pierwszych tekstów fantastyczno-naukowych. Motyw sztucznego człowieka obecny jest w „Plaskarzu” (1815) E.T.A. Hoffmanna, u E. A. Poe’a w noweli „Von Kempelen i jego wynalazek” (1836) nawiązującej do historii o mechanicznym szachistcie, w „The Artist of the Beautiful” (1844) N. Hawthorne’a, w „L’Eve Future” (1886) J. de L’Isle-Adama. Wypada też wspomnieć o poszukiwaniach autorów zaliczanych do klasyków światowej science fiction: Jules’a Verne’a („Maitre Zacharius”, 1852; „La Maison a Vapeur”, 1880) i Herberta George’a Wellsa („Kiedy Śpiący budzi się”, 1899). Ale w literaturze wysokiego lotu motyw sztucznego człowieka, homunkulusa, wreszcie – robota prowadzi do znacznie głębszych refleksji, analogii. Jest niemal zawsze łączy z toposem „sobowtóra”, alter ego człowieka, a mistrzowie prozy światowej przejmują i opracowują na nowo klasyczne wątki mitologiczne, baśniowe, mityczne. W „Fauście” (1832) Johana Wolfganga Goethego – Mephistopheles jest personifikacją zła tkwiącego w naturze bohatera. Podobne rozwiązanie pojawia się u E.T.A. Hoffmanna w „Diablich eliksirach” (1815–1816) i u E. A. Poe’a („William Wilson”, 1839). W powieści Hoffmanna mnich Medardus wypija eliksir pochodzący od diabła, opuszcza klasztor i udaje się na poszukiwanie kobiety, w której się zakochał. Zbrodnie Medardusa, które popełnia w czasie swojej wędrówki, prowokuje jego sobowtór: działania obu postaci są przejawem ślepych instynktów, wykładnią bezradności człowieka wobec zagrożenia ze strony nie rozpoznanych sił. W „Williamie Wilsonie” E. A. Poe’a drugie „ja” jest duchową emanacją bohatera, rozdwojeniem dotyczącym ciała i sumienia. W znanej powieści Roberta Louisa Stevensona – „Dr Jekyll i Mr Hyde” (1886) tytułowi partnerzy stają się wytworem jednej schizofrenicznej osobowości, wyrazem rozdwojenia jaźni, stanu patologicznego.



Lepsze niż CZŁOWIEK...

Sobowtorem człowieka jest także wspomniany Golem – Gustawa Meyrinka powołany do życia przez rabina w celu obrony społeczności żydowskiej przed prześladowaniami.

Już od zarania literackich dziejów robota, wielu autorów niepokoiła myśl, że harmonijna współpraca pomiędzy człowiekiem a wytworem jego intelektu może przerodzić się w otwarty konflikt. Buntowniczy Golem jest sprawcą zniszczenia, co prawda nie zaplanowanego, ale tym bardziej przerażającego. Homunkulus doktora Frankenstein’a odrzucony przez społeczeństwo mści się za doznane upokorzenia. W miarę upływu czasu narastają kolejne problemy etyczne. Z przeobrażeniami zapoczątkowanymi przez rewolucję naukowo-techniczną sztuczny człowiek coraz częściej wyręcza ludzi w różnych sytuacjach życiowych. Postęp techniczny prowadzi do teoretycznej równości wobec prawa, likwiduje niewolnictwo, ale czyni niewolnikami automaty. Kwestia uzależnienia nie traci zatem na znaczeniu, przeciwnie zaostrza się ze wzrostem doskonałości sztucznej inteligencji. Kreacja robota, maszyny wielofunkcyjnej, obdarzonej wolną wolą (jak

przewidują fantasty) prowadzi do konfliktów, które po raz pierwszy opisał czeski twórca słowa „robot” – Karel Čapek w dramacie „R.U.R.” (Rossums Universal Robots; 1920).

Co prawda, autorzy SF próbują kodyfikować zależności pomiędzy człowiekiem a sztuczną inteligencją (jak I. Asimov w trzech prawach robotyki – „I, Robot”, 1950), ale w wielu prognozach literackich pojawia się wizja zbuntowanego robota, którego człowiek obdarzył wolną wolą (np. J. Williamson – „The Humanoids”, 1950; T. Sturgeon – „The Synthetic Man”, 1952; Ph. Dick – „Do Androids Dream of Electric Sheep?”, 1969). O ile nie jest to służąca do rzeczywistych stosunków społecznych (jak u Karel’a Čapka), kwestia nieposłuszeństwa stanowi podświadomą obawę przed nieoczekiwanym uzewnętrznieniem mocy, które powołaliśmy do życia realizując marzenia o potęgze. Do lęków i niepokojów dołączyła się obawa przed zastąpieniem człowieka maszyną, możliwością teoretycznej wymienności ról – co nie jest wcale utopią w epoce rosnącego bezrobocia, komputeryzacji, coraz doskonalszego, zautomatyzowanego kierowania systemami obrony.

(an)

Pracownik złapał mnie i pociągnął wysoko, poza ich zasięg. Jego dłonie były zimne i twarde, jak trzymane w zamrażarce szczytce. Chrzął i pobiegł w kierunku ciężarówki. Wcisnął mnie brutalnie do szoferki i za pomocą gwałtownych gestów jasno dał do zrozumienia, że lepiej będzie jak zawrócę i odjadę z powrotem. że tu przejazdu nie ma.

Zapaliłem silnik i zawróciłem. Podniosłem szybę. Miałem nadzieję, że umarli nie są wystarczająco materialni, żeby zdrapać farbę albo wyłamać prety.

Nie obowiązywały już żadne reguły.

Wracalem.

Mój ładunek wrzeszczał jak żaden do tej pory. Bałem się, że mogą się wyrwać na wolność, ale się nie wyrwali. Dojechałem do Bazy i znów byli cicho, zbyt cicho by ich słyszeć przez warkot diesla.

Zagrody były puste. Długie, pomalowane na biało, betonowe platformy i wybielone rampy załadunkowe z drewnianych desek wyglądały na opuszczone. Ani ducha za drutami. Niebo miało nieokreślony, szary kolor, a dalekie słońce świeciło blade nad białymi murami budynku dla pracowników. Załzymałem ciężarówkę i wyszedłem, żeby się czegoś dowiedzieć.

Nie było nawet wiatru, tylko cisza. Powietrze ostre, ale nie czuło się specjalnego chłodu. W tej chwili jedyne, czego pragnąłem, to pozbyć się ładunku i wynieść się z powrotem do Baker, Barstow lub Shoshone.

Miałem nadzieję, że ciągle jeszcze jest to możliwe. Ale może wszystkie wyjścia zostały zamknięte? Może nadzorca zamknął je, żeby żadna z dusz nie mogła się wyrwać na wolność?

Spróbowałem zamków przy bramie i okazało się, że mogę je otworzyć. Więc je otworzyłem, wróciłem do ciężarówki, zawróciłem przyczepą tak, żeby stanęła przy rampie. Nikt nie wydał głosu.

- Wyłazcie - powiedziałem. - Wyłazcie. Spędzicie tu więcej czasu niż zwykle. Tylko mnie nie pytajcie czemu.

- Cześć, John - usłyszałem za plecami. Obróciłem się i zobaczyłem starszego mężczyznę, zupełnie gołego. Najpierw go nie poznałem. Na właściwy trop naprowadziły mnie dopiero jego oczy.

- Pan Martin? - Mój szkolny nauczyciel historii. Nie widziałem go chyba ze dwadzieścia lat. I nigdy nie widziałem go gołego.

- To nie ten rodzaj pracy, jakiego spodziewałbym się po moich uczniach - powiedział Martin. Roześmiał się tym swoim miękkim śmiechem, z którego był sławny, śmiechem, który wydawał się umieszczać we właściwej perspektywie wszystko, co powiedział w klasie.

- Koty zwiły, John. Teraz rządzą myszy. Jeśli tylko zdołam, uciekam stąd.

- Jak długo pan tu jest?

- Umarłem chyba z miesiąc temu.

- Pan nie może stąd odejść.

W gardle rosła mi gula.

- Gracz w drużynę - powiedział Martin. - Ciągłe narwany gracz w drużynę, nawet jeśli drużyna ma cię w nosie.

Chciałem się wytłumaczyć, ale odszedł w stronę Bazy i drogi, która z niej wybiegała. Oglądając się przez ramię dodał:

Zmądrzej, John. Rzeczy nie są takie, jakimi się wydają.

Po raz ostatni widziałem go, jak potrząsając głową zniknął za rogiem ogrodzenia Bazy.

Martwi z mojego ładunku wyłamali kilka desek z rampy i wyskakiwali z tylnej przyczepy. Ci z przedniej wrzeszczeli i awanturowali się, trzaskając całym wozem.

„Do dupy z odpowiedzialnością” - pomyślałem. Kiedy umarli poszli za panem Martinem odczepiłem obie przyczepy. Później wsłedłem do szoferki i wyjechałem z Bazy drogą, którą się do niej wjeżdżało.

- Pewne jak nic na świecie - powiedziałem głośno - rzucam robote.

Wydawało mi się, że jadę strasznie długo. Na tej trasie nie byłem nigdy przedtem i żadnym sposobem nie mogłem zorientować się czy dojadę tam, dokąd chce. Ale jechałem tą drogą, już ze dwie godziny, na płaskim cisnąc gaz do dechy.

Powietrze szarżało, jakby ktoś przykreślił kontrast w telewizji. Włączyłem długie światła, ale i to nie pomogło. Trząsałem się jak osika i powtarzałem w kołko: nikt na to nie zasługuje. Nikt nie zasługuje na Piekło niezależnie od tego co uczynił. Byłem przerażony. Robiło się coraz chłodniej.

Mineła trzecia godzina jazdy i przed sobą znów zobaczyłem zagrody i Baze. Droga zatoczyła pętlę. Zakląłem i zwolniłem jeszcze bardziej. Punkty załadunkowe pionyły. Umarli lażili wokół nie wiedząc co robić i dokąd iść. Przyspieszyłem i przejechałem po tych kilku, którzy zostali na jezdni. Zbliżyli się, zderzaki ciężarówki uderzyły w nich, a ja nie powstrzymałem nic, jakby ich tam w

ogóle nie było. Zobaczyłem we wstecznym lusterku jak się przewracali, a teraz wstawiali. Po prostu ich przewróciłem! A potem minąłem punkty załadunkowe i tym razem nie było już żadnych wątpliwości.

Jechałem prosto do Piekła.

Punkt wyładunkowy również płonął. Ale Miasto za nim było jak zawsze błyszczące, białe, nie tknięte. Po raz pierwszy tak się do niego zbliżyłem, przejechałem poza punkt. Mogłem zrobić tylko to lub pogodzić się z myślą, że wszystko się pochrzanilo, stanać i czekać. Pomyślałem, że może tam, w środku, jest normalnie.

Cieżarówka przemknęła między dwiema białymi kolumnami gruhymi chyba na siedemdziesiąt, a może nawet osiemdziesiąt stóp i wysokimi niczym pomnik Waszyngtona. Nie widziałem nikogo, ani pracowników, ani umarłych. Przeleciałem między kolumnami i... to było jak szok.

Żadnego Miasta, żadnych ścian - po prostu wijąca się droga i ze wszystkich stron, nawet z tyłu, wiejski pejzaż.

Pola pokryte były chalupami i domkami w mniejszych i większych skupiskach. Wszystko słoczone ciasno, ludzie pracowali razem na jednym wzgórzu, siedzieli razem na werandach, spacerowali ścieżkami, odwracali się i gapili na mnie, kiedy wóz przejeżdżał koło nich. Nie ma pracowników - i żadnych w ogóle potworności. Żadnych płomieni. Żadnych krwawych jezior i rzek.

Tak to pewnie wygląda z zewnątrz - pomyślałem. - W środku musi być gorzej.

Jeszcze gołzine jechałem przez ten sielski krajobraz, a potem skończyło mi się paliwo. Zjechałem na pobocze i wysiadłem z szoferki, trzaskając się ze zdenerwowania.

Oparty o błotnik, zapaliłem ostatniego papierosa. Drżenie przeszło po chwili, zastąpione uczuciem głębokiego spokoju.

Wszystko ciągle wydawało się ściśnięte i słoczone, lecz nikt nie cierpiał, nie wrzeszczał, nie umierał w wiecznych męczarniach. Drzewa, krzaki, pokryte trawą wzgórza i tysiące, tysiące małych domków.

Wysłarczyło dziesięć minut, by zaciekawieni mieszkańcy zaczęli gromadzić się wokół mnie. Dwóch mężczyzn podszło do ciężarówki i serdecznie skinęło mi głową. Obaj byli w średnim wieku i wyglądali tak zdrowo, jakby żyli. Odpowiedziałem skinieciem.

- Założyliśmy się, czy jesteś jednym z kierowców, czy nie - powiedział pierwszy, czarnowłosy. Ubrany był w proste, recznie tkane portki i koszule. - A jesteś?

- Jestem.

- Więc się zgubiłeś?

Przytaknąłem.

- Może moglibyście mi powiedzieć, gdzie właściwie jestem?

- W Piekło - odpowiedział drugi, parę lat młodszemu i ubranemu tylko w szorty. Powiedział to tak, jakby mówił o przejażdżce z Los Angeles do Long Beach. Nic wielkiego, nic dramatycznego.

- Słyszeliśmy plotki, że na zewnątrz coś się stało - dodała podchodząca do nas kobieta. Miała około sześćdziesiątki i była chuda. Sprawiała wrażenie bardzo nerwowej, ale zachowywała się z kamiennym spokojem. Wszyscy byli spokojni jak glazy.

- Jest tam coś w rodzaju strajku - powiedziałem. - Nie wiem, co się dzieje, więc szukam jakiegoś pracownika, żeby mi wyjaśnił.

- Tak głęboko się nie zapuszczają - powiedział pierwszy mężczyzna. - My tu rządzymy. To znaczy, nikt nam nie mówi, co mamy robić.

- Ty żyjesz? - zapytała kobieta z dziwną nadzieją w głosie. Naokoło nas już gromadzili się inni, cały tłum. Stali nieruchomo, gapili się i gadali.

- Nie mogę was zabrać z powrotem. Sam nie wiem, jak się stąd wydostać.

- My nie możemy wrócić - powiedziała kobieta. - Tam już nie ma dla nas miejsca. Chcemy tylko, żebyś nas posłuchał, dobrze?

Podchodziło ich coraz więcej i znów zacząłem się denerwować. Stałem w miejscu, starając się sprawiać wrażenie spokojnego.

Greg BEAR

Autor amerykański urodzony w 1951 r. debiutował zaledwie w 18 lat późniejszą opowieścią „Destroyer”. W 1984 r. zdobył obie nagrody - Hugo i Nebula - za długie opowiadanie „Blood Music”. Jego specjalnością są nastrojowe, często apokaliptyczne opowiadania. Jest również autorem kilku powieści, m.in. „Infinity Concerto”, nawiązującej do romantycznego poematu Coleridge’a „Kubla Khan”.

go, a martwi gromadzili się wokół, patrzyli na siebie wzajemnie i na mnie, patrzyli z nadzieją.

Nigdy nie myślałem o nikim oprócz samego siebie powiedział jeden. Inny przerwał mu:

- Człowieku, spędziłem całe swoje życie, nienawidziłem wszystkiego i wszystkich. Wypaliłem się.

Myślałem, że jestem najwspanialszy, że mogę wszystkich sądzić...

- Byłam najgłupszą cholerną babą, jaką znasz. Byłam maciorą, świnią. Prosiłam się i puszczałam dzieciaki wolno, bez pomocy, opieki. Byłam głupia, okrutna. Ranila...

Nigdy o nikogo nie dbałem. I o mnie nikt nigdy nie dbał. Zostawiono mnie, żebym gnął w wielkim mieście, a nie byłem wystarczająco dobry, żeby nie zgnieć...

Wszystko co robiłem było kłamstwem od czasu, kiedy skończyłem dwanaście lat...

- Posłuchaj mnie, człowieku, tu boli, to boli tak bardzo...

Oparłem się o ciężarówkę. Ustawili się teraz w kolejce, porządek, zupełnie nie jak tłum. Przemknęła mi przez głowę szalona myśl, że zachowują się o wiele lepiej niż ludzie na Ziemi, a przecież są potępieni.

Były gлина powiedział mi, co robił ludziom w więzieniu.

Były fałszywy Jezus powiedział, że mieć Jezusa na ustach to jeszcze nie wszystko...

- Mogłem się nim stać, człowieku, mogłem się nim stać!

Przyszła na mnie czas, a ja byłem przez to wszystko złamany, po prostu złamany, człowieku. Tylko ciągle sam sobie podstawałem nogę, ciągle podejmowałem złe decyzje...

Spowiadali się przede mną, a ja zaczynałem płakać. Ich twarze były tak czyste, jasne, a znajdowali się tutaj, tu mi się spowiadali i - może z pewnymi wyjątkami - nie brzmiało to wcale inaczej niż wyznania tych biednych sukisynów, których nazywałem przytłoczni, spędzających życie w ciężarówkach, barach i burdelach.

Wszyscy byli współcześni. Miałem wrażenie, że im głębiej w Piekło, tym potępieni są starsi. To miało sens, po prostu Piekło rośnie, z każdym plonem zmarłych stawało się większe i rozszerzały się jego zewnętrzne kregi.

- Wszystko zamarowało - powiedział ktoś. - Wiesz, jaki był mój największy grzech? Byłem głupi. Głupi i okrutny. Nie potrafiłem dostrzec piękna. Widziałem tylko brud. Kochałem brud, a czyszczyli po prostu mnie omijali.

Wkrótce szlochałem, zupełnie się nie kontrolując. Kleknałem obok ciężarówki, ukrywając twarz w dłoniach, a oni przychodzili, przychodzili i spowiadali mi się. Przeszli ich chyba setki, po kolei, mówili cicho, gestykulując dłońmi.

Nagle skończyło się. Ktoś mi powiedział, żeby się cofnąć, że to dla mnie zbyt wiele. Podniosłem głowę i zobaczyłem młodo-wyglądającego faceta, stojącego obok i patrzącego na mnie z góry.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Potrząsnąłem głową, lecz we wnętrznościach czulem potrzaskane szkło. W każdej spowiedzi widziałem siebie, każdy wyznany grzech budził znajome echo.

- Ktoś mnie tu wkrótce przywiezie - wymamrotałem. Ten młody pomógł mi stanąć na nogach i usunął stojących obok ciężarówki martwych.

- Taaa... ale jeszcze nie teraz - powiedział. - Na razie jeszcze nie należysz do nas.

Otworzył dla mnie drzwi szoferki.

- Nie mam paliwa.

Uśmiechnął się takim samym, smutnym uśmiechem, jaki nosili tu wszyscy, wszedł na stopień i jego usta znalazły się przy moim uchu.

Jeden z pracowników ma się tu zjawić i pomóc ci, jak już się uporają z tymi rozruchami.

Wydał się bardziej skomplikowany niż wszyscy inni. Spojrzałem na niego może nieco zbyt podejrzliwie, jakbym wymagał jakichś wyjaśnień.

- Tak, znam to wszystko. Sam byłem kiedyś kierowcą. Później awansowałem. Co oni wszyscy tam robią? - zapytał, pokazując ręką na drogę. - Wszystko psują, prawda?

- Nie wiem - odpowiedziałem, wycierając oczy i policzki rekawem.

- Wróć i powiedz im, że ten bunt w zewnętrznych kregach to właśnie to, czego się spodziewałem. Powiedz im, że Charlie jest tutaj i że ich ostrzegam. Krąży wiadomość.

- Jaka wiadomość?

- Kto tu rządzi. Powiedz im tylko, że Charlie wie i że ich ostrzegam.

Zamknąłem oczy. Szoferkę zakrył cień. Młody człowiek i wszyscy inni wydawali się oddalać. Czulem raczej niż widziałem, jak coś podnosi mój wóz z ziemi jak zabawkę.

Ocknąłem się nagle w szoferce wozu stojącego na parkingu w Bakersfield. Odsunąłem czapkę z oczu i rozejrzałem się. Już prawie południe. W Bakersfield była siedziba związku. Sprawdziłem w biurowym palni - był pełen ropy, więc uruchomiłem silnik i pojechałem na stronę budynku związkowego.

Zapukałem do drzwi biura, wszedłem i rozpoznałem starego faceta, który dawał mi prace. Byłem zmęczony, nie pachniałem najpiękniej, ale chciałem załatwić wszystko od razu.

On też mnie poznał, ale nie pamiętał nazwiska, więc się przedstawiłem.

- Nie mogę ich więcej wozić - powiedziałem. - To nie jest robota dla mnie. Kiepsko się czuję wożąc ich tam, gdzie pewnie sam się znajdzie.

- W porządku - odpowiedział woźni i uważnie, mierząc mnie wszystkowiedzącym spojrzeniem. - Tyle, że wylatujesz. Jesteś skończony, nie ma jazd dla nas, nie ma roboty dla żadnego związku, który popieramy. Bedziesz raczej samotny.

- Któręś dnia i tak stanę się samotny.

- Dobra.

Wydało mi się, że to już wszystko, więc podeszedłem do drzwi i stanąłem z dłonią na klamce.

- Mam jeszcze coś - powiedziałem. - O tych kłopotach w zewnętrznych kregach. Spotkałem Charlie'ego. Prosił, żeby wam powiedzieć, że krąży wiadomość, kto tu teraz rządzi, że to dlatego.

Wszystkowiedzące oczy starego zrobiły się jakby trochę szkliste.

- To ty jesteś tym, który tam wjechał?

Przytaknąłem.

- Poczekaj chwilę w biurze.

Czekałem i słyszałem, jak rozmawia przez telefon. Gdy wrócił, zaczął się uśmiechać i klepać mnie po plecach.

- Słuchaj, John. Nie jestem pewien, czy powinniśmy pozwolić ci urwać się tak łatwo. Mówi się, że zostałeś tam i próbowałeś pomóc, gdy inni uciekli. Firma to docenia. Pracowałeś tu kawałek czasu, jesteś kierowcą godnym zaufania, może powinniśmy pospierać się trochę, wiesz, o co mi idzie? Jakoś cię zachęcić, żebyś został. Wysyłam cię do Denver, pogadasz tam z kims, to ważna szychta, dobra?

Ze sposobu, w jaki to powiedział domyśliłem się, że nie mam wielkiego wyboru i lepiej będzie, iak przestane się kłócić. Gdy przerwiesz dla związku wystarczająco długo, to wiesz kiedy trzymać go: na kłódkę i iść im na rękę.

Zawieźli mnie do motelu, nakarmili i około południa byłem już w drodze do Denver. Jechałem czarną limuzyną związku, prowadzoną przez milczącego szofera. Za całe towarzystwo miałem parę numerów „Newsweeka”.

Wczesnym, pogodnym, sołotnim rankiem stałem przed wielkim budynkiem związku, na którym nie było żadnego znaku. Parter zajmował bank. Przeszedłem przez bank i wjechałem na ostatnie piętro.

Czekała tam na mnie najpierw sekretarka, nawet ładna, tylko włosy miała ciasno spięte na głowie i kwadratową, srogą szczeczkę. Nie spodobałem się jej. Z jej wyglądu można było wnosić, że zapalała przyjaźnią tylko do agenta ubezpieczeniowego lub wedrownego kaznodziei. Pozwoliła mi jednak przejść do następnego biura.

Widziałem przedtem tego faceta, tylko nie byłem pewien gdzie. Nosił wąski krawat i elegancki, choć trochę konserwatywny garnitur w popiółkę. Miał jasnobłękitną koszulę, a na jego biurku, obok alabastrowej podstawki na pióra leżała Biblia Rembrandta. Potrzebał lekko moją ręką i przysiadł na krzesełku biurka.

- Po pierwsze pozwól, że ci pogratuluje odwagi. Było parę sprawozdań z... no... pola i usłyszeliśmy o tobie same dobre rzeczy. Uśmiechnął się przy tym jak ten facet w telewizji, który zawsze prosi publiczność, żeby mu w czymś pomogła. Potem nagle jego twarz stała się szczerą i poważną. Wierzę, że naprawdę był szczerzy, był też doskonale wyćwiczony w rozmowach z nie najbystrzejszymi partnerami.

- Słyszałem, że masz dla mnie jakieś wieści. Od Charlesa Fricke.

- Powiedział, że ma na imię Charlie. - Opowiedziałem mu całą historię. - Jestem tylko ciekaw, co on miał na myśli z tym „kto tu rządzi”?

- Charlie pracował dla organizacji do zeszłego roku. Zginął w wypadku samochodowym. Przykro mi, że pojechał Dolną Drogą.

Nie wyglądał na zmartwionego.

- Żeby nie kłamać, sprawiał tu pewne kłopoty. Może i przykro mi, ale nie jestem szczególnie zaskoczony.

Znow uśmiechnął się promiennie, oczy mu się powiększyły, a na twarzy było widać trochę za wielkie ożywienie. Miał na nosie zbyt duże okulary, w drucianej oprawie jak McArthur.

- Co on miał na myśli?

- John, jestem dumny ze wszystkich naszych kierowców. Nie wiesz nawet, jak bardzo dumny jestem z was, z tych, co odwalają brudną robotę. Wzicie grzeszników.

- O czym mówił Charlie?

- Zwolenników przerywania ciąży, handlarzy pornografią, gwałtowników, skrytobójców i morderców. Ateistów, pogan i tych, którzy modlą się do bożków. Z pewnością musi to dostarczać satysfakcji - utrzymywać kraj w czystości. Tak jak wielki oddział sanitarny. Wy właśnie trzymacie lotrów z dala od porządnym ludzi, dobrych, posłusznych pracowników. Wiemy przecież, że to wy, kierowcy, wykonujecie najcięższą pracę w firmie i że nie każdy powinien zostać na Dolnej Drodze w nieskończoność. Ale chcielibyśmy, żebyś tu został. Nie jako kierowca, chyba, że sam tego pragniesz, tylko dla satysfakcji z dobrej roboty. Nie, jeśli chcesz pójść w górę - a zasłużyłeś sobie na to do tej pory, bez



Lepsze niż
CZŁOWIEK...

dwoch zdan - mamy tu robotę dla ciebie. Miejsce, w którym dobrze się będziesz czuł i...

- Powiedziałem już, że chcę się wycofać. Pan mówi tak, jak bym był jakimś wspólnym facetem, a ja jestem po prostu gówniarzem. Pan to wie i ja to wiem. Wszyscy tam zaczęli mi się spowiadać, jakby byli jakimś Starymi Marynarzami albo co. O co tu chodzi?

Zrobił się surowy

- Tutaj też nie jest łatwo, cwaniaczku

To „cwaniaczku” uraziło mnie. Wstałem z krzesła. Kiedy już stałem, podniósł rękę w pojednawczym geście i zaczął usta, kiwając głową

Przepraszam. To zachęta, z pewnością są powody, dla których chciałbyś tu pracować. Jeśli jesteś taki pewny, że pojedziesz Dolną Drogą, to możesz to odpracować

- A co pan może o tym wiedzieć?

Błysnął promienny uśmiech.

Charlie powiedział ci coś o tym, kto tu rządzi.

I właśnie teraz pojawiło się niebezpieczeństwo. Czuliśmy to. Tak właśnie bywa ze związkowymi szefami

- Powiedział, że w tym kłopot.

- To się od czasu do czasu zdarza. Zalatwiamy sprawę delikatnie. Mówię ci, naprawdę potrzebujemy dobrych, pełnych współczucia ludzi. Potrzebujemy ich, żeby nam pomagali w wyborze. Wyborze?

- Chyba nie myślisz, że Szef dokonuje całego wyboru bezpośrednio?

Nie wiedziałem co powiedzieć

- Słuchaj Szef... niech ci to wytłumaczę. Dawno temu Szef zdecydował się stworzyć nowy typ pracownika, z większymi zdolnościami podejmowania decyzji. Ciebie, mnie i całą resztę ludzkości. Usłaniec, bajeczka, hujda. - Niektórzy z nadzorców nie chcieli się na to zgodzić, zwłaszcza kiedy Szef powiedział, że będziemy tu długo, bardzo długo. Mieliliśmy mieć niesmiertelne dusze. Kiedy program Szefa nieleżał już funkcjonował, dawał nam możliwość wyboru dobra i zła, okazało się nieuniknione, że niektórzy wybiorą zło. Możesz o nich myśleć jako o odpadkach, a-dioaktywnych odpadkach. Są zyski z tego programu: dobrzy ludzie, dobrzy pracownicy. Są także śmiecie, trucizna, promieniotwórcze resztki. Ilość śmieci z czasem rośnie: to ci, którzy nie chcą współpracować, kiepscy pracownicy, można powiedzieć.

- Niewiele okazało się... chronicznie niezatrudnialnymi. Niezgodnymi do współpracy. Zbaczali z właściwej drogi. Co można było z nimi zrobić? Nie można pożył się ich tak, żeby po prostu odeszli, obowiązuje zasada, że są nieśmiertelni. Trucizna, ale zostaje na zawsze. Węc...

„Chronicznie niezatrudnialni”? Cholerne cwany facet. A co się robi z radioaktywnymi odpadkami? Pakuje się to głównie w dziure, największą, najgłębszą dziurę...

- Przekleci. A ty jesteś związkowcem. Pomysł, jak to musi być bez pracy... na zawsze. Robota Szefa jest bardzo ważna, temu nikt nie zaprzeczy. Jego wielkie plany dotyczą nas wszystkich, a jeżeli Szef nie może cię użyć, to nikt nie da rady

Znałem to uczucie i tak, jak on je przedstawił i tak, jak wyglądała prawda ukryta za tym porównaniem. Co się robi z chronicznie niezatrudnialnymi? Bierze ich na siebie opieka społeczna... na zawsze. To czym w końcu jest Piekło? Pełnym gówna dołem czy śmietnikiem opieki społecznej? Miałem wrażenie, że on uważa je raczej za ten dol.

Alc dobry związkowiec wie, że nie ma człowieka, którego nie można by użyć do jakiegoś rodzaju pracy, któremu nie można by wytłumaczyć, że się do czegoś nadaje. Tylko zarząd może myśleć o wyrzuceniu na śmietnik lub wzięciu pod opiekę społeczną. Tylko zarząd może myśleć w kategoriach strat ludzkich

- Szef czuł, że projekt prawie się powiódł, więc nie chciał go całkiem utopić. Tylko nie chcieli, żeby go kłopotano wszystkimi minusami i minusami, tą całą księgowością.

Ty rządzisz - powiedziałem i powiedziałem, jak mi krew szła w zasklepie w zylach

Już wiedziałem, kiedy wstałem... że poprzednio.

W telewizji.

Prawa ręka Boga

(człowiek z krzyżem)

My sami rządzimy Piekłem

Skuraj głowę.

Tylko że to nie jest wcale pomysł, który bardzo chcieliśmy...

- Ty tu rządzisz i pozwalasz kierownikom korzystać z ładunku...

Zamknąłem się. Instynkt powiedział mi, że jeśli się nie zamknę, szybko pojedzie wyboistą drogą w jedną stronę

- Powiem ci prawdę, John. Jestem tu za wszystko odpowiedzialny dopiero od roku, a mój poprzednik pozwolił, żeby sprawy wymknęły mu się z rąk. Nie był człowiekiem religijnym i myślał, że to praca jak każda inna, robota, w której od czasu do czasu musisz iść na kompromis. Ja wiem, że to nie tak. Tu nie ma ustępstw i szybko uporamy się z niesprawiedliwością i błędnymi decyzjami. Mam nadzieję, że nam pomożesz. Możesz wiedzieć o tych sprawach więcej niż my.

- W jaki sposób zakwalifikowano pana do tej pracy? - zapytałem. I kto ją panu dał?

Nie Szef. Jeśli o to ci chodzi. John. Było raczej tradycyjnie. Ja jestem tym, który kiedy było to całe gadanie o posmiertnych doświadczeniach i wszyscy widzieli jasne światło i piękno, zasłaniał się, dlaczego nikt nie widział innej strony. Znak mądzi, którzy niemal zmarli i widzieli Piekło i zmieniłem ich życie. Zarząd zdecydował, że ktoś o moich możliwościach może zrobić tu dobrą robotę. No i jestem. Mówię ci, tu wcale nie jest łatwo. Czasami żałuję, że nie mamy trochę więcej pomocy od Szefa, trochę przewodnictwa, ale nie mamy, a ktoś to musi robić

I znów się uśmiechnął

A ja zrobiłem pokłon w stronę

Oczywiście - odpowiedziałem. Miałem nadzieję, że mój gwałtowny wzrost nabożności ujdzie jego napiętej uwadze.

No i chyba widzisz, jak to wszystko czyni cie jeszcze bardziej wartościowym dla organizacji

Zrobiłem miłą pełną nadziei.

- Nie chcemy cię stracić, John. Nie teraz, kiedy pracować dla nas jest bezpiecznie tak bardzo bezpiecznie. To znaczy, kiedy znany już wszystkie szczegóły zbawienia.

Pozwoliłem mu gadać aż spojrział na zegarek, a cały czas kiwał głową w zamyśleniu głową i podpowiadałem mu najcięższe sposoby. Połem dałem się nawrócić. Pospowiadałem się, dopóki nie zaczął się trochę denerwować - miał chyba jakieś ważne spotkanie - i wreszcie wypowiedziałem najważniejsze zdanie:

Po prostu nie czułbym się dobrze tu, u góry - powiedziałem. - Przez całe życie byłem kierowcą. Chcę się tego zwyczajnie trzymać

- Chcesz zatrzymać swą obecną pracę? - zapytał, uderzając butem o krawędź biurka.

- Boże, tak! - okazałem tyle wdzięczności, na ile mogłem się zdobyć.

A potem poprosiłem go o autograf. Uśmiechnął się szeroko i dał mi go, prawa ręka Boga, człowiek, który modlił się z prezydentem mi.

I znów jestem w drodze. Rozmawiam z ludźmi tu i tam, bardzo ostrożnie. Może mnie złapią, a może, kiedy wszystko zacznie się wymykać spod kontroli, pojedzie moim wozem z powrotem. A później nie jestem jeszcze pewien, co zrobić.

Nie chcę pusić wszystkich wolno. Ale chcę wiedzieć, kto jeszcze konczy na Dolnej Drodze, a nie powinien się tam znaleźć. Ludzie nie mogą widzieć przez prawą rękę Boga

Wiadomość nam prosta.

Schronieniem rządu szalency

Może zamiast wozu ich moją ciężarówką, zaczęli ich wywozić. Mówiono, że Chrystus był ostatnim, który tego dokonał. Zszedł do Piekła i ocalił sprawiedliwych - przełamał bramę Piekła, tak mnie zawsze uczyli na lekcjach religii w szkole

Jeśli mi się nie uda, jeśli się zbyt potępił, zło i spryt, skoroczę ładnie w przyziemie, nie w szefie

Ale poki jeszcze nie takiego się nie stało, odważam swoją robotę. To nie to, że opowiadać to wszystko proszę nie o potęgę. Ale ty też jesteś związkowcem, nie? Możesz skrócić z tego wszystkiego, wiesz, kierownik ciężarówek, przetransportować Piekło czy gdzieś tam, w lasy?

Przełożył Krzysztof Sokółowski

Marek nachylił się nad pulpitem i dłonią przeciął drogę cienkiemu, jasnozielonemu promykowi lasera, który błędził wzdłuż ścian z okienkami handlowymi.

Czym mogę służyć? - zacharczało się ko głośnika umieszczonego w pulpicie wykonanym z ceramiki imitującej drewno. Z tyłu przesunął się pas transportowy, który miał wygląd gumy. Pas był już niemal przetrarty.

Marek obszukiwał kirszenie. Karteczka, gdzie jest ta przeklęta karteczka, na której zapisał wszystkie zakupy. Ewa dyktowała mu to rano myjąc się w łazience (on w tym czasie jadł śniadanie), a potem jeszcze dwukrotnie telefonowała do pracy. Jak na złość, właśnie wtedy płał się koło niego Krul. Krul, który zawsze przy okazji spotkania w pracy, kiedy Marek chce zniknąć po angielsku, zaczyna przebąkać coś o pantoflarzach i meskiej emancypacji. Łatwo mu mówić, bo jest rozwiedziony. Ewa chciała jeszcze filtr słoneczny, pamięta, że to też dopisywał na tej przeklętej karteczce, ale czort wie, gdzie mógł ją wetknąć.

- Czym mogę służyć? - cierpliwie powtarzał głośnik, właśnie tak był zaprogramowany: co trzydzieści sekund proponował swoje usługi.

Nareszcie. Szybko rzucił numer rodzinny i przeczytał pierwszą pozycję z listy.

Lakier ochronny do twarzy. Opakowanie podróżne. Nad okienkiem zabłysnęła dioda. TAK. We wnętrzu otworu pojawił się wysoki, niebieski pojemnik aerozolu. Metalowa ręka wysunęła go na zewnątrz i ustawiła na pasie transportowym, który przesunął się do urządzenia pakującego.

Proteinowy pokarm dla ryb. Żarówkę sześćdziesiątą z regulacją poboru energii. Bloki pamięci do komputera kuchennego Mates 200, cały karton. Hybrydowe kalarepki, cztery porcje - czytał dalej Marek, czekając za każ-

- Tylko przyprawy do parówek nie było. Ale jest na Heyrowskiego. Właśnie tam jęde.

Jestli będzie kolejka, to daj spokój. Najważniejsze, że masz filtr. Ja chyba ze wszystkim dotrądzę. A jeszcze jak pomyśle, ile rzeczy człowiek musi wziąć ze sobą i że tam nie ma Edy. Pamiętasz jak było w lecie...

W lecie krótkie spienie w sieci energetycznej zablokowało trzy obwody Edy - elektronicznej aparatury dostawczej, i przez cały dzień masło musiało samo troszczyć się o siebie. Wiele osób do tej pory nie otrząsnęło się z tego. Ewa też nie.

- Ale dziś wszystko było z Edą w porządku, chrahaśczu. Pojaje tylko po tej przyprawie, odbiorę dzieci i pedzę do domu.

- Dzieci! Daj spokój z tą przyprawą, Marku. Jedz prosto po dzieci. Wiesz przecież, że im wcześniej tam przyjedziesz, tym lepiej. Nie lubią, kiedy przychodzi się w ostatniej chwili.

- Nie martw się, chrahaśczu.

Powoli pedałowal zalloczoną ulicą i starał się przepchnąć w lewo, na środkowy pas, aby potem skrócić na plac Równowagi Ekologicznej. Ulica wznosiła się teraz pod górę. Przesunął dźwignię przerzutki na dwójkę.

W tylnym kole coś zabrzęczało. Przydałaby się nowa przerzutka, pomyślał, najlepiej Uran z dwunastoma przedkościami. Ci, którzy ją mają, bardzo sobie chwala. Przecież jeżeli rower jest w porządku, od razu lepiej się żyje na świecie.

Obok niego ktoś zadzwonił. Przestraszył się, że zajeżdżał komuś drogę, a upaść na mokry, zimny asfalt nie byłoby przyjemnie.

- Cześć, Marek - usłyszał zduszony maską głos.

Podniósł głowę: to był Krul. Ciągłe dziś wiazi mu w drogę. Poznał go po ubiegłorocznym modelu Eski i pomarańczowym filtrze z dwoma niebieskimi prążkami na

Jaroslav Veis

NA ZDIROWIE

(Na zdraví)

dym razem aż zapalił się TAK, pojawił to, co chciał, a mechaniczna ręka ponownie zniknęła w otworze.

Papier toaletowy. Ostatni numer „Krzyżówek i szarad”. Olej słotowy. Duże opakowanie pasty witaminizowanej. Dwa opakowania wosku do nart biegowych na prawdziwy śnieg. Litr mleka bez cholesterolu. Odcznar dzieci.

Zaswieciła się czerwona dioda. NIE. Pas transportowy nagle się zatrzymał, aż pudełko z mlekiem bez cholesterolu przewróciło się na bok.

- Zmiana - powiedział Marek. - Ostatnia pozycja skrócona. Bezpiecznik regulatora poboru ciepła. Przyprawa w aerozolu do syntetycznych parówek.

Znowu czerwone światełko i gwałtowne zatrzymanie pasa.

- Przyprawy w aerozolu do parówek syntetycznych w tej chwili nie ma w magazynie - zacharczało głośnik. Jest do dyspozycji w dowolnej ilości w składzie dwiescie trzy-nastu w Alei Heyrowskiego. Pierwsza ulica na prawo za placem Równowagi Ekologicznej. Słucham.

- Damski filtr słoneczny - powiedział Marek. To wszystko.

- Dziękuję - zacharczało głośnik. - Proszę zwolnić miejsce dla następnego klienta. Do zobaczenia.

Przyczepka była wypełniona aż po brzegi. Ostrożnie poukładał ostatnie paczki, zabezpieczył, aby żadna nie wypadła, a potem odprowadził wózek po czarnej spirali na dół, do garażu. Parkował w trzecim boksie z brzęgu. Umocował haczyk przyczepki w otworze błotnika tylnego koła, przełożył nogę przez ramię i wolno podjechał do wyjścia.

Zatrzymał się pod bramą prowadzącą do komory przejściowej i do gruszkowatego mikrofonu powiedział swój numer rodzinny. Z drucianego koszyka przytwierdzonego do kierownicy wyjął maskę, założył ją, kiedy brama otworzyła się wolno wjechał do komory, a potem na ulicę.

Z nadgarstka rozległo się buczenie podręcznego telefonu. Przelączył go do słuchawek w masce.

- Masz wszystko?

- Jasne chrahaśczu - powiedział z wyczekiwaniem

masce. Pomarańczowy z dwoma niebieskimi prążkami to rzadkość, twarzą Krul, jest dobry, a i długi. To opary jedu. Marek miał zwykłą, jasnoniebieską maskę chroniącą przed zwykłym, i oparami i wiojnami pyłkami chwastów powodującymi katar i sierr.

Krul postukał w szybę. Znowu była włącz słuchawki. Nie można powiedzieć, żeby Krul miał na to ochotę.

Alt pogodził - zakwaził mu Krul wpiął do uszu. To jego następstwo było potworze - czy pamiętasz, kiedy padał w zimie śnieg? A te stare czasy, kiedy był mroź?

- Ja za tym nie przepadałem - odpowiedział Marek. Kiepsko się jeździło na rowerze. Chyba leżałem na ziemi.

Gdybyś miał opony z gwóźdźkami. Gwóźdźki były najlepsze. Tylko trzeba było uważać, żeby nie wpasć na policjanta. A ty nie mów, że podobają ci się ta szklarniana zima, jaką teraz ciągle mamy.

- Jeśli chce zimy, to do niej pojaje.

- A teraz nie skoczysz na kielicha? - Krul wskazał na migający napis na jednym z domów przed nim. Napis głosił OAZA, a obok świecące rurki tworzyły kieliszek na wysokiej nóżce, z którego ulatywały bąbelki. Aby nikt nie musiał wątpić o jakości napoju, bąbelki były oznaczone jako O2 i O2.

- Ale ja jutro wyjeżdżam z rodziną w góry. I muszę jeszcze odebrać dzieci.

- Rzeczywiście, nieomal zapomniałem, że ty masz urlop! Ale przecież nie będziesz bał się wstąpić na jednego? wskazał ręką, że będzie zjeżdżać do chodnika.

Obiecałem Ewie, że jej pomogę, i muszę jeszcze zdać po dzieci.

- Ależ Marku, chyba nie chcesz, abym pomyślał, że jesteś pantoflarzem. Chyba nie boisz się starej?

Jaroslav VEIS

Urodził się w 1946 roku, dziennikarz, tłumacz, autor SF. W naszym mieście drukowali jego opowiadania. Drukował Hendersona. Fantastyka nr 8/85.

(KS)

- Ale tylko jednego - powiedział szybko Marek i zadowolony na blondynkę w masce z zielonym filtrem (aler-
gia na pył), która skręcając w lewo nie dała żadnego zna-
ku. - Uwważaj, damulko!

Usiedli przy małym stoliku obok drzwi. Przez źle u-
szczelnioną komorę przejściową dostawał się do środka
smród. Marek przymknął oczy i się zamyslił. Jasne -
amoniak z małą domieszką siarczanów.

Krul wystawił swą dłoń w kierunku promyka.

- Czym mogę służyć? - rzuciło się nad stołem.

- Osiemdziesiąt dwa zero sześć piętnaście lamane a ce
e trzydzieści trzy pięćdziesiąt sześć - wyrecytował Krul. -
Proszę dwa rummy. Z tlenem i witaminą B dwanaście

Hej, ktoś do ciebie dzwoni - powiedział Krul. -
Miga dioda na twojej bransolecie.

Ewa. Marek był tego pewien. Kiedy
przyszli do Oazy wyłączył dzwinkowy sy-
gnał telefonu i zupełnie o tym zapomniał. A
dzieci! Miał odebrać dzieci!

Za oknami było ciemno.

Wcisnął przycisk telefonu.

Tak, chrabąszczu - powiedział niepewnie. - To ja.

- Marku, gdzie się wiończysz? Jedźcie już do domu?
Siedzę tu jak na szpilkach!

- Już jestem w drodze, chrabąszczu.

- Jak tam chłopcy? Daj mi ich do telefonu. Wiktor, Be-
niamin! Cześć, tu mama!

Wystraszył się i przelknął ślinę.

Tu ich nie ma. Ewo - nagle wpadła mu do głowy zba-
wczą myśl. - Sa teraz w garderobie. Jedna sympatyczna
pani pomaga mi ich ubrać. Za sekunde wyjeżdżamy,
chrabąszczu.

- Marku, ty pileś! Ja przecież poznam! Piles cos?

- Nie żartuj, co miałbym pić. Zatrzymałem się tylko z
Krulem na kawę.

- Czyś ty zwariował! Rano wyjeżdżamy, jeszcze nic
nie mamy spakowane, a ty spokojnie chodzisz po knaj-
pach?! Uświadom sobie, że nie możemy niczego zapom-
nieć, bo tam w górach nic nie można kupić. Naprawdę
jestes straszny!

Uspokój się, chrabąszczu. Zdążymy. Biorę chłopców
i za kilka minut będziemy w domu. Prawie całą drogę
mam z górki. Czekał na nas, chrabąszczu.

Zanim zdążyła coś jeszcze powiedzieć, wyłączył tele-
fon.

- Wpadka - powiedział do Krula. - Zapomniałem, że
mam odebrać dzieci.

- Nie powiniećś zamawiać drugiej kolejki. - Krul
wzruszył ramionami. - A przed trzecią też się nie bronie-
łeś. Słuchaj, a może ja pójść z tobą i wyjaśnię to wszystko
twojemu chrabąszczowi?

- To by dopiero ja pocieszyło! - zachnął się Marek,
wstał i wyszedł do komory przejściowej. Dopiero inten-
sywny zapach amoniaku przypomniał mu, że nie założył
maski. Naciągnął ją, wsiadł na rower i nacisnął na peda-
ły.

Kiedy dojechał do niskiego budynku stojącego
w parku z odpornych roślin, świeciło się tyl-
ko w dwóch oknach na parterze. Inne były
ciemne. Na chwilę przestało bić mu serce. Po-
myślał że może chłopcy czekają na niego w
portierni. Może liczyli się z tym, że przyjdzie później i
już ich ubrali. A może Ewa do nich telefonowała.

Nacisnął klamkę. Brama była otwarta. Szybko podbiegł
do drzwi wstępnej komory przejściowej i uderzył w nie
pięścią. Za mlecznym szkłem dostrzegł czarys jakiejś po-
staci i wydało mu się, że się nie poruszyła. Znow uderzył
w drzwi.

- Co tam? - rozległ się głos starego mężczyzny. Potem
zacluchotał klucz i pojawiła się twarz bez maski. - Co za
hałas?

Marek wepchnął się do środka.

Przyszedłem po dzieci.

Najpierw niech pan zdejmie to z twarzy - powiedzie-
ział starzec z kluczem w dłoni. - Nic nie rozumiem.

Marek zerwał z twarzy maske

Przyszedłem po dzieci - powtórzył

Pech, panie młody. Już za późno. Nie ma tu nikogo.

- To niemożliwe. Nie ma tu dyżurów? Miałem odebrać
dzieci. To było uzgodnione.

- Ja mam tu dyżur. Innym poszli do domów. A może pan
myśli, że przez nana będą tu sierzec całą noc? Aż raczy
pan przyjs? Oni też mają prawo do odpoczynku. A tutaj
i tak pracuje się do piatek, o godzinę dłużej niż gdzie
indziej.

A nie można jakos tego załatwić? - próbował Marek.
Może zatelefonowałby pan po kogoś, kto mógłby mi ie-
wydać.

Do kogo, proszę pana? Niech pan przyjdzie jutro.
Dostanie je pan rano, skoro to uzgodnione.

- Ale my jutro rano wyjeżdżamy w góry. Rozumie
pan, chcieliśmy zabrać dzieci na świeże powietrze. Do-
stałem skierowanie do strefy powyżej trzech tysięcy me-
trów!

- No, no, na takiej wysokości to ja jeszcze nie byłem -
powiedział staruszek. - Jak tam jest?

- Nie wiem. - Marek wzruszył ramionami. - Dziko. Ja
też tam jeszcze nie byłem. I chyba się tam nie dostane
jeżeli nie wyjadę rano, skierowanie przepadnie

- No cóż. - Staruszek pokiwał głową. - Powinien pan
się nad tym wcześniej zastanowić. Czy to ma sens, aby o
dzieciach przypominać sobie w ostatniej chwili? A co na
ostatnią chwilę - to za późno!

Marek włożył rękę do kieszeni kurtki. Wyjął matę, zło-
tawą bombkę z ustnikiem.

- Chce pan? - zapytał staruszek

Staruszek zapatrzył się w bombkę.

- To zagraniczne?

- Nepal - odpowiedział Marek. - Najczystszy tlen z
Himalajów. Szwagier mi przywiózł. Był tam służbowo.
Niech pan spróbuje.

Staruszek łakomie włożył ustnik między wargi i dwa
razy narisnął balonik.

- Dobry smak - stwierdził.

- Niech pan weźmie jeszcze. Naprawdę nie można z
tym nic zrobić? Może zatelefonować do kogos, kto mie-
szka blisko? Nie chce tego za darmo..

- Nie da rady. Chyba że zrobiłbym to ja sam. Ale mnie
tego nie wolno, nie mam pozwolenia. Proszę. - Oddał
Markowi bombkę.

- Bardzo proszę. - Marek zatrzymał rękę z bombką. -
Niech pan sobie ją zostawi. Jest prawie nowa.

Staruszek patrzył niepewnie.

Żeby tylko nie było z tego kłopotów - mruknął.

Niech mi pan poda numer rodzinny. Czy pan wie, jak dla
pana ryzykuje?

Marek podał mu wizytówkę z adresem i numerem ro-
dzinnym.

- W domu mam jeszcze tlen z Kaukazu - powiedział
Też w aerozolu. Kiedy będę oddawał dzieci, przyniosę go
panu.

Starzec odwrócił się i wolno podszedł do brązowego
stołu. Schował bombkę do szuflady, a potem zaczął na
klawiaturnie komputera dokładnie i z długimi przerwami
wystukiwać kody. Co chwila zatrzymywał się i zaglądał
do wąskiego, czarnego zeszytu. Marek wierzył mu, że
nie ma pozwolenia. I trochę bał się, czy starzec wybierze
mu właściwe dzieci.

Nad stołem rozjaśniał się ekran. Ukazała się na nim
przezroczysta skrzynia, która przesuwiała się po korytar-
zu. W jej wnętrzu były dwa łóżka. Wiktor leżał na gorze,
a młodszy, Beniamin - na dole.

- Teraz mają minus sto osiemdziesiąt pięć - powie-
dział starzec. - Za trzydzieści minut będą mieli normalną
temperaturę, trzydzieści sześć i sześć.

Marek kiwnął głową. Oczarowany patrzył na twarze
obu chłopców. Od lata, kiedy ich tu ułożyli i kazali zamro-
zić, w ogóle się nie zmienili. Są nawet jeszcze opaleni, a
on już stracił opaleniznę. Nagle uświadomił sobie, jak
bardzo ich kocha.

Kiedy będzie pan oddawał dzieci? - przerwał starzec
długą chwilę milczenia.

- Za dwa tygodnie. Cały ten czas będą w górach. Na
świeżym powietrzu.

Bedzie im tam lepiej niż tutaj. - Dziadek wskazał gło-
wą na ekran. - O, już się ruszają.

Wiktor usiadł! Beniamin jeszcze leżał, ale mocno turla
małymi piastkami oczy.

Mama iść tam po nich? - zapytał Marek.

- Spokojnie. Sami przyjdą. - Starzec pochylił się nad
klawiaturą i znow coś wystukał. - A wicc za dwa tygod-
nie? - zapytał jeszcze raz.

Tak.

I tak nie rozumiem, dlaczego pan to robi - powiedział
starzec. - Ciągłe ich tu wozic i hibernować. Ja zostawił
bym ich na dworze i niech się przyzwyczajają. Podobno
wiele osób już tak robi. Po prostu mają w nosie przepisy i
zostawiają dzieci w domu.

A nie widział pan prognozy zamieczy-zyczeń na ten
rok? - spytał Marek. - Dwa razy tyle związków chłoru. A
starzacy też tak szybko nie zginą. Lepiej niech chłopcy
ten najgorszy czas przetrwają. A, w zamrażalnik. Cze-
wiek robi to przecież dla ich dobra, nie sądzi pan? Tak, w
góry, na urlop, to ma sens. Ale w mieście?

Jak pan uważa. To przecież pańska sprawa. - Starzec
włożył rękę do szuflady, wyjął bombkę i z zadowoleniem
na nią popatrzył. - Nie chce pan jeszcze porzucić? -
zapytał

Marek pokręcił głową.

Starzec włożył ustnik między zęby

Na zdrowie - powiedział i nacisnął.

Na zdrowie - przytaknął Marek.

Przełożyła Urszula Janus

MOZART W PRZECIWSŁONECZNYCH OKULARACH

Bruce Sterlig
Lewis Shiner

(Mozart in Mirrorshades)



Ze wzgórza położonego na północ od miasta Rice spogłądał na osiemnastowieczny Salzburg, rozłożony poniżej, jak na wpół zjedzony obład. Ruiny kościoła św. Ruperta wydawały się jakby mniejsze przy ogromnych, popiekanych wieżach i obrzmiałych, rozdętych, bulwiastych zbiornikach rafinerii. Gesty biały dym wypuszczany przez kominy klebił się nisko. Z miejsca, gdzie siedział, pod liśćmi wienącego go dębu, Rice mógł czuć znajomy petrochemiczny zapach.

Tak nie pasował on do tego miejsca, że aż go to zachwyciło. Podobnie jak i stacja pomp w kształcie fallusa na głównym dziedzińcu żeńskiego klasztoru lub prosta linia podmiejskiego rurociągu, przedzierającego się przez labirynt wybrukowanych koci- mi łbami uliczek Salzburga.

Być może było to wszystko nazbyt brutalne dla miasta, ale nie stało się przecież z winy Rice'a. Promień czasu zogniskował się przypadkowo w punkcie na podłożu skalnym poniżej Salzburga, tworząc bąbel mogący się powiększać, łącząc ten świat z rzeczywistym czasem Rice'a.

Wysokie ogrodzenie otaczało na przestrzeni mili kwadratowej miejsce zajmowane przez kombinat. Rice spędził tam dwa lata, kierując zespołami pracującymi na całej planecie, przerabiającymi statki wielorybiczne na tankowce lub szkolącymi lokalnych majstrów, by ci układali linie rurociągów aż do Synaju i Złotki Meksykańskiej.

Teraz nareszcie patrzył na to z zewnątrz, mimo wszystkich sprzeciwów Sutherland, która zajmowała się kontaktami dyplomatycznymi w ich Towarzystwie. Sama jego obecność, jak twierdziła, mogłaby tylko pogłębić szok przyszłości, który wstrząsnął miastem.

Rice nie mógł się z tym pogodzić. Kombinaty stał, produkcja przewyższała założoną, a jemu należało się trochę luzu.

Na grzbiecie wzgórza, w jego stronę, mocno się chybcząc, wjeżdżała motorynka. Jadący na niej chłopak miał trudności z utrzymaniem na pedałach swoich zapiętych na klamki lakierków na wysokich obcasach, przy tym trzymał w zgięciu prawego ramienia wielki przenośny magnetofon stereo. Motorynka pochyliła się i zatrzymała w pewnej odległości, z której Rice rozpoznał 40 Symfonie g-moll.

Chłopak ściszył magnetofon widząc, że Rice idzie w jego kierunku.

- Dobry wieczór, Panie Kierowniku Fabryki. Czy nie przeszkadzam?

- Nie, fajnie że jesteś. - Rice przyjrzał się zjeżonej czuprynie, która zastąpiła niemodną perukę. Widywał już tego dzieciaka przy bramach kombinatu. Należał on do tych, którzy tkwili tam dniami i nocami, zebrząc o radia, nylonowe pończochy i zastrzyki penicyliny. Ale w tej chwili muzyka wytworzyła szczególny nastrój.

- To ty jesteś Mozart, prawda?

- Wolfgang Amadeusz Mozart, do usług.

- Niech mnie licho! Czy wiesz, co jest na tej taśmie?

- Tu jest napisane moje nazwisko.

- No właśnie. Ty to skomponowałeś. Chociaż właściwie powinienem powiedzieć, że skomponowałbyś. Za jakis piętnaście lat.

Mozart skinął głową.

- To jest bardzo piękne. Nie umiem po angielsku wyrazić tego, co czuję słuchając tej muzyki.

Wszyscy ludzie, którzy tyle czasu spędzali przy bramach zdążyli już się nieźle uslawić. Rice był pod wrażeniem taktu chłopaka, nie mówiąc już o opanowaniu przez niego języka angielskiego. Standardowy język miejscowych nie wykraczał poza wyrazy: radio, lekarstwa i pieprzyć.

- Wracasz do miasta? - zapytał Rice.

- Tak, Panie Kierowniku Fabryki.

Coś w tym dzieciaku pociągało Rice'a. Jego entuzjazm, blask w oczach. No i oczywiście to, że był to jeden z największych kompozytorów wszechczasów.

- Nie bądź taki oficjalny - powiedział Rice. - Powiedz mi, gdzie tu facet mógłby się trochę zabawić?

Początkowo Sutherland nie chciała, żeby Rice brał udział w tym spotkaniu. Ale był on ekspertem koncertu od zjawisk fizyki czasowej, a Jefferson zamęczał amerykański personel pytaniami o dziury w czasie i światy równoległe.

Z drugiej strony Rice był podniecony możliwością spotkania z Thomasem Jeffersonem, pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nigdy nie lubił Washingtona, był więc zadowolony, że jego koleśdy Masoni namówili go, by nie wchodził w skład „bezbożnego” zarządu koncernu.

Rice pocił się w swym grubym, podwójnie robionym swetrze, gdy razem z Sutherland czekali w sali konferencyjnej twierdzy Hohensalzburg, w której niedawno zainstalowano klimatyzację.

- Zapomniałem, jak się człowiek czuje w czymś tak grubym - powiedział.

- Przynajmniej odpowiedziała Sutherland - nie założyłeś dzisiaj tego cholernego kapelusza.

Samolot z Ameryki spóźnił się i wciąż spoglądała na zegarek.

- Trojgraniastego? - zapytał Rice. - Nie lubisz go.

- Miałem miłość boską - powiedział Rice - oraz samonistycznej reakcji.

Front Wyzwoleńcy Wolnomularzy był kolejnym kuszmarem przesładującym Sutherland, lokalną polityczno-religijną grupą, która dokonała kilku ataków na rurociągi.

- Och, daj spokój, Sutherland. Dała mi go jedna z przyjaciółek Mozarta. Teresa Maria-Angela, któraś z byłych arystokratek. Wszystkie one kręcą się wokół baru w centrum, w którym on muzykuje, a kapelusz po prostu mi się podoba.

- Mozart? Przyjaźnisz się z nim? Czy myślisz, że powinniśmy go po prostu tak zostawić? Po tym wszystkim co mu zrobiliśmy?

- Co z tego? - powiedział Rice. - Mam do tego prawo. Spędziłem dwa lata, żeby wszystko rozkreć, podczas gdy wy zabawialiście się w te wzruszające rozgrywki z Robespierrem i Thomasem Paine'em. Kilka razy spotkałem się wieczorem z Wolfgangiem i już się mnie czepiasz. A co z Parkerem? Jakos się nie wściekasz na niego, chociaż codziennie gra na koncertach tego swojego rock and rolla. Każdy najtanszy tranzysior w tym mieście ryczy jego muzyką.

On jest w pionie propagandy. Możesz mi wierzyć, że gdybym mogła temu zapobiec, zrobiłabym to, ale Parker to specjalny przypadek. On ma wszędzie układy w Czasie Rzeczywistym.

Polaria policzek.

- Zostawmy to, dobrze? Tylko spróbuj być miły dla prezydenta Jeffersona. Ostatnio nic było mu łatwe.

Sekretarka Sutherland, była dama dworu, weszła oznajmić, że samolot już wylądował.

Jefferson, wrzaski, przepchnął się koło niej. Jak na miejscowych był wysoki, z grzywą płonących, czerwonych włosów i najbardziej niespokojnymi oczyma, jakie Rice kiedykolwiek widział.

Proszę usiąść, panie prezydencie - Sutherland wskazała ręką dalszą stronę stołu. - Czy ma pan ochotę na kawę lub herbatę?

Jefferson popatrzył na nią gniewnie.

- Raczej मदरे - powiedział. - Jezeli to macie.

Sutherland skinęła na sekretarkę, która gapiła się przez chwilę nie rozumiejąc, po czym wybiegła.

- Jaki miał pan lot? - zapytała Sutherland.

- Wasze urządzenie robią wrażenie - odrzekł Jefferson - jak sami zresztą dobrze wiecie.

Rice zauważył, że ręce lekko mu drżały. Chyba nie najlepiej zniósł lot samolotem pionowego startu i lądowania.

Zyczyłbym tylko sobie, żeby wasza wrażliwość polityczna była równie zaawansowana.

Pan wie, że nie mogę odpowiadać za moich przełożonych - powiedziała Sutherland. - Ja zaś bardzo boleję nad negatywnymi stronami naszych działań. Przykro mi z powodu Florydy.

Zirytowany Rice wysunął się do przodu.

- Przecież nie przybył pan tutaj, aby dyskutować o wrażliwości.

- O wolności, proszę pana! - odparował Jefferson. - Problemem jest wolność.

Sekretarka wrocila z pokryta kurzem butelką sherry i stołem czystych plastikowych kubeczków. Jefferson, którego ręce trzęsły się w tej chwili już w sposób widoczny, napełnił jeden z kubków i spróbował. Jego twarz zaczęła odyskiwać kolor.

Gdy połączyliśmy nasze siły, poczyniliście pewne obietnice. Zagwarantowaliście nam wolność, równość i swobodę w wyborze drogi do szczęścia. Zamiast tego, wszędzie, gdzie tylko się człowiek ruszy, natyka się na te wasze maszyny, a wasze tanie dobra wodzą na pokuszenie obywateli mojego wielkiego kraju. Nasze bogactwa naturalne i dzieła sztuki znikają bez śladu.

Ostatnie zdanie powiedział Jefferson wstając.

Sutherland przywarła do oparcia swego krzesła.

- Powszechne dobro wymaga pewnego okresu, hmmm, przystosowania.

- Och, daj spokój, Tom - wtrącił się Rice. - Nie łączyliśmy sił. To tylko takie ple-ple. Załatwiliśmy Brytyjczyków i daliśmy wam fory, a wy nawet nie kiwnęliście palcem. To po pierwsze, a po drugie, jeżeli odpompujemy sobie trochę ropy i wywieziemy parę obrazów, to nie ma to nic wspólnego, do licha, z waszą wolnością. Możecie robić, co wam się żywnie podobna, bylebyście tylko zeszli nam z drogi. Rozumiemy się?

Jefferson usiadł. Sutherland spokojnie podała mu następny napojony kubek, który wychylił jednym haustem.

- Nie rozumiem was. Twierdzicie, że przybawacie z przyszłości, a postępujecie tak, jak byście chcieli ją zniszczyć.

Ależ nie - odpowiedział Rice. - To wygląda trochę inaczej. Historia jest jak drzewo, rozumiesz? Jeśli zavrucasz i bałaganisz w przeszłości, inna gałąź historii oddziela się od głównego pnia. Wasz świat jest po prostu jedną z takich gałęzi.

- Wier - powiedział Jefferson - ten świat, mój świat, nie prowadzi do waszej przyszłości.

Własnie - przytaknął Rice.

Co daje wam swobodę gwałcenia i łupienia nas ile tylko, wiecie. Podczas gdy wasz świat jest nieknięty i bezpieczny. Jefferson wstał znowu. To wydaje mi się tak ohydne - że wprosił trudno w to uwierzyć, to jest w ogóle nie do przyjęcia. Jak możecie brać w czymś takim udział? Czy nie naciągacie ludzi?

- Och, na miłość boską - powiedział Rice - ożaw się z nami. A co do magnetofonu i kapelusza - to są tylko bzdury.

niby nie! Sądze, że ma pan dużo odwagi, aby pokazywać twarz pełną dziobów po ośnie i w nieswieżej koszuli przyjąć tutaj z domu, w którym ma pan setki niewolników i wykładać nam, co to jest humanizm!

- Rice? - pyłajaco powiedziała Sutherland.

Rice spał się wzrokiem z Jeffersonem. Powoli prezydent znowu usiadł.

Spojrzał odezwał się po chwili, już łagodniej Rice. Nie chcemy być nierozsądni. Prawdopodobnie nie wszystko ułożyło się tak, jak sobie to wyobrażałeś, ale takie jest właśnie życie, no nie? Powiedz, czego chcesz, ale tak na p r a w d e? Samochodów? Kin? Telefonów? Kontroli urodzeń? Powiedz tylko słowo, a będziesz to miał.

Jefferson ścisnął kciukami kariki urzu.

To, co pan mówi, brzmi dla mnie zupełnie pusto. Ja tylko chcę... chcę tylko wrócić do domu. Do Monticello. I to jak najszybciej.

- Czy ma pan atak migreny, panie prezydencie? - zapytała Sutherland. - Mam tu coś dla pana.

Popchnęła po stole, w jego stronę, fiolkę z pigułkami.

Co to jest?

Sutherland wzruszyła ramionami.

- Poczuj się pan po tym lepiej.

Po wyjściu Jeffersona Rice oczekiwał reprimendy, lecz Sutherland tylko powiedziała:

- Wydaje się, że bardzo wierzysz w realizację projektu.

- Głowa do góry - odrzekł Rice. - Spędzasz zbyt dużo czasu wśród polityków. Wierzę mi, ten czas jest prosty i prosci są zamieszkujący go ludzie. Fakt, że trochę zbesztalem Jeffersona, ale on przyjdzie do siebie. Nie denerwuj się.

Rice odnalazł Mozarta sprząającego ze stołów w głównej sali jadalnej twierdzy Hohensalzburg. W wyblakłych dzinsach, kolorowej marynarce i ciemnych okularach przeciwsłonecznych mógłby ująć za nastolatka z czasu Rice'a.

- Wolfgang - krzyknął do niego Rice. - Jak tam nowa praca?

Mozart odstawiał stos naczyń i przeciągnął ręką po krótko obciętych rudych włosach.

- Wolf - powiedział. Mów do mnie Wolf, dobra? Brzmi bardziej... nowoczesnie, rozumiesz? Ale przede wszystkim chcę ci podziękować, za to, co dla mnie zrobiłeś. Kasety, książki historyczne, ta praca - to jest cudowne.

Rice zauważył, że angielski chłopca zderydowanie poprawił się w ciągu ostatnich trzech tygodni.

- Nadal krecisz się w mieście?

- Tak, ale znalazłem sobie coś nowego. Wpadnij dzisiaj, organizuję małe spotkanie.

Jasne - odparł Rice. Czemu nie mogłoby podłapać czegoś raz tutaj dla odmiany. Przebiore się i wpadniemy po ciastka do Sachera. To będzie wspaniała noc.

Rice ubrał się starannie, wkładając kuloodporny kombinezon pod welwetowy płaszcz. Napelnił kieszenie przeznaczonymi do rozdawania dobrami konsumpcyjnymi i wyszedł spotkać się z Mozartem przy tylnym wejściu do zamku.

Wokół rozstawione były straża, a światła reflektorów umiały niebo. Rice wyczuł jakiś nowy rodzaj napięcia, ogarniający uroczysty tłum, który wypełniał centrum miasta. Jak wszyscy pochodzący z jego czasu, gorował wzrostem nad miejscowym i nawet incognito rzucił, że za bardzo rzucił się w oczy.

Gdy dotarł do klubu, Rice wtopił się w półmrok i odprezyl. Lokal powstał po przerobieniu piwnic domu kogoś z młodych artystów i wystające cegły nadal znaczyły linie dawnych ścian. Miejsce to było okupowane przez miejscowych, udranych głównie w ciuchy z Czasu Rzeczywistego. Rice zobaczył nawet kogos w beżowych jedwabnych majteczkach na głowie.

Mozart stanął na scenie. Gitarowe arpeggia przywodzące na myśl menueta ryknęły łącząc się z następującymi po sobie moły wami chóralnymi. Syntezator buchnął morą, ogłaszając bitami muzyki pop. Wyjara publiczność obrzucała Mozarta konfektami, rzucając rzucając malowane papierowe tapety, którymi były oklejone ściany klubu.

Poem Mozart siedział paląc skręta z tureckiego haszu i wypływał Rice'a o przyszłość.

- Masz na myśli te, w której żyje? - zapytał Rice. - Nigdy byś nie uwierzył. Sześć bilionów ludzi nikt nie musi pracować, jeżeli ma ma ochotę. Pięćset kanałów telewizyjnych w każdym domu. No i oczywiście samochody, helikoptery i ciuchy takie, że czy wiesz, byłoby ci na wierzach seksu tyle, ile tylko chcesz. Muzyka? Możesz mieć własne studio nagrań czo. To co masz na tej scenie wyśledało przy tym, jak jakiś cholerny klawikord.

- Naprawdę? Odda bym wszystko, żeby to zobaczyć. Nie mogę znowu... Rice rzucił to i zostawił.

Rice wzruszył ramionami.

- No więc zostawiłem to być może na jakieś piętnaście lat. Kiedy wróce, wszystko będzie jeszcze lepsze. I będę miał wszystko, czego tylko zapagnę.

- Piętnaście lat.

- No tak. Musisz zrozumieć w jaki sposób działają drzwi - zasu. W tej chwili są twojej wysokości, wystarczająco duże, żeby przepuścić kabel telefoniczny, rurociąg z ropy, no i powiedzmy torbę z pocztą. Powiększenie ich do allow transportowania na przykład ludzi czy wyposażenia jest tak drogie, że robi się to tylko dwukrotnie, na początku i na końcu projektu. Wier jak widzisz utknęliśmy tu na dobre.

Rice odchrząknął i wychylił swoją szklaneczkę. Hasz Imperium Otomanskiego pogmatwał nieco tk jego myśli. Był zbyt otwarty i spowodował, że chłopak zaczął marzyć o emigracji, a nie mógł do diabła, zdobyć dla niego Zielonej Karty. Nie przy milionach takich, którzy marzyli o darmowej wycieczce w przyszłość, czy bilionach nawet, jeżeli policzyć inne projekty, jak Imperium Rzymskie czy Nowe Królestwo Egiptu.

- Ale mnie jest tu naprawdę dobrze - powiedział Rice. - To jest jak... jakbyś zmieniał historię. Nigdy nie wiesz, co z tego wyniknie.

Rice przekazał fajeczkę następnej z grupy, Antonii jakiejś tam.

- To są wspaniałe czasy, żeby żyć. Spójrz na siebie. Wszystko się układa, no nie?

Pochylił się do przodu opierając o stół i w nagłym przypływie szczerości powiedział:

Uważam, że wszystko jest w porządku, przecież nie macie do nas pretensji o to, żeśmy spieprzyli wasz świat?

Coś ty, żartujesz? Patrzysz na bohatera Salzburga. Prawdę mówiąc ten twój Parker miał nagrywać mój dzisiejszy koncert. Niedługo będzie mnie znana cała Europa... Kłós stojący w przeciwnym kącie sali wykrzyknął coś do Mozarta po niemiecku. Chłopak obejrzał się i machnął uspokajająco ręką. Znowu odwrócił się w stronę Rice'a. - Sam widzisz, że nieźle daje sobie radę.

- Sutherland zamartwia się tymi wszystkimi symfoniami, których nie napiszesz.

- Mam to gdzieś. Nie chcę pisać symfonii. Mogę ich słuchać, kiedy tylko mam na to ochotę. A kim jest ta Sutherland? Twoja dziewczyna?

- Nie, ona jest dla miejscowych. Dantona, Robespierre'a takich tam różnych. A ty? Masz tu kogo?

- Nic poważnego. To znaczy już dawno nie.

Ach tak?

- No dobra, powiem ci, kiedy miałem sześć lat byłem na dworze Marii Teresy Grywałem z jej córką - Marią Antoniną. Teraz ona nazywa się Marie Antoinette. Najpiękniejsza dziewczyna jaką widziałem. Często graliśmy w duet. Żartowaliśmy ze pobieraliśmy się, ale potem pojechała do Francji, do tej swini Ludwika.

- A niech to - powiedział Rice. - To naprawdę zabawne. Czy wiesz, że w moim czasie ona stała się legendą. Podczas Rewolucji Francuskiej ścieli jej głowę, bo...

Nie, nie ście...

To była n a s z a Rewolucja Francuska - przerwał mu Rice. Wasza była o wiele mniej brudna.

- Powinienes pojechać zobaczyć się z nią, jeżeli masz ochotę. Winna jest wam coś za uratowanie życia.

Zanim Rice zdążył cokolwiek odpowiedzieć, przy ich stoliku zjawił się Parker w otoczeniu byłych dam dworu, udranych w skorzane szorty i wyszywane cekmany podkoszulki bez rama czek.

Hej, Rice - zawołał Parker, pogodnie anachroniczny w blizszej podkoszulce i czarnych skorzanych dzinsach - Idziemy się zabawić?

Rice patrzył na tłoczące się wokół stołu dziewczyny wystrząsające zębami korki z butelek od szampana. Gotowe były wzajemnie się pozabijać dla niskiego, grubego, odrażającego Parkera, było tylko mogły spędzić noc na czystych przesłuchaniach i odwiedzić jego gabinet lekarski.

Nie, dzięki - odpowiedział, wyplatując się z kłopotem przed wodow urządzeni nagrywający Parker. Obraz Marii Antoinette nie opuszczał go.

Rice siedział nagi na brzozi, bez żadnych ubrań, lekko w chłodnym półmroku kłaniając się z okna z ciemnego, oszklawionego czarnego szklana soczewy, znowu nagle... (znowu...)

Służba ogrodowa złożona z byłych przestępców, która... (znowu...)

Lepšie niż CZŁOWIEK...



ka, byłego chłopca. Pilnujący przebrał się dla niepoznaki. O tym kim był świadczyła tylko trójkolorowa kokarda na zniszczonej czapce. Żuł gumę i bawił się tanim, plastikowym pistoletem maszynowym. Ogrady Petit Trianon, podobnie jak sam Wersal, jako obiekty niezwykle cenne otoczono staranną opieką. Pozostały własnością Narodu. Nie można ich było przetransportować przez drzwi czasu, ponieważ były zbyt duże.

Marie Antoinette leżała rozwalona na łożku pokrytym różową kapą z grubiej satyny. Ubrana w skrawek czarnego sznurka, spełniającego rolę biczownicy, przerzucała Vogue. Ściany sypialni zawieszono były płótnami Bouchera: pola zuchwałych, jedwabnych stych zadowolonych, rozowych posładków, znających rozkosz ust. Rice przenosił nieprzytomny wzrok z portretu Ludwika O'Murphy, rozciągniętej jak kotka na sofie, na gładki kremowy obszar pleców Toinette. Odetchnął głęboko.

- Ten facet rzeczywiście umiał malować - powiedział.

Toinette odłamała kawałek czekolady i wskazując oglądane pismo powiedziała:

- Chcę mieć to bikini. Kiedy byłam dziewczynką, moja cholerna mamusia zawsze trzymała mnie w cholernych gorsetach. Wydawało się jej, że moje, no jak wy na to mówicie, moje łopalki są zbyt sterczące.

Rice pochylił się w stronę jej masywnego ciała i poklepał uspokajająco po siedzeniu. Czuł się cudownie ogłupiały. Połtora tygodnia obsesyjnej zmysłowości i euforii zredukowało go do poziomu zwierzęcia.

- Zapomnij o mamusi, dziecko. Teraz jesteś ze mną. Jeżeli chcesz to cholerne bikini, zdobędę je dla ciebie.

Toinette zlizwała czekoladę z palców.

- Jutro pojedziemy sobie na wieś, dobrze? Przebierzemy się za wieśniaków i będziemy się kochać w siołach siana.

Rice zawahał się. Jego urlop, który miał trwać tylko przez weekend, przeciągnął się już do półtora tygodnia. Do tego czasu powinna go być zacząć szukać służba bezpieczeństwa. Do diabła z nimi, pomyślał.

Wspaniale powiedział zadzwonię, żeby zamówić jedzenie na majówkę. Gesie wątróbki i trufle, może trochę zółtwa...

Toinette nadąsała się.

- Wolę coś nowoczesnego. Pizze, kielbaski i smażone kurczaki.

Gdy Rice wzruszył ramionami, zarzuciła mu ręce na szyję.

Korhasz mnie, Rice?

- Czy kocham cię? Dziecinie, kocham samą myśl o tobie.

Był pijany historią, która wynikała się spod kontroli i unosiła go jak jakiś olbrzymi czarny motocykl wyobraźni. Kiedy pomyślał o Paryżu, gdzie małe bary i budki z zapiekankami zastąpiły gilotyny, a szesnastoletni Napoleon zapychał się gumą do żucia na Korsyce, czuł się jak Archanioł Michał na pełnym szwungu.

Wiedział, że megalomania jest jego ryzykiem zawodowym. Ale przecież i tak niedługo wróci do roboty, jeszcze tylko pare dni.

Zadzwonił telefon. Rice okrył się pluszowym szlafrokiem, który należał uprzednio do Ludwika XVI. Ludwika już to nie obchodziło, był obecnie szczęśliwie rozwiedzionym slusarzem w Nici.

Na małym ekranie przy telefonie pojawiła się twarz Mozarta.

Hej, stary, gdzie jesteś?

- Francja - ogólnikowo odpowiedział Rice. - O co chodzi?

- Kłopoty Sutherland przesłała zażalenie nerwowe i odbywa teraz kurację uspokajającą. Co najmniej sześć kluczowych osób włączając ciebie, ułomilo się. Mozartowi pozostał już tylko nieważny niemiecki akcent.

Hej, ja się nie ułomilem. Za pare dni będę z powrotem. Przecież mamy w Europie Północnej trzyzłoty luzak. Jeżeli masz wasz się o twoje sprawy.

Nie o to chodzi. To jest poważna sprawa. Zaczęły się rozruchy. Komandze rozrabiają w Teksasie. Robotnicy strajkują w Londynie i Wiedniu. Zaniepokojeni są ci z Czasu Rzeczywistego. Zaczynają mówić że trzeba was zabić z powrotem.

- Co? To go wreszcie zabił ktoś?

Dowiedzieliśmy się o tym z pierwszego porzy. Pizze, że oje racja wynika się wam spod ciurka. Ulganie złym wpływom, fraternizacja i tak dalej. Sutherland narobiła spornych kłopotów. Za nim wypadła z gry. Organizowała Masonów w cns w rodzaju biernego oporu i Bog wie co jeszcze.

Cholera! Ci przekleci politycy znów przykrecaли śrubę. Nie dość, że nahałował się zbyt rafinera i rurociągiem działał, teraz jeszcze będzie musiał sprzątać po Sutherland. Spojrzał na Mozarta.

Mówiles o fraternizacji, o co ci właściwie chodzi? Co ty u diabła robisz i dlaczego właśnie ty do mnie dzwonicz?

Mozart pokiwał.

Po prostu próbuję pomóc. Pracuję teraz w pionie łączności

- To daje ci Zieloną Kartę. Jak u diabła ci się to udało?

Sluchaj, stary, muszę już iść. Wróć tu, dobrze? Potrzebujemy cie - Mozart na moment podniósł oczy patrząc ponad ramieniem Rice'a. - Możesz zabrać ze sobą swego kroliczka, jeżeli chcesz. Ale pośpiesz się.

Ja... cholera, no dobrze - powiedział Rice.

Rice ciągnął równo osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, wzbijając kłęby kurzu nad poprzecinaną głębokimi koleinami drogą. Był niedaleko granicy z Bawarią. Nierówne szczyty Alp na tle nieba wznosiły się nad jasnymi zielonymi łąkami, małymi malowniczymi wiejskimi domkami i czystymi, bystrzymi strumieniami wypływającymi z polaci topniejącego sniegu.

Przeżyli właśnie swoją pierwszą kłótnię. Toinette prosiła o Zieloną Kartę, której Rice nie mógł jej załatwić. W zamian zaproponował jej Szarą Kartę, która pozwoliłaby jej przenosić się z jednej gąsienicy czasu na drugą, jednak z wyłączeniem Czasu Rzeczywistego. Wiedział, że jeżeli projekt upadnie, będzie musiał złożyć rezygnację, a chciał ją zabrać ze sobą. Pragnął być w porządku i nie zostawiać jej w świecie pozbawionym czekolad i Vogue.

Alc to jej nie interesowało. Po kilku kilometrach przykrego milczenia zaczęła się kłócić.

- Chcę mi się siusiu - haknęła wreszcie. - Zatrzymaj się obok tych cholernych drzew.

- OK - powiedział Rice. - OK.

Zatrzymali się. Ślady łaciących krow, przestraszonych warkotem rozbiegło się z podzwanianiem dzwonek. Na drodze poza nimi nie było nikogo.

Rice wstał i przeciągnął się, patrząc na Toinette wspinającą się na drzewiany przełaz i idącą w kierunku kępy drzew.

- Nie wyglupiaj się - krzyknął. - Przecież nikogo tutaj nie ma. Nie musisz nigdzie iść.

W tym momencie z przydrożnego rowu wyskoczyło z tuzin mężczyzn, którzy rzucili się na niego. W ciągu sekundy otoczyli go, mierzac w niego z flint. Nosili trójkątne kapelusze, peruki i żakiety z żabotami znamionujące ludzi z wyższej sfery. Ich twarze były zakryte czarnymi maskami.

- Co to za maskarada? - zapytał zdziwiony Rice. - Tłusty czwartek?

Ich dowódca zerwał maskę i błazensko się sklonił. Jego przystojną teutońską twarz pokrywał puder i roz.

Książę Axel Ferson, do uszu.

Rice znał to nazwisko. Ferson przed rewolucją był kochankiem Toinette.

- No dobrze, książę, rozumiem, że możesz być trochę wściekły ze względu na dziewczynę, ale myślę, że jakoś moglibyśmy się dogadać. Nie chciałbyś na przykład kolorowego telewizora?

Może pan nam oszczędzić paskich sarkastycznych uwag - wrzasnął Ferson. - Nie zbrukam moich rąk żadną kolaboracją. My reprezentujemy Front Wyzwolenia Wolnych Masonów.

- O Chryste - jęknął Rice. - Nie mówicie chyba tego poważnie. Zamierzacie się na nas z tymi waszymi pukawkami?

Zdajemy sobie sprawę z waszej przewagi zbrojnej. Dlatego zostaliśmy naszym zakładnikami. - Związał mu ręce i poprowadził go poprowadził do wozu konnego, ukrytego w zagajniku.

Czy nie moglibyśmy przynajmniej zabrać mojego pojazdu? - zapytał Rice. Obejrzawszy się zobaczył zgnębioną Toinette siedzącą przy drodze.

Nie akceptujemy waszych maszyn - powiedział Ferson. - To jeszcze nie jest objawem waszej bezwładności. Niedługo wrócimy was z powrotem do piekła, tam skąd przyszliscie.

- Za pomocą czego? Kna od szwartzki? - zapytał Rice siadając w woz i usiłując nie zwracać uwagi na smród koni. - Jeśli się na nie nie bierze naszą łagodność za słabość. Jeżeli przez długi czas zostanie tu wysłana Armia Szarych Kart, zostanie z was mokra plama - to wszystko.

- Jesteśmy gotowi na śmierć. Każdego dnia wysłano nas do szpitali pod chorągiewkami. Wszystkowiedzacie. Przypnijmy to, co jest nam pisane. Przeznaczenie z którego chcecie nas igrać.

Wasze przeznaczenie? Rice a az zaskakało. Postępnie książę słyszałeś kiedyś o gilotynie?

Nie mam najmniejszego zamiaru słuchać nadal o tych waszych maszynach. Ferson dał znak podwładnym. - Zakneblujcie go.

Zawiezli Rice'a do wiejskiego domu na przedmieściach Salzburga. Podczas piętnastogodzinnej jazdy wozem, po której czuł każda kość, myślał tylko o Toinette. Czy gdyby obiecał jej Zieloną Kartę, też zważyłaby go w zasadzkę? Karta była jedyną rzeczą, której pragnęła. W jaki jednak sposób mieli ją zdobyć Masoni?

Pilnujący go strażnicy przechadzali się nerwowo pod oknami domu, a Rice był skrzętny na aluzje i znaczenia drszkach. Ponie-

We Wrzeczonie nie istnieją pory roku, ale Znachornia jest pełna sentymentu dla tradycji i wiezi z Planetą-Matką. Na płytach ścienych wyświetlano widoczki biały chędzierzających obłoków a powie-
trze z kanałów wentylacyjnych pachniało zielonymi liśćmi i bżem.

Najlepsze wosenne życzenia – powiedziałem do doktora Morusa

– Zamknij się – odrzekł, przesuwając parę igieł powitykanych w mój brzuch i studiując wskaźniki. –
Hm – Zaciśnął usta, wyciągnął parę igieł i oświadczył – No, popatrzmy sobie co tam jest. Walther's.
Wylaczylismy szluczny obieg sledzionowo-zylny. Twoja nowa watroba dziala dobrze, choc nie wyda-
lasz produktow przemiany materii tak szybko jak powinienes. Twojej rownowadze jonowej przywro-
cilismy poziom prawie przyzwolity, jak na czlowieka, a wiekszosc twoich tkanek ma juz w sobie nieco
wilgoci. W sumie – podrapal sie w glowe – powiedzialbym, ze zylesz, mozna wrecz zalozyc, ze operacja
sie udala.

– Doktorze, nie badz taki dowcipny – odrzekłem. – Kiedy ślad wychodze?

– Chcesz zaraz? zapytał z namysłem. – To lozko moze nam sie przydac. Mam mase platnych czeka-
jących pacjentow.

Otoz jedna z dobrych stron krazenia w mozgu krwi zamiasl trujacej zupy, ktora dotychczas musialem
zyć bylo to, ze potrafilbym myslec w miare jasno. Wiedzialam wrecz od razu, ze zarluje nie znalazlawabym
sie tutaj, gdybym sam nie byl platnym pacjentem w taki czy inny sposob i chociaz nie wiedzialam w jaki,
bylem gotow troche poczekac, by sie tego dowiedziec.

Ale bardziej interesowalo mnie wydoslanie sie ze Znachorni. Wiec zapakowalam mnie w pieluszki i
zawiezil na fotelu przez cale wrzeczono do lokalu Sub Vastry. Dorrnie byla tam juz przede mną, a Trzedia
Vastry biegala zaafierowana wokol nas obojga, podajac rosci z lagniecia. Ten plaski twardy chleb, ktory
oni tak lubia, az wreszcie zaprowadzila nas do pokoju na dlugi, przyjemny odpoczynek. Bylo tam tylko
jedno lozko, ale Dorrnie nie robilo to rozniczy, a tak czy inaczej w tym momencie byl to akademicki pro-
blem. Później juz nie tak akademicki. Po paru dniach takiej kuracji wstalem bardziej zdrowy niz kiedy-
kolwiek.

Wtedy tez dowiedzialam sie kto zaplacil za mnie rachunek w Znachorni. Przeciez prawie minule mialam
nadzieję, ze to ja, niemozliwie bogaty dzieki hipom z tunelu, ale wiedzialam ze to niemozliwa. Pieniadze
mogismy zrobic tylko cichaczem, a oboje bylismy zbyt bliscy smierci wrzeczona, by
cokolwiek ukrywac.

Wiec zwalili sie tam wojskowi i wszystko zabrali, ale okazali, ze maja serce. W zaniku i skamieniale,
ale jednak serce. Wleził do podziemi jeszcze gdy bralem przez sen lewalywy z kieszki i to co znalazli
zrobilo im wystarczajaca przyjemnosc, by zderydowac, ze mam prawo do jakiegos staleznego. Niewiel-
kiego, prawde powiedzialy. Okazalo sie tego dostac na zaplacenie czekow z waplitywym pokrywaniem,
ktore podpisywalem by sfmansowac wyprawe, honorarium chirurga oraz koszty pobytu w szpitalu.
Zostalo jeszcze tyle reszty, bysmy mogli wplacic pierwsza rate na wlasni, chate hickizku.

Przez pewien czas meczylo mnie, ze sie nie dowiem co tam znalazli. Probowalam nawet upic sierzan-
ta Kolancko, gdy przyjedlala do Wrzeczona na urlop. Ale Dorrnie byla przy tym, wiec jak tu upic jedna
dziewczynie, gdy druga cie przy tym pilnuje? Prawdopodobnie Ewa Kolancko i tak nic nie wiedziala.
Prawdopodobnie nie wiedzial nikt, prócz specjalistow do spraw uzbrojenia. Ale cos tam musialo byc,
biorac pod uwage nagrode pieniezna, a przede wszystkim to, ze nie scigal mnie za wkroczenie na teren
wojskowy. Tak wiec we dwoje dawalismy sobie rade. Albo we troje.

Okazalo sie, ze Dorrnie umie dobrze sprzedawac ogniopierfy Ziemiakom: turystom szczegolnie gdy jej
cięża stala sie widoczna. Utrzymywala nas do poczatku pełni sezonu, a gdy ten sie zal za przetrwanie
sie, ze jestem czymś w rodzaju miejscowej znakomitosci, dzieki czemu ugadalem, sobie toczycze ban-
kow na nowa kapsule. Powodzilto sie wiec nam całkiem niezle. Objeżdżeni, ze jest nasz dziecko okaze
sie chlopcom, to sie z nia ozenie, ale prawde mowiac robie to tak czy tak. Byla mi wielka pomoc
szczegolnie przy moim prywatnym i osobistym planie wycieczki przy szwie. Nie mogla wiedziec czemu
tak choc bysmy zabrali jalo Cochenoura, ale sie nie sprzeczlala i choc byla chora i nieszczesliwa a pomog-
la mi wcielac je do sluzby kapsuly.

Prawde mowiac bartizo go potrzebowalam.

Oczywiscie nie jest to całkiem nowa watroba. Być może nie jest nawet malo uzywana Bog tylko wie,
gdzie Cochenour ja kupil, w kazdym razie nie nalezala do jego oryginalnego wyposazenia. Ale dziala i
choć byl to sukinyś, w jakis sposob go lubilem i zupełnie mi nie przeszkadza fakt, ze mam z niego
kawalek zawsze przy sobie

KONIEC

Frederik Pohl

KUPCY WENUSJAŃSCY

(The Merchants of Venus)
przełożył Juliusz Garztecki

Często goszczący na naszych łamach Frederik Pohl ma – w co trudno uwierzyć patrząc na tego tryskającego energią szczupłego młodzieńca – 85 lat i płąta żonę. Całe jego pra-
cowite życie wiąże się z science fiction. Pohl jest jednocześnie wytworem i współtwor-
cą tego specyficznego ruchu, subkultury czy nawet, jak twierdzi Barrington Bayley,
współczesnej religii. Był agentem literackim wielu czołowych autorów SF w latach
czterdziestych, potem łączył karierę pisarza z pracą redaktora w czasopiśmach (pod
jego kierownictwem „If” zdobyło trzykrotnie nagrodę Hugo i wydawnictwach książ-
kowych. Jest autorem kilkudziesięciu antologii oraz licznych artykułów na temat SF,
był prezesem SF Writers of America, działała aktywnie w organizacji World SF, uczest-
niczył (niejednokrotnie jako gość honorowy) w licznych amerykańskich, zagranicz-
nych i międzynarodowych zjazdach i konwentach. Czyżby znalazł sposób na podkra-
danie czasu z równoległej rzeczywistości?

Jako pisarz Pohl był zawsze wyżej ceniony za swoje opowiadania niż za powieści –
wyjątek stanowiła napisana wspólnie z Kornblithem powieść „Space Merchants”
(1952), której zyskała rangę dzieła klasycznego w gatunku i została wkrótce przełożona
na 30 języków. Jednak od drugiej połowy lat siedemdziesiątych, kiedy Pohl zrezygno-
wał z pracy wydawniczej, pokazał się on od jak najlepszej strony również jako autor
powieści. Powstały wtedy „Man Plus” (1976) i „Gateway” (1977).

Mikropowieść „Kupcy wenusjanscy” pochodzi z roku 1971, tego samego, w którym
powstał inny znakomity utwór Pohla „Skarb w środku gwiazdnej tęczy” („Fantasyka”
nr 7/85). Jej tytuł nawiązuje, oczywiście, do „Kupca weneckiego” Szekspira, skąd
został zaczerpnięty pomysł sposobu spłacenia długu.

L.J.

Przekopaliśmy się do tunełu Hiczi. Był nie uszkodzony i czekał na nas. Nasza sliczotka była niekierowna. Wzieliśmy jej dźwignę z całą miłością i szarynką i weszliśmy w nią.

xii

Musieliśmy znowu zemścić, a gdy przyszedłem do siebie leżałem na podłodze lunetu Helm, miałem otwarty. Borze zapieczętuję również. Odczytałem, słysząc, że smierdząca powietrzni, które leżało czwarte miliona lat i par białego kard nura, a tego czasu. Ale to było powietrze. Gęstsze niż normalne ziemskie i znacznie wilgotniejsze, ale i smierdziło nie tak, jak sam. W każdym razie nadawało się do oddechu. Uświadomiłem, że wdechając je nie umierać.

Obok mnie leżała Dorcie Keeler. W niebieskim świetle hiciejskich ścian jej ciało wyglądało nic nadzwyczajnie. Porządkowo nie byłam nawet pewien, czy żyje. Ale niezależnie od swego wyglądu puls miała dobry, pulsa funkcjonowały, a gdy porzuciła, że ja tracam, otworzyła oczy

Ustedniemy usmuchać się do siebie grupowo jak barnawowowi, a barnawowskiemu świę-

14 Zrobić coś więcej w tym momencie było zupełnie niemożliwe. Byłem zbyt zajęty przyglądaniem do wiadomości, że nie umiałem nie chcieć tego mieć. Prawdziwego faktu poruszaniem się. Ale nie było mi wygodnie i po chwili rozumiem, że jest mi bardzo gorąco. Zamkniętym hełm, by odciąć się od gorąca ale smród wewnątrz był tak okropny, że używałem go ponownie, doszedłszy do wniosku, że on jest łatwiejszy do wytrzymania.

wniosku, że upatrz jest łatwiejszy od wyuzdania...
Wtedy przyszła mi do głowy myśl ze gwaro jest tylko nie przyjemne, a nie zaołczce, Przenikanie energii przez powierzchnie mechanicznej wykładał, i są one jest bardzo łowalne, ale nie dość powolnie jak na prawie miliona lat. Moja lepy stary może przetrawiać je, myśl przez pewen czas i dostajeć do następnego wniosku przynajmniej co niedawno here skutek a najwyżej i sarchej temu, lunel był chłodzony Oczywiście autorytarnicznie pomysł, idąc: mądre Bomba, „to są samo jedno warcie być odkrycia i szkodzona czy nie, maszynieria bezleż warta inaiatek...

byłoby. Uszkodzona tak nie, maszynierka będzie w całości odbudowywana. Popatrzyłem wzdłuż korytarza w obu kierunkach, by zobaczyć, jak ma przebiegać, dłaciego tu jesteśmy. Popatrzyłem wzdłuż korytarza w obu kierunkach, by zobaczyć, jak ma przebiegać, dłaciego tu jesteśmy.

Gdy byłem uczniakiem w Amapilillo Central, mój ojciec i ubiora nana. Zwykle była kulawa i nazywała się panna Stevenston, która miała za życia opowiadac nam historie zarzucone od Bullfincha i Hornera. Cały jeden weekend zamarzała sobie, by mi opowiedzieć o facie, który chciał być bogiem. Był królem małej krainy w południowej Tybii, nie chciało mu się wstawić Bogów, więc pozwole mu przysięść na Olimp i siedzieć tam, póki nie strzelił w Tybii. Nie pamiętam jakiego, miało to coś w podobnego z psem i psakudnią sprawą skdo nienawidził Bogów podstępem, by zjedli jego syna. Cokołwiek zmalował skazali go na samotne uwięzienie na wzgórze w piękne słońce po sześć w zimnym jeziorze bez możliwości napicia się wody. Facet nazywał się Tantal, a ja w tym czasie, skim i neli naderm wiele z niego w swoim. Bezpański skarb był na miejscu fakt, ale nie mogliśmy podołać na nim reki. Wzruszył się nie w głębi, tylko tylko w coś w rodzaju zakrzywionego łeznego objazdu, zabikowanego z obci kochów. Przez na wól archiwione wrota byliśmy w stanie zarzucić do głównego chodnika. Widzieliśmy hiszpańskie maszyny i bezskładnie słoty przedmiotów, które kiedyś mogły być pochodzą z zaważającą rozsypaną po podłodze. Ale nie mieliśmy siły go nich dotrzeć.

Przekazywały nam safadyrki. Bez nich może byłoby ciężej, ale czy słatczy podłogę. Ale nie mieliśmy siły do tego dotrzeć.

A jeśli wrócił gdy tu jeszcze bezmyślnie by nas poszukiwał i z apertur zamkniętą szła po obu końcach, rabnie w nas dwadzieścia tysięcy milicjantów gazu trującego. Drzewy nie nas zabije a przez tego kto znalazzą dziewczynę tutaj koroną tarciawa takiej implodzi każda roślina wysysko-
ca powietrze. Dobre okazywać się zegarek. I stała się sieć.

Lisa, 1980

- Na niewien czas - odryzka, odwróciła się i poszła przed siebie.

- Na niewiem czas - odrzekła, odwróciła się i poszła przodem.

Po wesolym, bieżącym lataniu huczarskiego łuncar' igłko zdawało się riasne i niedzne, a uagorsze tyło-
 ☆
 po wesolym, bieżącym lataniu huczarskiego łuncar' igłko zdawało się riasne i niedzne, a uagorsze tyło-

pary równocześnie w takich seks-inspektach na osmiogodzinne zmiany przez całą dobę. Wtedy tacy jak ja muszą wytrzymać w hicijskich chatkach na powierzchni, wynajmując własne podziemne pokoje, aby zarobić oienadze na następnych parę miesięcy.

Ale nie da się zarobić dość, aby przetrwać do kolejnego spotkania z orbitą Hohmanna, więc gdy zjawiała się furcata Drugiej kategorii, nadržamy sobie nawzajem gardła, by ich dosłać w ręce.

Są średnio zamożni. Można by ich określić jako ubogich milionerów: takich, których dochody wyrażają się liczbą zaledwie siedniocyfrową. Mogą sobie pozwolić na przelot po orbitach wymuszonych, trwających około stu dni zamiast długiego, powolnego, beznapędowego dryfu orbitą Hohmanna. Kosztuje to milion i więcej dolarów jest ich więc z pewnością mniej. Ale przybywają prawie każdego miesiąca, gdy pozwala na to w miarę korzystna koniunkcja orbitalna obu planet. Mają też więcej pieniędzy do wydania. To samo dotyczy innych średniozamożnych docierających do nas cztery lub pięć razy na dekadę, gdy halistyka planetarna dzięki konfiguracji trzech planet pozwala na wybranie lżejszej orbity, która wymaga niewiele większego wydatku energetycznego niż prosty lot na trasie Ziemia--Wenus. Jeśli mamy szczęście, zjawiają się najpierw u nas, następnie lecą na Marsa, jeżeli kolejność jest odwrotna, dla nas zostają resztki. A to nigdy nie jest dużo.

Ale bardzo bogaci, ach, bardzo bogaci! Ci przybywają kiedy chcą, w sezonie korzystnych orbit lub poza nim.

Gdy mój kapus z ładowiska zameldował, że przybył prywatny czarter poczułem zapach pieniędzy. O tej porze nie mógł przybyć nikt, kto nie był bardzo bogaty. Jedynym moim problemem było, ilu konkurentów będzie próbowało poderżnąć mi gardło.

Wynajem kapsuł powietrznych wymaga o wiele większych nakładów niż otwarcenie kiosku z wacziarnymi modlitewniami. Miałem to szczęście, że udało mi się kupić kapsułę tanio, gdy kłosego pracowałem umarł. W tym momencie nie miałem zbyt wielu konkurentów, paru z nich miało pojazdy w manrowie, pozostali przesiadkiwali na własną rękę bicizkile podziemia.

Wtedy prawie mówiąc miałem pasażerów z "zarłaku, kimkolwiek byli, tylko dla siebie. Oczywiście, naprawie, przostali przyszukiwali na własną rękę, nie mając pojęcia, co się dzieje."

Musiłem dowieść, że chci to zainteresuje, ponieważ bardzo potrzebowałem pieniędzy. Wiedzi, miałem taką drobną dolegliwość w strzyżeniu. Była bliska kompletnej wysiadki. Jak mi wyflumaczył lekarz, miałem trzy możliwości: albo wrócić na Ziemię, by pomazać się jeszcze trochę na zewnętrzną protezę, albo zrobić pieniądze na przetrwanie. Albo umrzeć.

II

Facet, który wczarował ten statek nazywał się Boyce Cochenour. Wyglądał na czterdziestkę, wynosił dwa metry. Pochodził z irlandzko-amerykańsko francuskiej.

Natomiast do tytków przyzwyczajonych nie rozprowadzać. Usiadł w bulwarowo parysko-huizjskiej umi-
miną właściciela przycelowującego się do jego sprzedawcy. Usiadł w bulwarowo parysko-huizjskiej umi-
tacji kafetii ze stolikami na chodniku, należącej do Suhi Vastry. Powiedział:

- Szkoła

A Vasilra pospieszyl nadat „Johna Begga” na koslku swietlinie ochlodzonego lodu i podal mu, trzeszczac, ce od zimna i zniczulalara wargi

Pałce powędział, a towarzyszący mu

Nieznana speluna - oswiadczył, a Vastra zaczął wytłacz ze skóry, by okazać, jak bardzo się z nim zgadza

Usiadłem przy nich, no, to znaczy nie przy ich stoliku; nawet na nich nie spojrzałem. Ale słyszałem, mówili. Waszta leż na mnie nie spojrzaj, choć oczywiście widział, jak wtórnie wiedział, że mam ich, że mam na oku. Ale musiałem się pogodzić z tym, że zamówień e przyjecha od mnie jego żona Numer Trzy, bo Waszta nie zamierzał truć na mnie czasu mając przy stoliku Ziemiała z czarstwowego statku jak zwykle – powiedziałem, mając na myśli czysty spirytus podany w kubku od napoju bezalkoholowego.

Jak zwykle – powiedziałem, mając na myśli czysty spirytus podany w kubku od napoju bezalkoholowego.

Poczułem, że coś trąca mnie w ramię i odkryłem, że Dorrie siedzi koło mnie. Nie pytała o nic, nie próbowała nic mówić. Myślałem, że wszystko zrozumiała bez słowa.

Według chronometru w мом skafandrze upłynęła pięć godzin. Zostało trochę ponad trzydzieści i nim Cochenour wróci by nas zabrać. Nie było sensu siedzieć tu cały ten czas, ale z drugiej strony nie widziałem żadnego sensu w robieniu czegośkolwiek innego.

Oczywiście, pomyślałem, zawsze mogę przez chwilę pospać... i nagle obudziłem się i zrozumiałem, że to właśnie zrobiłem.

★

Dorrie spała obok.

Możecie się zdziwić, jak człowiek może spać w środku południowobiegunowej burzy termicznej. To wcale nie trudne. Wystarczy, że jest się zupełnie wyczerpanym i zupełnie zdesperowanym. Spi się nie dla zabicia czasu, lecz by odciąć się od świata, gdy jest zbyt parszywy by nań patrzeć. Jak nasz Ate Wenus jest ostatnią ostoją etyki purytańskiej. Związanią Wiedziąłem, że praktycznie jestem trupemnie nie czulenem, że muszę coś zrobić. Odsunąłem się ostrożnie od Dorrie, sprawdziłem, że jej skafander jest przypięty pasem do piersi. Uszczelniającego o podsta wy igloo i wstałem. By wstać musiałem bardzo się skupić, co było równie dobre na niemysłenie o zmarłwieniach, jak sen.

Przyszło mi do głowy, że może są ciągle jeszcze żywi Hiczi w tunelu, którzy usłyszeli jak pukamy i otworzyli nam wejście na dnie szybu. Wpchnąłem więc do igloo by popatrzeć. Dla pewności zaprzętałem w głąb szybu. Nie. Nie otworzyli. Była to zwyczajna ślepa dziura w ziemi, znikająca w brudnym, gęstym mroku tam, gdzie nie sięgało światło mego reflektora helmowego. Obrzucałem przekleństwami Hiczych, którzy nam nie pomogli i kopnąłem w głąb szybu parę odłamków na ich nie istniejące głowy.

Świerzbila mnie etyka purytańska i zasłanawiałem się, co powinienem zrobić. Umrzec? No można, ale to i tak szło z wystarczającą szybkością. Coś konstruktywnego? Przypomniałem sobie, że każde miejsce należy zosłać tak, jak się je zaslato, podniosłem więc wierła kolowrotiem z przekładnią jeden do osmiu i poukładałem je porządkie. Znowu kopnąłem trochę odłamków do niepotrzebnej dziury, by zrobić sobie miejsce usiadłem i zacząłem myśleć.

Zasłanawiałem się, co zrobiliśmy nie tak, używając metody stosowanej przy rozwiązywaniu zadań szachowych. Ciągłe jeszcze miałem w pamięci zarys ekranu. Był jasny i wyraźny, więc na pewno coś tu było. Po prostu nie powiodło nam się i spudłowaliśmy.

Ale dlaczego spudłowaliśmy? Po pewnym czasie miałem już, jak sądziłem, odpowiedź.

Ludzie w rodzaju Dorrie czy Cochenoura wyobrażają sobie, że kontur sejsmiczny to coś, jak mapa urządzeń podziemnych. Wskazują sobie, z zaznaczonymi wszystkimi ściekami, uzbrojeniem terenu i siłami wodociagową. Wystarczy więc kopar w miejscu, gdzie są znaki, by znaleźć co się chce. Ale to nie tak. Kontur pojawia się jako coś w rodzaju mglistego przybliżenia. Tworzy się godzinami przez pomiar echa mikrofal. Wygląda jak pasmo pajęczyny, o wiele szersze niż sam tunel i rozprzyskające się po brzegach. Gdy się je ogląda, można się dowiedzieć, że gdzieś w mrokach jest coś, co je wywołuje. Może granica fazowa skały albo złóż zwiru. Gdy ma się szczęście jest to podziemie Hiczych. Cokolwiek to jest istnieje gdzieś tam z pewnością, ale nie wiadomo dokładnie gdzie. Jeśli tunel ma dwadzieścia metrów średnicy, to jest właściwą średnicą dla hiczichskich tuneli łącznikowych, kontur cieniowy na pewno pokaże szerokość piodziessiał, może nawet i sto.

Gdzie więc kopac?

Na tym polega sztuka poszukiwania. Trzeba zgadywać na podstawie posiadanych informacji. Można wiercić dokładnie w środku geometrycznym, o ile da się zobaczyć, gdzie jest środek. To najłatwiejszy sposób. Można wiercić tam, gdzie cienie są najgłębsze. Tak postępują średnio bystry poszukiwacze: prawie co drugi raz im się udaje. Można też robić to co ja, to znaczy starać się myśleć jak Hiczi. Patrzy się na kontur, jak na całość i zastanawia, jakie punkty mógł on łączyć. Następnie wyznacza w wyobraźni drogę między nimi, to znaczy jak zaplanowałbyś tunel, gdybyś był hiczichskim inżynierem kierującym budową i wiercił gdzieś na tej linii.

To właśnie zrobiliem, ale oczywiście zrobiliem to źle. Myślałem mi się metry, ale zacząłem dochodzić do wniosku, że wiem co zrobiliem.

Wyobraziłem sobie kontur. Właściwym miejscem wiercenia było to, na którym posadziłem kapsułkę, ale oczywiście nie mogłem tam ustawić igloo, bo mi kapsuła przeszkadzała. Więc ustawiłem je z dziesięć jardów dalej na stoku jaru.

Nie było. Ale za to wiele się dowiedziałem. Dziewczyna która była z Cochenourem nazywała się Dorota Keefler. Podróżuje z nim od paru lat, tym razem po raz pierwszy poza Ziemię. Nie było nic na temat ich małżeństwa ani projektów na nie, przynajmniej z jego strony. Ona miała niewiele ponad dwadzieścia, wiek rzeczywiście, nie fmgowany iekam i przeszczećpami. Sami Cochenour mocno przekroczył dwadzieściziesiątkę.

Oczywiście nie wyglądał ani na to, ani nawet blisko tego. Przyglądałem się jak podchodził do stolika, jak na chwilę jego wzrostu poruszał się lekko i sprężyste. Forse miał z własności ziemskiej i petro-żywności według informacji był jednym z pierwszych milionerów naftowych, którzy przestawili się ze sprzedaży paliwa do samochodów i ogrzewania na produkcję żywności, hodując algi w surowej ropie z własnych szybow i po przetworzeniu sprzedając je dla celów konsumpcyjnych. Już nie był zwykłym milionerem, ale kims znacznie większym.

I to wyjaśniało jego wygląd. Korzystał z pełnej Lekarskiej z dodatkami. Sprawozdanie podawało, że serce ma tytanowo-plastykowe. Płuca przeszczepione z dwadzieściolatka, który zginął w katastrofie helikoptera. Działanie skóry, mięśni i tkanki tłuszczowej, nie mówiąc już o różnych systemach krążeniowych, podtrzymywał hormonami i biostymulatorami. Kosztował dobrze ponad tysiąc dolarów dziennie. Sądząc z tego, jak pokopał siedzącą obok niego dziewczynę, dostawał wszystko, co się należało za te pieniądze. Wyglądał i zachowywał się jakby miał nie więcej niż czterdzieści, może zdradzało go tylko spojrzenie jasnoniebieskich zimnych jak diamenty, zmęczonych i niewinnych oczu.

Cóż za wspaniały jeleni! Przeknąłem resztę mego drinka i kiwnąłem na Trzecią, by mi przyniosła następny. Musiał istnieć sposób zmuszenia go, by wynajął moją kapsułę.

Trzeba go tylko było znaleźć.

Na barierka kafejki Vastry połowa Wrzeciona myślała oczywiście w ten sam sposób. Byłismy na dnie martwego sezonu; banda Hohmannowska miała przylecieć dopiero za trzy miesiące, wszystkim nam zaczynało brakować pieniędzy. Mój przeszczep wairuby był małąką dodatkową zachętą. Z setki glodnych szczurów, których widziałem kąłem oka, dziewięćdziesięciu dziesięciu potrzebowało nie mniej pilnie niż ja chapać coś z fors bogatego turysty tylko po to, by zostać przy życiu.

Ale wszyscy nie mogli tego zrobić. Dwóch z nas, trzech, może nawet i tużin mogło zalać takie, by to coś naprawdę znaczyło. Nie więcej. A ja musiałem być jednym z tych niewielu.

Lyknąłem poeznie mego drugiego drinka, dałem ostentacyjnie Trzeciej Vastry hojny napiwek i leniwie odwróciłem się twarzą wprost do Ziemiaków.

Dziewczyna rozmawiała z grupką sprzedawców pamiętek z miną równocześnie zaciekawioną i nie-
pewną.

- Boyce? - zapytała, patrząc na niego przez ramię.

- Co tam?

- Do czego to służy?

Przechylił się przez barierkę i popatrzył.

- Wygląda na wachlarz - powiedział.

- Zgadza się, wachlarz modlitewny Hiczych' zawołał handlarz. Znałem go, był to Booker Allemang, weteran Wrzeciona. Sam go znalazłem, panienko! Spełni, każde pani życzenie, codziennie dbając listy od klientów donoszących o cudownych rezultatach...

- Przynęta na frajerów - warknął Cochenour. - Kup sobie jeśli chcesz.

- Ale co on powołuje?

Zasnął się chrapiłwie.

- To, co każdy wachlarz. Chłodzi. - I popatrzył na mnie z uśmiechem.

★

Dopiero drinka, kiwnąłem głową, wstałem i podszedłem do ich stolika.

- Wita cie na Wenus - powiedziałem. - Czy mogą państwu w czynnym pomóc?

Dziewczyna, nim mi odpowiedziała, spojrzaniem zapytała Cochenoura o zgodę

- Uwazam, że to jest bardzo ładne - oświadczyła.

- Bardzo - potwierdziłem. - Czy zna pani historię Hiczych?

Cochenour wskazał mi gestem krzesło. Usiadłem i ciągnąłem dalej.

Zbudowali te tunele mniej więcej ćwierć miliona lat temu. Mieszkali tu przez parę stuleci, w odcinach są duże różnice. Potem odeszli. Zostawili po sobie masę szmelcu i trochę rzeczy, które nie są szmelcem, między innymi te wachlarze. Niektórzy tutaj się nadgryzają, jak ten Be-gie, co tu stoi, wpadli na pomysł nazwania ich „wachlarzami modliwymi” i sprzedawania ich turystom, by sobie z ich pomocą zamawiali żywcem.

Allemanę nie tracił ani słowa z tego co mówiłem, starając się odgadnąć, do czego zmierzam.

– Przecież wiesz, że to prawda – powiedział.

– Ale wy dwójce jesteście za inteligentni na tego rodzaju gadki – ciągnąłem. – Niemniej przyjrzyjcie się im. Są dość piękne, by warto je było mieć nawet bez tej opowiadki.

– Oczywiście! – zawołał Allemanę. – Popatrz, panienko, jakie ten rzuca iskry! A te szare i czarne kryształki, jak pięknie kontrastują z pani blond włosami!

Dziewczyna rozwinęła wachlarz usiany kryształami. Tworzył zwój, ale w kształcie stożka. Wystarczyło najdłuższe dotknięcie kciuka by rozwinął się i gdy dziewczyna powiała nim lekko, wyglądała naprawdę bardzo pięknie. Jak wszystkie hicziskie wachlarze ważył tylko z dziesięć gramów, a jego kryształowa koronka odbijała zarówno światło luminescencyjnych hicziskich ścian jak i światłówek, które zaustawialiśmy tu my, szczury tego podziemnego labiryntu. Rzucił na wszystkie strony łeczowe iskry.

– Ten typ nazywa się Booker Garey Allemanę – powiedziałem. – Sprzeda wam taki sam towar jak inni, ale nie oszuka was tak bardzo jak większość z nich.

Cochenour spojrzal na mnie surowo, następnie przywołał gestem Soba Vastre zamawiając następną kolejkę.

– Dobra – oświadczył. – Jeśli będziemy kupować, kupimy od ciebie, Booker Garey Allemanę. Ale nie teraz.

Zwrócił się do mnie.

– A pan co chce nam sprzedać?

– Siebie i moją kapsułę powietrzną, jeśli pan chce szukać nowych tunelei. Oboje jesteśmy najlepsi w naszym kategoriiach.

– Ile?

– Milion dolarów – odrzekłem natychmiast. – Za całość.

Nie odpowiedział od razu, choć z pewną przyjemnością zauważyłem, że cena nie zrobiła na nim większego wrażenia. Wyglądał tak miło, a przynajmniej tak samo spokojnie znużony, jak zawsze.

– Najpłynię się powiedział, gdy Vastra i jego Trzecia nas obsłużyli. Dłonią ze szklanką zrobił gest pokazując Wrzeciono. – Wiadomo do czego to służyło? – zapytał.

– To znaczy, po co Hiczi to zbudowali? Nie Byli dość niskiego wzrostu, więc nie było wyrobiskiem kopalnianym. A gdy to odkryto, było całkiem puste.

Spojrzał wyrozumiale na ruchliwe otoczenie, na balkony wyciele w pochylonych ścianach Wrzeciona, gdzie mieściły się knajpy podobne do tej, w której siedzieliśmy szeregi kłosek z parnatkami, w większości zamkniętych w związku z martwym sezonem. Mimo to parę sepek szczurów podziemnych kreśliło się dookoła, a ich łosć była tym większa, im dłużej Cochénour i dziewczyna siedzieli przy stoliku.

– Niewiele jest tu do oglądania, prawda? – powiedział. – Dziura w ziemi i masa ludzi próbujących dobrnąć się do moich pieniędzy.

Wzruszyłem ramionami.

Znów wyszczerzył zęby.

– No to po co tu przyjechałem, co? Ano, to dobre pytanie, ale ponieważ pan go nie zadał, ja nie muszę odpowiadać. Chce pan milion dolarów? Policzmy sobie. Sto za wynajęcie kapsuły. Sto osiemdziesiąt czy coś koto tego miesięcznie za wynajęciem sprzętu. Minimum dziesięć dni, ale raczej trzy tygodnie. Żywność, zapasy, zezwolenia, jeszcze pięćdziesiąt. To już prawie siedemset tysięcy, nie licząc pańskiego honorarium i tego, co pan musi odpłacić naszemu gospodarzowi za to, że nie wyrzucił pana z lokalu. Zgadza się, Walthers?

nas, podniosłem głowę i patrzyłem jak Cochénour startuje w ulewę popiołu metalu ciężkich. Był to całkiem niezły start. W podobnych okolicznościach jako „ży” określiam całkowicie zniszczenie kapsuły i śmierć lub kolektwo jednej lub więcej osób. Tęgo uniknął, ale kapsuła weszła w drgania i ciężkie poślizgi, gdy tylko chwyciła ją porwy wiatru. Beznie miał ciężki lot o te paraset kilometrów na północ poza zasięg wykrywania z bazy.

Traciłem Dorrę stopa. Z wysiłkiem stanęła na nogi. Wętknąłem przewód telefoniczny w gniazdko jej hełmu, radio mieliśmy wyłączone, bo mogły się zdarzyć patrol graniczne, których byśmy nie dostrzegali.

– Czy już zmieniasz zamiar? – zapytałem.

Pytanie było dość szkaradne, ale ładnie na nie zareagowała Zachichotała. To widziałem, bo staliśmy twarzami do siebie i w cieniu hełmu widziałem jej twarz. Ale nie nie słyszałem, póki nie przypomniała sobie, że trzeba wcisnąć guzik telefonu, a wtedy doszło do mnie:

– ...Tumalczynie, tylko we dwójce.

No, na takie pogaduszki nie było czasu. Odrzekłem podrażnionym tonem

– Przesłaliśmy Tracć czas. Panie! Jaki, co ci powiedziałem. Matry powietrze, wodę i energię na 48 godzin. Nie licząc na żaden margines. Jedno czy drugie może starczyć na odrobinę dłużej, ale żeby wyżyć potrzeba wszystkich trzech. Staraj się nie pracować za ciężko, bo im powolniejsza przemiana materii, tym mniej ma do roboty system wydalenia. Jeśli znaleździemy tunel i wejdzimy tam, może będziemy mogli coś zyskać z żelaznych porcji, pod warunkiem, że nie będzie przebieży ani zbyt nagrzany przez ćwierć miliona lat. W przeciwnym razie nawet nie myśl o jedzeniu. A jeśli idzie o spanie, zapomnij...

I kto teraz traci czas? Wszysko to już mi mówiles. – Ciągłe jeszcze było jej wesoło.

Wpełziliśmy więc do igloo. Wzięliśmy się do roboty. Najpierw musieliśmy usunąć trochę gronadzącego się gruzu, bo wierło zostawił w ruchu. Oczywiście zwykle robi się to odwracając kierunek ruchu i obrotu głowic. Tęgo nie mogliśmy zrobić. Oznaczałoby to bowiem przerwę w drążeniu szybu. Musieliśmy to wykonać trudniejszym sposobem, czyli ręcznie.

No i było ciężko. Po pierwsze skałandy żaroodporne nie są wygodne. Gdy się w nich pracuje, są wręcz okropne. A gdy prace jest bardzo ciężka fizycznie i utrudniona przez ciasnotę wewnątrz igloo, w którym już mieszczą się dwie osoby i działająca wiertnia, jej wykonanie jest prawie niemożliwe.

Alle nie mając wyboru, dokonałszy tego

Cochénour nie skłamał. Dorrę była silna jak mężczyzna. Nie wiadomo było tylko, czy to wystarczy. A drugie pytanie, które męczył mnie z każdą minutą bardziej, było czy ja jestem silny jak mężczyzna. Ból głowy i wprost rozsadzał mi czaszkę a przy nasygłych ruchach miałem przed oczami mroczki. Znacornia obiecała mi trzy tygodnie do początku ostrej niewydolności wątroby, ale nie przy takiej pracy. Doszedłem do wniosku, że i tak już przekroczyłem mój czas. Wniosek był niepokojący.

Szczególnie, gdy po dziesięciu godzinach zdałem sobie sprawę, że jesteśmy niżej niż według sondowania miał znajdować się tunel, a z otworu nie wydobywa się żaden świetlisty niedziski gruz. Wywierciliśmy pusły sztyb.

★

Gdybyśmy mieli teraz koto siebie kapsułę, byłby to tylko kłopot. Może bardzo duży kłopot. Ale nie kłeska. Wróciłbym wtedy do kapsuły, umył się, pospał przez całą noc, zjadł posiłek i sprawdził komputer. Wierciliśmy w niewiadczym miejscu. Dobra, następnym krokiem powinno być wiercenie we właściwym. Zbadac teren, wybrać punkt, zapalić następne igloo, walczyć świdry i próbować, próbować od nowa. To powinno być zrobione. Ale nie mogliśmy. Nie mieliśmy kapsuły. Nie mieliśmy możliwości by spać czy jesc. Nie mieliśmy więcej igloo. Nie mieliśmy komputerów do przestudiowania. A ja z każdą minutą czułem się parszewiej.

Wypelziłem z igloo, usiadłem zaslonięty od wiatru i zagałępiłem się na smagane wichrem żółtozielone niebo.

Na pewno można było coś zrobić, gdybym tylko mógł to wymyślić. Zmusilem się do myślenia.

Ano, popatrzyłem. Może mogłbym zerwać igloo z podstawy, przenieść je na inne miejsce?

Nie. Mogłem oczywiście zerwać je za pomocą głowic, ale w chwili gdy zostanie uwolnione chwycą je wiatry i to będzie oznaczało pa-ja, kochanie. Nigdy go więcej nie zobaczę. Do tego nie da się go ponownie zaizolować.

A co z wietreniem bez igloo?

Możliwe, ocenilem. Ale bezsensowne. Przypuściłem, że będziemy mieli szczęście i dowlętny się gdzie trzeba? Bez igloo, chroniącym przed dwudziestu tysiącami miliardów gorących gazów, tak czy inaczej zniszczony zawartość.

pożyczki. Poszedłszy głowił się podtrzymywać klienta, póki mu się nie poszczęści, ale cicha by wówczas im zapłacił. Wiedzieli, że może polować, nim mu się poszczęści po raz drugi.

- Dzięki, Audée - powiedział zastępca, kiwając głową w stronę podpisanej umowy. - Co jeszcze możesz dla ciebie zrobić?

- Po twoich cenach, nie - odpowiedziałem.

- Ach, myślisz, że cie nabieram. „Boyc Cocchenour i Dorota Keeler, Ziemia, Ohu, w czarterze. Innych pasażerów nie ma”. Innych pasażerów nie ma - powtórzył, cytując meldunek, który mi dostarczył. - Ależ zostaniesz bogaczem, Audée, jeśli popracujesz jak trzeba nad tym frajerem.

- Ty nie żądam - powiedziałem. - Nie chce mi ponad to by zostać przy życiu.

Ale to nie była taka prawda. Miałem malutką nadzieję, niezły duży, w każdym razie nie tak duży, by o niej gadać. Prawde mówiąc nigdy nie powiedziałem na ten temat nikomu ani słowa. - Mogę wyjść z tego lepiej niż tylko żywy.

Ale był w tym pewien problem.

Według standardowej umowy przewodnika, uważać, oraz w warunkach wyjątkowych kapsuły, dostaje zapłatę i to wszystko, co mi się należy. Jeśli bierzemy takiego jeńca jak Cocchenour na polecenie w nowe tunele Hicziów, a on znajduje coś wartościowego - a jeleniom, wiecie, to się zdarza, nieczęsto, ale wystarczająco by mieć nadzieję - to jest to jego. My tylko dla niego pracujemy.

Z drugiej strony mogłbym się wybrać na własną rękę i poszukać, a wtedy cokolwiek bym znalazł, byłoby moje.

Jasne, że każdy z odrobina oleju w głowie wybrałby się sam, gdyby przypuszczał, że przeważnie coś znajdzie. Ale w moim wypadku to nie byłoby taki dobry pomysł. Gdybynt posłał na taką wyprawę i przegrał, to nie znaczyliby, że tylko straciłem czas i może przedziwiał z oszczędności i na skutek zwycięstwa sprzeży. Gdybym przegrał, byłbym trupem.

By zostac przy życiu, potrzebne mi było to, co wyścigane z Cocchenoura. A do tego potrzebne było moje honorarium, niezależnie od tego czy znaleźliśmy coś ciekawego, czy nie.

Moim nieszczęściem było to, że wyobrażałem sobie, iż werni gdzie można znaleźć coś bardzo interesującego, więc problem sprawdził się do tego, że jak długo byłam związany umową oddającą wszelkie prawa Cocchenourowi, nie mogłem sobie pozwolić na znalezienie własnie tego.

Osiadłm przysianek miałem w mojej syplalni. Pod łóżkiem, wpuszczony w śliską skałę znajdował się gwarantowany przeciwwiatramowy sejf, a w nim pewne papiery, które od tej chwili wolałem trzymać w kieszeni.

Gdy swego czasu przybyłem na Wenus, nie interesowały mnie krapolczaki. Chciałem dorobic się fortuny.

Wtedy i przez następne dwa lata mało co obierzałem na powierzchni Wenus. Ze statku kosmicznego zdołałem do łądowania na Wenus widzi się niewiele, cisnienie 20 000 milibarów na powierzchnię oznacza, że trzeba tam czegoś trochę solidniejszego niż te banieczki, które latają na Ksiezycu. Mierza trzy razy więcej konstrukcyjne nie dopuszcza, a to umieszczając zewnętrzny okien w kadłubie. To nie ma większego znaczenia, bo i tak wszędzie, z wyjątkiem okolic podbiegunowych, niewiele jest do celadania. Wszystko co na Wenus warto zobaczyć jest wewnątrz i w środku to niedługo należało do Hicziów.

Co nie oznacza, byśmy o nich wiele wiedzieli. Nie znamy nawet ich właściwej nazwy, „hici” to po prostu słowo, którym ktoś kiedyś zapisał dźwięk wydawany przez nacisniętą ogniotę, a ponuraw jest to jedyny dźwięk w jakim sposób związany z łamymy, stał się ich nazwą.

Hesperoloowie nie wiedzą skąd Hiczi przybyli, choć są pewne zapęty na strzypach tego, co Hiczi używają jako papieru, zbiłkie, niekompletne prawie nieczytelne. Przypuszczam, że gdybyśmy znali dokładnie popycie wszystkich gwiazd Galaktyki 250 000 lat temu, byłibyśmy nawet w stanie na tej podstawie ich zlokalizować. Przyjmując, że przybyli z tej galaktyki. Nigdzie w systemie słonecznym nie ma śladu ich pobytu, może z wyjątkiem Fobosa, specjalnie ciągle się wydłużają, czy podobne do planety pszczołowego komorki wewnątrz marsjańskiego kszera to coś naturalnego czy artefakt, a jeśli artefakt to bez wątpienia hicijskie. Ale niebył podobne do najlepszych.

Czasem zastanawiam się, kim byli. Uciekinierami z umierającej planety? Uchodźcami politycznymi?

- Dorrine zgłosz się do niego przyjaciela Be-Gie Allemana. Damm do niego usł ze wszystkim kooryt. I tam, tak dale i on przyjeżdża nas zabierze. Z dodatkowym zbiorunkami ozdoby, miedzi, rudy, pierze, eręgie, na około czterdzieści usien. godzin od twojego odlotu. To kupa czasu na to, byś się tam łusła i odnawiała Be-Gie i oddał mi list oraz by on przyjechał tutaj. Oczywiście jeśli się szozna, będzie z nami kruczo. Jeśli nie, nie znajdziemy, stracimy tylko czas. Ale jeśli znajdziemy.

Wzruszyłem ramionami.

Nie mówię, że to pewne - dodałem. - Powiedziałem tylko, że mamy szansę

*

Dorrine była bardzo miła osoba, biorąc pod uwagę jej wiek i sytuację. Ale czegoś nie brakowało: widać w sobie. Nigdy sobie jej nie wrobiła. Chyba myślała, że z zewnątrz osłaniała od Cocchenoura, a w rzeczywistości biorąc pod uwagę ten wiek, przypuszczam, że od tego kto był w jej życiu przed Cocchenourem, pewnie obra.

Natomiast było przekorac Dorrine, że potrafi odebrać swoją rolę.

- To się nie uda - powtarzała w kółko. - Przecząszam. To nie dlatego, że nie chciałem pomóc. Choc, ale nie mogę. To się po prostu nie może udać.

No cóż, ale powinno.

A przynajmniej ja byłem przekonany, że powinno.

Oczywiście jednak że nie mieliśmy tego tak zrobić. Wraz z Cocchenourem przygnalszy Dorrine, by zgłosiła się spróbować. Spokowaliśmy niewielką ilość sprzeży potrzebnego poza kapsułą, poleciliśmy z powrotem, co i tak i zaprzestaliśmy przygotowania do wycieczki. Czuliśmy się fatalnie okupiali z braku głowy, mezarzani. A Cocchenour, jak sądził, miał też własne problemy. W dwóch udeżył nam się wpechnąć obudowę świata co słusz wysłowej i podczas gdy ją pchał, była z zewnątrz udeżył przy Cocchenour ciągnął z dołu i całe urządzenie się na niego zwałowało. Nie zabito go. Ale naruszyło mu skafandr i zlamano nogę. I tak skończył się mój pomysł wzięcia wraz z nim na staroświeku „C”.

XI

Noga w skafandrze została rozerwana na głębokość osmiu czy dziesięciu warsów, ale zostało z niej dość, by utrzymać powietrze, choć może nie ciśnienie.

Najpierw sprawdziłem wiertło, by się upewnić, czy nie zostało uszkodzone. Nie było. Wujkiero potrząsnął wiatraczkiem Cocchenoura z powrotem do służby. To wyścigało prawie wszystkie moje siły, biorąc pod uwagę sumę ciężarów naszych ciał i skafandrow, konieczność usunięcia wiertła z drogi i mój ogólny stan fizyczny. Ale dałem radę.

Dorrine była wspaniała. Cienie historii, żądnych głupich pytań, wyścigałszy go ze skafandra i zia daliśmy. Był nieprzetrzymy. Miał skomplikowane zranienie nogi z przebicciem skóry odłamkami, krwa wił z usi oraz nos i z wymiotował wewnątrz hełmu. Biorąc wszystko pod uwagę, wyglądał najgorzej ze wszystkich z uparłymi starców na tym polu, w każdym razie z żywych starców. Ale uder ci, piny nie był na tyle mocny, by uszkodzić rózę, nadal działało jego serce, czy też czykolwiek serce to było, że tak powiem, wczesniej, było duża inwestycja, bo było nadal. Krwawienie ustało samo, problemem było jedynie to paskudne złamanie nogi.

Dorrine wywniła dla mnie teren wioskowy, dołarla do Ewy Kolanika, dostala bezpośrednio polecenie z chirurgów. „Daj”. Powiedział mi, co zrobić. Najpierw zadał, bym spakował małyki i przyjechał do niego z Cocchenourem, ale się sprzeciwiłem. Odpowiedziałem, że nie jestem w stanie pilotować, a podroz byłaby zbyt trudna. Dawał mi więc instrukcje krok za krokiem, a ja dość łatwo je wykonywałem. Złożym zranienie, opatrzeniem ran, zamknąłem ją chirurgicznym Velcro i klejem do mięśni, doczyłem bandażem natryskowym i zakończyłem gips. Zabrał mi to prawie godzinę i Cocchenour powinien być już odyskac przytomność, gdyby nie to, że dałem mu zastrzyk nasenny.

Pozostało już tylko zmierzyć puls, oddech i ciśnienie krwi by zadowolić chirurga, oraz obiecać, że szło odnowić pacjenta do Wyzeciona. Gdy już skończyłem z chirurgiem, ciągle jeszcze niezdawało mi się, że nie zgodziłem się przyzwieć Cocchenoura do bazy, sierzani Kolanika zgłosila się ponownie. Wiedziałem, czego się domysla.

- Hej, Kochanie? Jak to się zdarzyło?

- Ogromny Hiczi wyłaził z ziemi i ugryzł go - powiedziałem. - Wiem o czym myślisz i wiem, że masz spazmowa wyobrażenie. To był tylko wypadek.

- Z pewnością odrzekła. Okay. Chciałam tylko powiedzieć, że wcale cie nie potępiam. - I wyjechała się.

Dorrine starała się unąć Cocchenoura najlepiej jak mogła. Pomyslałem, że dość rozrzuć używa nasze

ry nie były w tych samych miejscach, a linie wyglądały, jak mierniki cełnoci. Sa świadectwa, że ma rację. Nie dowody. Ale świadectwa
I myślisz, że w miejscu, które oznaczyliśmy jako „C” możesz znaleźć te armie?
Zawahałem się.

- Tak zdecydowanie bym tego nie określił. Raczej mam nadzieję. Ale jeśli jeszcze coś. Te lince znalazł pewien poszukiwacz skarbów, prawie czterdzieści lat temu. Zostawił je, złożył meldunek o znalezisku, wyruszył na poszukiwanie dalszych i został zabity. W tych czasach to się często zdarzało. Nikt się sprawa nie interesował, póki nie przyjechali się im jacyś wojskowi i własnie z tego powodu teren zamknięty jest tam gdzie jest. Oznaczyli miejsce, w którym według jego meldunku zostały one znalezione, opaliko wali teren na tysiąc kilometrów wokół i ogłosili go jako zakazany i kopali i kopali. Odkryli z tuzin huczajskich tuneli, ale większość pustych a pozostałe popękane i zniszczone.

Wier tam nic nie ma - mruknął zdumiony Cochenour.

- Tam nic nie znalezione - poprawiłem go. - Ale w owych czasach poszukiwacze łągali na polęga Tamten podał fałszywe koordynaty znaleziska. W owym okresie mieszkał z pewną młodą kobietą, która później wyszła za mąż za człowieka nazwiskiem Allemang, a jej syn jest moim przyjacielem. Miał mapę. Własnie koordynaty, o ile moge się domyslać, bo symbole nawigacyjne były wówczas inne niż teraz, doliczają prawie dokładnie miejsca, w którym się obecnie znajdujemy. Pare razy spotkałem tu ślady wiaterek i myśle, że to on je zrobił.

Wyjałem z kreszeni małą osobistą magnetofiskę i włączyłem ją w obraz mapy pozornej. Pojawil się jeden znak: pomarańczowy „X”.

- Tutaj jak przypuszczam, możemy znaleźć broń, gdzieś kolo tego icksa. I jak widzicie jedyńm nie- zbednym tutaj stanowiskiem jest kochane, stare stanowisko „C”.

Na minucie zapanowała cisza. Słuchałem dalekiego wydia wiatru za ścianą, czekałem, to powiedział. Dorrle zanlepkokilla sie.

- Nie jestem pewna, czy chciałabym odnalezc nową broń - powiedziała - To wygląda... wygląda jak powrót do dawnych, zbych czasow.

Wzruszyłem ramionami. Cochenour, powoli znów przychodząc do siebie, odezwał się

- Przecież nie o to chodzi, czy naprawdę chcemy znaleźć broń, prawda? Chodzi o to, że chcemy znaleźć nienaruszone podziemie Hiczych, niezależnie od tego, co tam jest. Wier nie pozwól nam wier- ić. Tak? Najpierw nas zastrzela, a potem pytaja o nazwiska. Tak powiedziałas?

- Tak powiedziałem

- Więc jak proponujesz przeskoczyć ten drobny problem?

Gdybym był człowiekiem prawdomównym odrzekłbym, że nie jestem pewien czy to możliwe. Utraci- wie mówiąc wszystko wskazywało na to, że nas złapia i prawdopodobnie zastrzela. Ale miałem tak mało do stracenia, Cochenour i ja, że nie zadalem sobie trudu, by o tym uprzedzić. Powiedziałem nato- musiał.

Postatamy sie wystrzchnac ich na dudka. Odeslemy kapsule, a ja zostane z toba, żeby wierć, jeśli- ,kmy sla ze odlecieliśmy nie beda nas trzymac pod obserwacja i jedyne, czego możemy sie obawiac, to schwytyanie przez rutynowy patrol graniczny

- Audel - krzyknęła dziewczyna. - Jeśli ty i Boyce zostajecie tutaj... Ale to znaczy, że ja mam odlecieć kapsuła, a przecież nie umiem jej pilotować.

Tak, nie umiesz. Ale wystarczy, że pozwolisz jej pilotować się samej

Szybko parłem dalej

Orch, znarnujesz masę paliwa i bedzie toba mocno rzucalo. Ale doslaniesz się na miejsce na auto-

plucie. On nawel zajmie się ladowaniem na Wrzedonie

Nie musialo być to łatwe ani łatne; starałem się nie myśleć o tym co automatycznie ladowanie może- zrobic z moja jedyną kapsuła. Niemniej stniato dziewiedziesiat dziewięć szans na sło, że ona to prze- żyje

I co dalej? - spytał Cochenour.

W tym miejscu mój plan był mocno dziurawy, ale i o ym starałem się nie myśleć.

Turystami, którzy mieli awarie w drodze skads tam do gdzieś tam i zatrzymali się tutaj tylko, by zrobić co musie i. by podążać dalej? Kiedyś myślałem, że może przybyli, by obserwować rozwój istot ludzkich na Ziemi jak ojcymowie paltracy z usmiechem na rozwijającą się młoda rasa; ale w tym okresie nie- wiec było do oglądania, bo znajdowaliśmy się w połowie drogi między australopitekami i kromanion- czkami.

Ale i chociaż zabrali ze sobą prawie wszystko co mieli, zostawiając tylko puste tunele, komory oraz tu i tam troche szczątkow, których albo nie warto było zabierać, albo które zostały przeoczone - te wszystkie „wartości modiolne” wysłarżając duże roznych pojemników, by wyglądało to jak pozostabości obozowiska opuszczonego po gorącym lecie, jakies blyskokki i drobiazki. Sądzę, że najbardziej znanym z „drobiazgow” jest przebi ak „Zukunelwzny” kryształ węglowy przenoszący uderzenie pod kątem dzie- wiedziesięciu stopni. Ktos tam zarobił na nim pare miliardow mając tyle szeszenia, że go znalazł i tyle rozumu, że go zanalizował i powiełł. Ale my trafiliśmy tylko na szmcl. A musiał tu być kiedyś dobry towar, wartu milion razy więcej niż te smuci

Czy wszy skto cu dobre zabrali ze sobą?

Tego nikt nie wiedział. Ja też nie, ale myślałem, że znam coś, co może do tych rzeczy doprowadzić. Myślałem intuicyjnie, że wiem skad wystartował ostatni statek Hiczych; a było to daleko od wszyst- kich wykopalisk.

Nie oszukiwałem sam siebie. Wiedziałem, że nic tu nie jest pewne. Ale było od czego zacząć. Może, gdy slabował ostatni statek, byli juz zmierzpliwymi i nie tak dokładnie oczyszcili teren po sobie

To był sens całego pobytu na Wenus. Jakż w ogole mogłby być inny? Szczury podziemne w najlep- szym razie ledwie żyły. Ry, przezw, trzeba było pędziesiat tysięcy na rok. Gdy miało się mniej, nie starczyło na ocalenie podatku od powietrza, podatku pogłownego, przydziału wody a nawet rachun- kow za żywnosć. Na poziomie pozwalającym utrzymać się przy życiu. Jeśli zaś chciło się jesc mleso częściej niż raz na tydzień i mieć własną kabine do spania, trzeba było płacić jeszcze więcej.

Papieru przewoźnika kosztowały ty je co tygodniowe utrzymanie, gdy którykolwiek z nas je wykupy- wał. Przykował koszt tygodnia życia przeciw szansom na szmal czy to od Ziemniaków-turystow czy ze znalezisk, szmal wystarczający na bilet powrotny na Ziemię, gdzie nikt nie głodował, nikt nie umierał z braku powietrza, niktogo nie wyrzucano do wysokosienionowej spalarki, jaką była atmosfera Wenus. Każdy powierze, niktogo nie wystrzelano, jeszcze gdy leciał w kierunku Słońca, stawał sobie za cel przede- wszy skum powrót w wielkim stylu z forsą wystarczającą na pełne życie isoty ludzkiej na Pełnej Lekar- skiej

I ja tego chciałem. Szrału z grubej rury.

IV

Nieprzypatkowo ostatnia, moja czynnością tego wieczoru była wizyta w Sali Odkryc

Trzecia Vastry ntrugiała do mnie znad flirtowałki i zwróciła się do swej towarzyski, która rozej- rzała się i kiwnęła głowa

Podszedłem do nich

- Hallo, panie Walthers - powiedziała

- Przypuszczam, że może pania tu spotkam - odrzekłem, co było szczera prawdą, bo Trzecia Vastry obiecala to, że ją tu przyprowadzi. Nie wiedziałem, jak się do niej zwracać, „Panno Keefe” było zgodnie ze sta-rem iaktownym, „Pani Cochenour” dyplomatyczne. Wybrnałem z tego mówiąc:

Poniżej w najbliższym czasie będziemy często się spotykać, co pani na to, żebyśmy przeszli na mowienie swoje po imieniu?

Au-de, prawda?

Uśmiechnałem się do niej całą gębą.

- Szwad od strony malki, stary Teksanryk po ojcu. O ile wiem, imię było od dawna używane w rodzinie

Sala Odkryc jest po to, by Ziemniakom podkreć nadzieje; jest tam troche wszystkiego, od planów wyeksplotowanych wykopisk i ogromnej mapy Wenus w rzucie Merkatora do probek najważniej-

szych znalazł. Pokazałem jej kopie przebiegów i autoritatywny pismo podproszym kowy, który przynosił swemu odkrywczy nie mniejsze łupia niż ja, co miał być, który ma aż przebijak. Był tu też z tuż ognioport, małościw cewitratowoych, za państwa szła i nie przekształca, swawych chłodnym mlecznym światem.

Sa ładnie powiekszała. – Ale po co te wszystkie brzdki osirowość? Wzrostem większo krzyż na ludzu nie wyzwanie bez jakiegokolwiek nadzoru.

Jest trzeba różnica. Dobrze - odrzekłem. - Te są prawdziwe.

Rozumiała się głosem. Bardzo ładnie się śmiała. Żadna chwila życia nie wyglądała ładnie, podczas głosowego śmiechu, a te które trzęsą się o swój wygląd nie są w ogóle. Dorenda Kewer wyglądała jak zdrowa, ładna dziewczyna, która święci się ławą. Gdy się zastanowić, jest to chyba najbardziej sprasło w jaki dziewczyna może wyglądać.

Ale nie była jednak wystarczająco piękna, aby stać się moją i moją: może w końcu jej zniszczył więcej myśleć o jej wyglądzie, a zacząłbym o interesie.

Te małe czarne kółka w lamty Gaboche to krawiec charytatywny powiekszałem. Sa prawie kłowne i zawsze ciepłe. Dzięki temu można zawsze odróżnić prawdziwe od fałszywych, każdy większy niż mnie i więcej trzy cyfry w swojej srebrnicy, to lipa. Prawdziwy, to wielkość wyrażała przez wódek i wódek, więcej, słoneczek kwadratu do sześciu, i nogi się

Wielu, które łwoi przyciągał próbował mi sprzedać.

są lipie. Zgadza się.

Skinia głowa, ciągle usmiechnięta.

A co z tym, co ty nam próbujesz sprzedać. Aude? Autoryty, czy lipa?

★

Trzecia Vastry dyskretnie się ukloniła i przez mnie oraz diewczyny nie było w Sali (która nikogo) Nabrałem powietrza i powiedziałem jej prawdę. Może nie całą prawdę, ale nie całą prawdę.

To wszystko co tu leży powiedziałem to plyn się lat wykupiliś. Nie jest tego wiele. Przebiegak, przebiegak i dwa lub trzy inne urządzenia, które patrzyliśmy umieć umieć, potem podłączamy kawałków rżnawy, które ciągle jeszcze badają i parę błysków. To wszystko.

Ja też o tym słyszałam - odpowiedziała. I jeszcze coś. Ani jedna z dal złażnika ma tych eksperymentów nie jest swersza niż sprzed pięćdziesięciu lat

A wronoska z tego - powiedziałem - że planja została wyeksplorowana do cna. Pierwszy kupiec znalazł wszystko, co było do znalezienia... Jak dotąd.

Myslisz, że coś zostało?

Mam nadzieję. Popatrz. Punkt pierwszy. Tunel. Widac, że sa wszystkie jednakowe. Jakichś szlasy, alsholnie, glaskie, wyzierałaja swało, które nigdy się nie zmieniła twarzą. Jak myślisz, w jaki sposób, je zwinąć?

Coż, nie mam pojęcia...

Ani ja Ani niki inny. Ale wszystkie tunele Hiezich są takie same, a jeśli wkroci się do nich z zewnątrz, trafia się na taką samą skalę podłożową, następuje właściwe postępowanie, które jest już na pol podłożem i materiałem szan, następnie na ścianie. Wronoska Hieza nie kupiła tuneli by je następnie pokrywać niebieską warstwą, mieli coś samokierowego co było pod ziemią tak zdziwiona, znowa łazi za sobą głowie tunele. I jeszcze coś: za dużo drzew! To znaczy osamotni urządzenia tuneli, które tych nie porządkował, prowadzące donikąd, nigdy nie używane (czy to ci daje czas do myślenia?

Ze drzewnie było tanie i łatwe? domyśliła się

Kiwaniem głową.

Wiece według wszelkiego prawdopodobieństwa musiała to być maszyną i gdzieś na tej planicie przylatującej jedna czeka na odkrycie. Punkt dwa. Powierzcie. Odbywali tlenem tak jak my i musieli skądś go brać. Skąd?

Alczy ten atmosferyczny...

Oczywiście. Około pół procenta. I ponad 85 procent tlenu tlenku węgla. I w jakimś sposób porobili

kuratę, katefiksę i protyki, tu regeneracji białek, ówdeż plukania cholesterolu, nulloń za to, sto katefiksowemu za tamto... i tak krzyżo, to było jasne.

Po prostu nie zalejesz sobie sprawy - powiedział - że kosztuje utrzymanie przy życiu subiektu człowieka, jeśli nie spróbujesz.

Chciał powiedzieć dziewczęta i dziewczęta jednego poprawilem go odruchowo.

Nie, nie dziewczęta i nawet nie stu Sadze, że mam przynajmniej sto dziesięć a może i więcej, kto by liczył? Paci się lekczam, a oni nie łapią na miśnięć czy dwa. Nie zalejesz sobie spraw

ty, czyżby? pomyślałem. Pozwoliłem mu kontynuować, opowiadać, jak federalni inspektorzy skarbowi zaczęli mu nasładować na pięty i jak dał deba z Ziemi, by od początku zacząć rubie miejtek na Wenus.

Prześlaliśmy słuchacz i zarządem pisać na odwrocie blankietu nawigacyjnego. Gdy skonczyłem, poklepną go Cochennou w ramię.

Podpisz - powiedziałem

Co to jest?

A czy to ma znaczenie? Nie masz już wyboru, prawda? A zresztą... To jest zrzeczenie się wszelkich praw z tytułu umowy o najem kapsuły: oświadczenie, że nie masz wobec mnie żadnych roszczeń, że wódek czek to kart i że dozwolnie zrzekasz się na moją rzecz wszystkiego, co możemy / należa / Zmarszczył brwi.

A to ostatnie zdanie?

Że dam ci dziesięć procent wszystkiego co znajdziemy, jeżeli coś znajdziemy.

To jasnażna powiedział, ale podpisał - Nie obrażam się za jałmużnę, szczególnie od chwili, jak pokreśliłeś, gdy nie mam innego wyboru. Ale umiem odczytać ten wykres tak samo dobrze jak ty, Walther, i wiem, że nie ma tu nic do znalezienia.

Nie ma potwierdziłem, składając papier i chowając do kieszeni. - Ale nie będziemy wkurwili tutaj Te kontury są tak puste, jak twoje konto bankowe. Bedziemy wiercić na stanowisku „C”.

★

Zapaliłem kolejnego papierosa i myślałem dłuższą chwilę. Zastanawiałem się, co im powiedzieć o wynikach moich pieru i o poszukiwaniach i przemyslen, trzymania się w ryżach by nikomu nawet nie namierknąć o tym. Byłem przekonany, że cokolwiek powiem, będzie już bez znaczenia, ale słowa nie chciały się dać wyprawić.

Zmusilem się do mówienia

Pamiętasz Subhastha Vasire, farcia, który ma spełnioną, w której cie spokalem. Przyjechał na Wenus jako wojskowy. Był specjalistą do spraw uzbrojenia. Specjalista do spraw uzbrojenia to nie zawod dla cywila, więc po ukończeniu służby otworzył kafejkę. Ale w służbie był wybitnym specjalistą

To znaczy, że na terenie zakazanym jest bron hiezijska? - zapytała Dorenda.

Nie. Niki i nigdy nie znalazł hiezijskiej broni. Ale znaleziono tarcze strzeleckie.

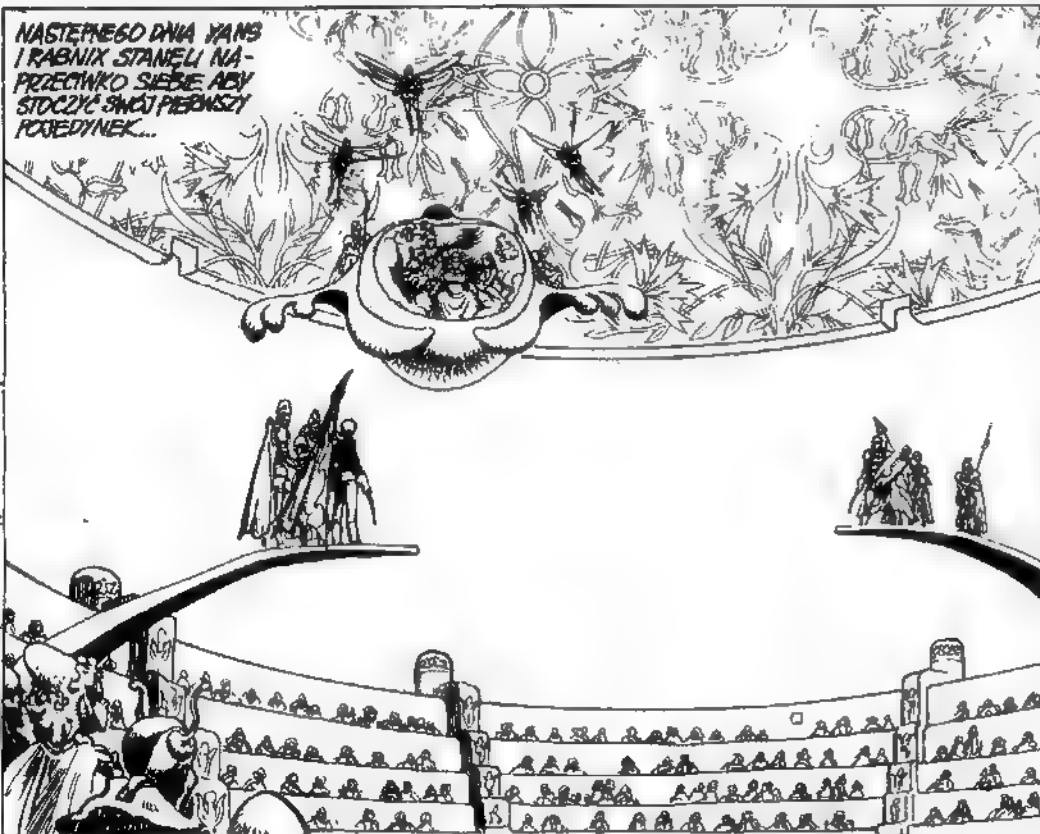
Miałem wręcz fizyczne opory przed opowiedzeniem dalszego ciągu, ale udało mi się.

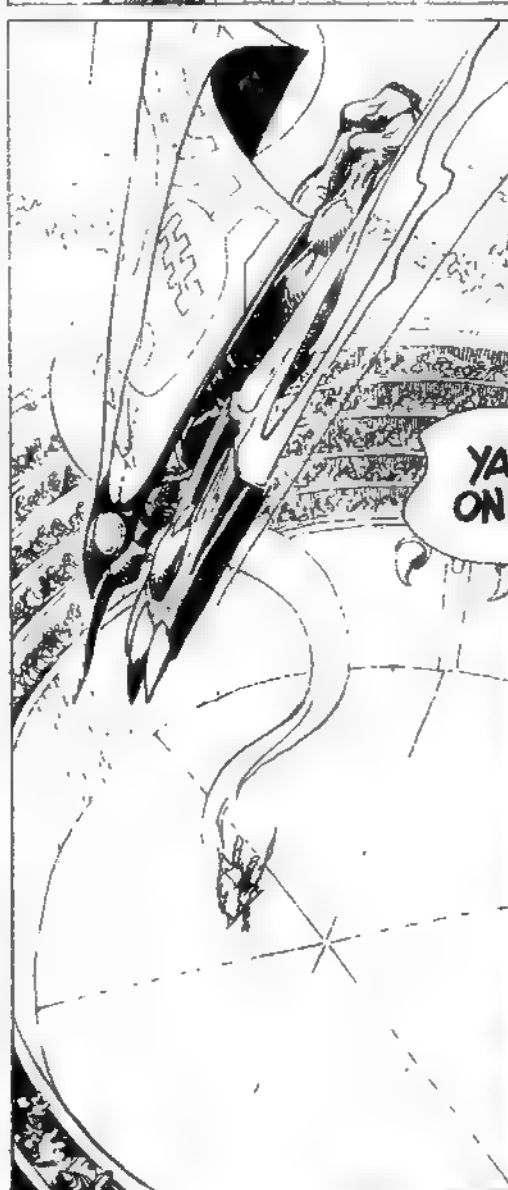
W każdym razie Sub Vastri twierdził, że to były tarcze. Wojskowe szczyty nie były tego pewne i jak przypuszczam, sprawę złożono ostatecznie w bazie ad acta. To co znaleziono, to były umiarkowane płyty z hiezijskim wykładzinowym tego niebieskiego, świecącego materiału, który tworzy ściany tych tuneli i były ich luzny, a na wszystkich znajdowały się wykresy promieniaste rozchodzących się linii. Sub twierdził, że przypominała mu tarcze strzeleckie. I były porzucane przez coś, co spowodowało, że dźwury były okropne czymś miękkim jak talk. Czy słyszałeś o czymkolwiek, co by mogło tak zmieścić hiezijską wykładzinę ścienną?

Dorenda chciała odpowiedzieć, że nie słyszała, ale Cochennou jej przerwał.

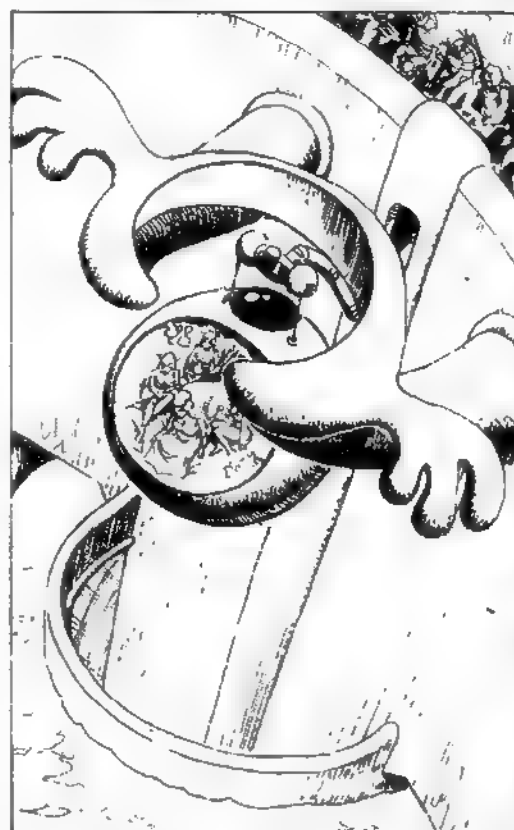
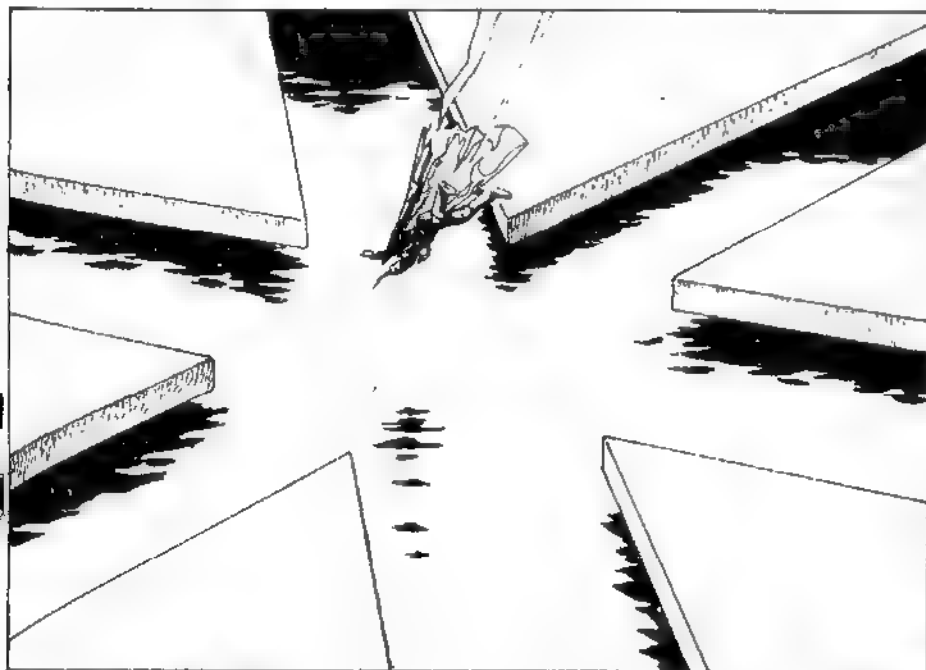
To niemożliwe - powiedział do Dorenda.

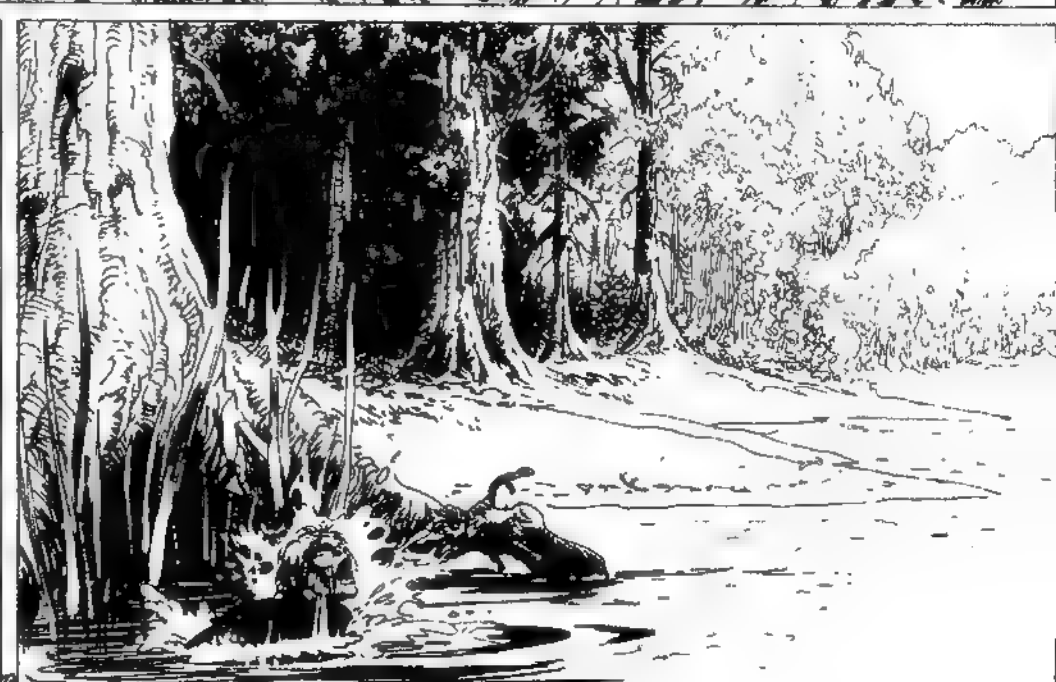
Zgadza się, tak właśnie powiedzieli wszyscy. Zdecydowali, że to się musiało stać w trakcie wyładowania, dla jakichś hiezijskich przyczyn, o których nigdy się nie dowiemy. Ale Vastra tak nie uważa. Mówi, że wyglądają dokładnie tak, jak papierowe tarcze na strzelnicach na terenach wojskowych Dziu-





YANS...
ON SIĘ...





i skorzystałem z igloo, na którym siedziałem. O ulamek sekundy za późno wypuściła głowice nim je porwał wiatr, ale na szczęście upadły na płask i ich ostrza się nie wyszczerbiły. Podniosłem je i pokazywałem z boku.

To była wyczerpująca odpowiedź na moje pytanie. Widać, że nie wiesz nic - dodałem. Masz pecha, kochanie. Jego czek dla kapitana wycałowała jego stółki został odrzucony i mam prawo sądzić, że ten, który dał mnie jest niewiele lepszy. Mam nadzieję, że to co od niego dostałaś, to były futra i biżuteria i radzę ci je dobrze schować, nim wierzyciel zaczął żądać zwrotu.

Nawet na mnie nie spojrziała. Patrzyła tylko na Corchenoura. Jego mina wysłarzyła jej za odpo-wiedź.

Nie wiem, czego się po niej spodziewałem, wściekłość, wyrzultów, czy też. A ona tylko szarpnęła.

Ach Boyce, tak mi przykro. - Podeszła i wzięła go w ramiona.

★

Chwyciłem się do nich plecami, bo nie miałem ochoty na to patrzeć. Krępki dziewiętnastowieczny cap na Pełnej Lekarskiej znieśli się w przegranej starcie. Po raz pierwszy wyglądał na wysiłku swoje iola, a może i więcej, półtorawarę, trzając się usia: zgarbione plecy, zakładowe niebieskie oczy. Glaskala go, gruchając z cicha.

Spojrzałem ponownie na słabe synopleryczną nie mając nic lepszego do roboty. Była już zupełnie jasna i całkiem pusła. Pokrywała się w połowie z obszarem naszych poprzednich sondowań, widać było więc, że interesujące linie na brzegach nie były naprawdę niczym ciekawym już je badałismy. To były tylko zjawy ekranowe.

Stąd ratunek nie nadejdzie.

Może to dziwne, ale poczułem się jakby spokojniej. Świadomość, że nie ma się już, nie do stracenia, uspokaja. Zmienia perspektywę. Nie chce przez to powiedzieć, że się poddałem. Ciągło jeszcze mogłem coś zrobić. Może nie, co by mi przedkładało życie, ale smak w uszach i ból w brzuchu i tak niechylę pozwalały mi nim się cieszyć. Mogłem na przykład w ogóle skrócić Audre Walthera, bo tylko cud mógłby mnie uratować od śmierci w ciągu kilku dni; byłem zdolny przylat do wiadomości fakt, że za tygodni od tej chwili nie będzie mnie wśród żywych i użyć tego czasu na coś innego. Ale za co? No cóż, dobrze to dobrze dziecko. Mogłem polecić kapsułę do Wrzeciona, przekazać Corchenoura zandarnom i spisać ostatnie dni na wyrabianiu jej kontaktów. Vestra czy Be-Gie pomogą, jej stanać na nogi. Może nawet nie będzie musiała włączyć się za prostytucję czy oszustwa. Szczęśliwiecemu nie był tak odległy, a ona może nieźle dawać sobie radę otworzywszy kiosk z wachlarzami modnymi czy biżuteriami atrakcyjnymi dla Ziemiaków-turystów. Może to niewiele, nawet z jej punktu widzenia, ale już coś.

Mogłem też zdar się na łaskę Znachorni. Może zgodziłby się dać mi nowa watroba na kredyt. Jedyną przesłanką jaką miałem do przypuszczenia, że tego nie zrobi, wynikała z faktu, że nigdy tego nie robił.

Mogłem też otworzyć zawory zbiorników obu paliw, pozwolić im się mieszać przez około dziesięć minut i włączyć zapłon. Po wybuchu niewiele by zostało z kapsuły i z nas, a nie zupełnie z naszych problemów.

Albo..

- Ochi, do cholery - powiedziałem. - Weź się w garść Corchenour. Jeszcześmy nie umarli.

Gapił się na mnie przez minutę. Poklepał dziewczynę po ramieniu i odleciał, dość łagodnie.

- Ale ja umrę i to szybko - powiedział. - Przepraszam cię za to wszystko, Doroto. A odejść za ciek, Walthers. Myślisz, że potrzebowałeś tych pieniędzy.

Nawet sobie nie wyobrażała, jak bardzo

Czy chcesz, bym to było wyfortunale? - zapytał z wysiłkiem

Nie sądził, tym to robiło jakakolwiek różnicę, ale tak, z czystej ciekawości, i tu talym

Pozwoliłem mu mówić, a on zrobił to spokojnie i zwierzę. Mogłem się tego spodziewać i zadowolę funkcję wieku jest albo burzko, bardzo bogaty, albo martwy. On był tylko cios! biegały jego zakłady funkcyjnowały tylko dzięki temu, co zostawało po odprowadzeniu różnymi kanałami kosztów i przyszarżkow

wychłoby je też przetrwała z mroźnymi latwo; pamiętaj o tych dodatkowych tunelach, które napętniły powstrzymać Oraz, by spojrzeć mierzanne do oddychania, potrzebna ilość azotu czy jakiegos gazu obciążającego, a to są tu tylko w ilościach śladowych. Jak? Cóż, nie mam pojęcia, ale jeśli to robiono naprawdę, to chciałbym że maszyna znalazła Punkty następny. Maszyna latająca. Hiczi latał sobie nad powierzchnią Wenus jak chęć!

Albo też to robisz, Audre? Czyż nie jesteś pilotem?

Zgadza się, ale pomysł czegoś wymaga. Temperatura powietrza niowa dwadzieście siedemdziesiąt stopni Celsjusza, a temu nie wysłanzy, by zapalić papierosa. Więc moja kapsuła ma dwa zbiorniki paliwowe, jeden na węglowodory, drugi na ullenietze. A... czy słyszałaś o facie nazwiskiem Curm?

Słowożny urzomy, jak? Obieg Curmuda?

Zgadza się i to. Uważnie odnotowałem, że zadrżała mnie po raz trzeci. Współzawodnik Carnota sprawności silnika wyraża się jego temperaturą maksymalną, powiedzmy ciepłem spalania, podzieloną przez temperaturę gazów oddolowych. No dobra, ale temperatura odlotu nie może być niższa niż temperatura osłodka, w przeciwnym razie nie uruchomiłabyś silnika, tylko chłodziarkę. No i masz te dwadzieście siedemdziesiąt stopni odczuwającego powietrza, silnik jest więc zasadniczo do bani. Każdy silnik ciepły na Wenus jest do bani. Czy nie zastanawiałaś się, czemu tu tak mało kapsuł powielicznych? Mnie to nie martwi, nawet pomaga w utrzymywaniu się. Mam prawie monopol. Ale przyczyniła leży w tym, że ich praca jest cholernie droga.

A Herzi rozwiązała to lepiej?

Przypuszczam, że tak.

Znow się zastanawiała niespodziewanie i znowu w sposób bardzo pociągający.

Albo, mój bratny chłope - powiedziałła wesoło - to co sprzedajesz, trzymaj cię za gardło, prawda? Myślisz, że któregoś dnia znajdziesz najwspanialszy tunel i zabierzesz sobie wszystko.

No cóż, nie bardzo byłem zadowolony z rozwoju sytuacji. Umówiłem się z Trzecią Vestry, że zabierze dziesięć tuneli, z dala od jej chłopa, bym ja mógł prywatnie wysondować. Ale to nie wypaliło. Wypalił natomiast to, że ona zwręka na siebie moją uwagę, co już sumo w sobie było niedobre, a co gorsza spowodowało, że zacząłem się przyglądać sobie samemu.

Po minucie milczenia odpowiedziałem:

Możesz i masz rację. Ale jestem zdecydowany spróbować.

Nie odwróciła na mnie z w. prawdą?

Nie - odrzekłem niechętnie z prawdą - ale może udróżnie zmierzony. A jutro przed nami daleka droga, więc lepiej odprowadzić ją do domu, panno Kerfer.

V

Moja kapsuła stała obok kosmosłonu i docierało się do niej w ten sam sposób, jak na kosmosłonie. Winda (i) służy powiewy tunelowej i ławakrotem przez suchą, wymęczoną powierzchnię Wenus, lu- wcząc się pod uderzeniami wiatru o ścianki i trzaski kłopotliwych kłopotliwych. Oczywiście normalnie trzymaliśmy kapsułę pod osłoną piankową. Jeśli chcesz coś zerłować w celosci na powierzchni Wenus, nie zostawiasz tego luzem i wystawianego na działanie atmosfery, nawet jeśli jest zrobione ze stali chromowej. Piankę złączam ręką, gdy robisz przedkład i łokciowym zapasy. Teraz kapsuła była gotowa. Widać to było przez dymiący laszka i poprzez złośliwy mrok na zewnątrz. Corchenour i dzieł-czywa też mogłoby ją dosłownie, gdyby wiedzieli gdzie patrzeć, ale mogli też jej nie rozpoznać.

Corchenour wzruszał mi do ucha

Poklepała się z kerfer.

Nie poklepała się - odwręcając, letem

Niech się pan nie przemyślał, nawet jeśli tyby tak było. Nie musi być się lubie, wystarczająco, że rubieć to co-cho. Przez chwilę, niechad by cię odpozar swemu ga rłu. Jezuście Co za wiatr.

Złoty, odpowiadając. Nie dądamy nie, sam do tego dojdzie. Teren wokół kosmosłonu jest obszarem czegoś w rodzaju natury czystej, jak na wenusjańskie normy. Wyjść onografii zny odrzuca zjad ludzkiego najgorsze wiatry w górę i do nas dociera tylko coś na kształt białych zawirowań. Ma

to te dobra sftone, że start i lądowanie są względnie łatwe. A zię, że na płycie osiadają niekiedy z zawartych w atmosferze związków metalu ciekłych. To, co jest na Wenus uważane za powłocę, ma warszwy czerwonego siarczku i chloru tręci na niższych wysokościach, a po wznieśieniu się ponad nie aż do tych siltczyca pierzastych chmurę okazuje się, że niektóre z nich to kwas solny i fluorowodorowy.

Ale na to są sposoby. Nawigacja na Wenus jest trójwymiarowa. Przełot z punktu do punktu jest dość łatwy; transponder łączy cię z radiolatorniami i oznacza w sposób ciągły twój pozycję na mapie. Natomiast trudno jest wybrać właściwą wysokość i właśnie z tego powodu moja kapsuła i ja jesteśmy dla Cochenoura warti milion dolarów.

Byliśmy już przy niej i teleskopowy ty teżaka obmacywał jej służę. Cochenour wyjeżdżał przez iluminator. – Nie ma skrzydeł! wrzasnął takim tonem, jakbym go chciał oszukać.

– Ani zagli ani łancuchów śmigłowych – odwrzasnąłem. – Niech pan wsiada na pokład, jeśli chce pan rozmawiać. W środku łatwej.

Przeistnieliśmy się przez wąski tyj, otworzyłem wejście i już bez większych kłopotów dostał się do środka.

Nawet takich kłopotów, jakie sam mogłbym spowodować. Widzicie, kapsuła r.1. Wenus te wielka rzecz. Miałem chołerno szczesie ze udało mi się ją nabyć no i nie ma co kryć, byłem w niej zakochany. Możliż znieść dziesięć osób, bez wyposażenia. Z tym, co nam sprzedał dział handlowy Sub Vastity, a Oddział 88 zatwierdził jako niezbędne na pokładzie, już naszej trójce było ciasno. Byłten przygrywający przynajmniej na sarkasyczne uwagi. Ale Cochenour tylko rozetrzał się w środku, by znaleźć najłepszą kolo, podszedł do niej i oświadczył, że należy do niego. Długoczytna okazała się joi zapłnła łatełka, a ja zostałem ze wszystkim gruczołami nalaadowanymi w oczekiwaniu awantury, która nie wybuchła. Wewnątrz kapsuły było o wiele ciszej. Hałas wiatru oczywiście dochodził, ale w środku jedynie dokuczliwym. Rozdałem zayczki do uszu, a z nimi hałas nawet nie przoszkadzał.

– Śladajcie i zapnijcie pasy – rozkazałem, a gdy się upakowali, wystartowałem. Przy dwudziestu tysiącach milibarów skrzydła nie są rzeczą zbędną, to morderstwo. Meja kapsuła miała we własnym muszlowym kadłubie tyle siły wznoszenia ile było trzeba. Otworzyłem dopływ obn palin do silników termostiumenitowych, przelecieliśmy w poskokach przez prawie równy teren wokół płyty i raz na tydzień wyrownywały go spychacze, dzięki temu był dość płaski i wzieliliśmy swięcą w dół, zóhzozielona dal, a w chwili później w brązowoszara, przeleciaływy nie więcej niż piętdziesiąt metrów.

Cochenour dla wygody luzno zapiął pasy. Z przyjemnością słuchałem jak tyczy rzucaany tam i z powrotem. Ale to nie trwało długo. Na portornie tysiąca metrów znalazłem potrwała wenusjańska linwersje atmosferyczną i turbulencja uciżyła się do tego stopnia, że mogłem odpiąć pasy i wstać. Wyjąłem zayczki z uszu i gęstem pokazałem Cochenourowi oraz dziewczynie, by zrobili to samo. Rozcierał sobie głowę w miejscu, którym uderzył w umocowaną u góry polkę z mapami. Ale p zy tym lekko się usmiechał.

– Wcale podniecające przyznał, grzebiąc w kieszeni. Po czym przypomniał sobie, że wypadł zapisać

- Czy mogę tu palic?
- Panskie puca.
- Uśmiechnął się szerzej.
- Obecnie tak zgodził się ze mną i zapalił. – Halo! Czemu nie dał nam pan tych zayczek, gdy byliśmy w traktorze?

*

Mozna by rzec, że w pracy przewodników istnieją okresy, podczas których albo porwała się klientom zasyrywać się pyłaniami i spędza cały czas na wyjaśnianiu co en zabawny zegareczek pokazuje, albo robi się swoje i zarabla pieniądze. Ja zaś zastarałem się, czy wyjde z tego i biac Cochenoura i jego dziewczynę, czy nie?

Jestli tak, postaram się być dla nich uprzejmy. Bardziej niż uprzejmy żyć przez tygodnie we trójce na przesłuzem, mniej więcej tej wielkości co wnęka kuchenna przy apartamencie oznaczają, że

nie sposób było zapomnieć. Forsa – nowa walorba plus szersze przeżyć. Brak forszy – całkowitu dystunkcja walorby plus smiere. A moje zrobiło forszy właśnie wyscho.

X

Kiedy się usłyszy najprawdę ważną nowinę trzeba jej pozwolić popłynąć małym strumyczkiem przez własny system nerwowy i całkowicie wchłonać, nim się cokolwiek uczyni. To nie sprawa wyścignictwa w rókoch. Wyścignictwem je ralczymiast, a jaksze. To sprawa umożliwienia nerwom powrotu do stanu równowagi. Wierc przez minucę się zastanawiałem. Słuchałem Czalkowskiego. Sprawdziłem, czy radio jest wyłączone, jakimy chciał oszczędzać energię. Sprawdziłem wykres synoptyczny. Byłoby miłe, gdyby coś wykazał, ale w tej sytuacji nie mógł, więc nie wykazywał. Zarzysowywały się niełiczne słabe ochy. Ale nie o ksyplacie hiezyjskich podziemi i nie szeregowe jasnego. Dane ciągle jeszcze nadchodzą, ale te słane zayzy w żaden sposób nie mogły się zmrenić w sygnal pełnego korytarza, który uratowałyby nas w szyskach, nawet zbankrutowanego Cochenoura. Nawet oglądałem przez iluminator ile się dalo niewa, jakimy mógł z tego wywnioskować coś na temat pogody. Nie miało to znaczenia, choć trochę blachy, chmuręk chloru. Pletowego przemnykało wśród purpurowych i złotych chmur innych halogenkow rterci. Było to piękne i budziło we mnie wstęgi.

Cochenour zapomniał o swym omlecie i przyglądał mi się z ramiysiem. Tak samo Dottie, ciągle trzy mająca w rekach zapakowane w przedluszczonej papier głowie. Uśmiechnałem się do niej,

– Ładna – zauważyłem, mając na myśli muzykę. Orkiestra Filharmonii Auckland właśnie zaczynała te czes, gdzie ukazują się male łabędzie i w szybkim, skocznym pas de quatre przechodzą przez scenę. To jeden z moich ulubionych fragmętów „Jezióra Łabędziego”.

– Reszty posłuchamy później – powiedziałem i wyjąłem odtwarzacz.

– Dobra – mknął Cochenour – co się dzieje?

Usiadłem na pakunku z lejoo i zapaliłem papierosa, ponieważ jeden ze sposobów dostosowania się do nowej sytuacji, dokonanych przez moją sylster wewnetrzny polegał na obliczeniu, że już nie musimy pisać się z naszymi zapasami tlenu.

Jest coś, co mnie intryguje, Cochenour – odezwałem się. – W jaki sposób natrafieś na profesura Hegrameta?

Odpowiedział, że wyszczerzył zęby

– I tylko o to ci idzie? Sprowadziłem wszystko co trzeba o miejscu gdzie się uda wałem. A czemu nie?

– Wszystko jasne, z wyjątkiem tego, że starałeś się dać mi do zrozumienia, że nie masz o niczym pojęcia

wzruszył ramionami.

Gdybyś miał krzalne rozumu, to bys wiedział, że nie dzięki gupocie zostałem bogaty. Myślisz, że podróżowałbym dziesiątki milionów mil, nie wiedząc do czego zmierzam?

– Oczywiście nie, ale robiles co mogles, bym myślał, że nie wiesz. Bez znaczenia. Wierc wygrzebales kogos, kto mógł cie naprowadzić na coś, co warto ukraść na Wenus, a ten ktos skierował cie do Hegrameta. I co dalej? Czy ci powiedział, że jestem dość lepy, by zostać twoim poppyctakiem?

Cochenour już nie był tak odprezony, ale nie był jeszcze agresywny. Odpowiedział:

Hegramet powiedział mi, że jesteś odpowiednim przewodnikiem w poszukiwaniu nienaruszonego tunelu. I to wszystko, procz informacji o Hiezych i tak dalej. Gdybyś nie przyszedł do nas, musiałabym pojsć do ciebie, ty tylko mi tego oszczędzaies.

Odrzekłem z lekkim zdziwieniem:

– Wiesz, mam wrażenie, że mówisz prawdę. Przemikazales tylko jedną rzecz, że nie szukales tu przy jemności, którą daję zrobienie jeszcze większej forszy, lecz w ogóle forszy. Zgadza się? Forsy, której potrzebujesz

Zwróciłem się do Dottie, która stała jak skamieniała z głowicami w rekach.

Co ty na to, Dottie? Wiedziatas, że stary zbankrutował?

Nie było to zbyt zreczne postawienie sprawy. Zorientowałem się co zrobi, na moment nim to uczyniła

- Jętna z nuch. To Żona Numer Jeden, kelnierka jest Numer Trzy, a z dziećmi w domu siedzi jeszcze jedna. Dzieci ma pięcioro, ze wszystkich trzech żon.

Ale chciałem rozmawiać o czymś innym więc dodałem:

Właśnie to jest tak jak na Ziemi. Wasra mogłyby prowadzić knajpę dla turystów w Benares, gdyby jej nie miał tutaj, gdyby nie przyjeżdżał z wojskiem i nie ukonrził tu służby. A ja, przypuszczam, byłbym przewoźnikiem w Teksasie. Oczywiście, jeśli jeszcze został tam chor. skrawek otwartej przestrzemi, wynagajającej przewodnika, może w gorze Canadian River. A ty?

Przez cały czas brałem z potek te same cztery czy pięć narzędzi, odczytywałem ich numery i odkładałem z powrotem. Nie zauważyła tego.

- Co masz na myśli?

- No, co robiłaś przed przybyciem tutaj?

Och, pewien czas pracowałam w biurze Boyce'a.

To było zachęcające, może będzie coś pamiętała o jego powiązaniach z profesorem Hegramtem.

- Czy Lybas sekretarką?

- Coś w tym rodzaju. Boyce dawał mi, do załatwienia oja, a to co?

Rył to sygnał wezwania przez radio, do co

- Chodzi się zgłosić - warknął Cochenour z drugiego końca kapsuły.

Przyjąłem wezwanie na słuchawki, bo taki mam zwyczaj, w kapsule nie ma dość miejsca na prywatne rozmowy, a ja chciałem zachować sobie takie okruszki, jakie jeszcze się dało. Wywoływała nas oaza wojskowa, przy aparacie znana mi sierżant łączności nazwiskiem Kolanko. Zgłosiłem się poirytowany, żalując, że straciłem możliwość wyciągnięcia z Doroty czegoś o jej szefie.

- Słowo prywatnie do ciebie, Audex - powiedziała sierżant Kolanko. Czy twój sabib jest w pobliżu?

Kolanko i ja prowadziliśmy od dawna pogaduszki przez radio i coś było w jej wesołym głosie, co mnie zaniepokoiło. Nie spojrzałem na Cochenoura, lecz wtędziałem, że słuchna. Oczywiście tylko mnie, z powodu słuchawek.

- W polu, ale nie odbiera - powiedziałem. - Co macie dla mnie?

- Bie tylnik informacyjny zamurczala sierżant - Nadszedł sygnał synchronizacji parę minut temu tylko dla informacji. To znaczy, że my nie mamy z tym co robić, ale może ty, kochanie.

- Gotów - powiedziałem, wpatrując się w plastikową obudowę radiostacji.

Sierżant zagadnęła

Kapitan stał u czaietowanego przez twego sabiba ciece 7 nim zamienić parę słówek, gdy go znalazł. To chyba pilne, bo kapitan jest strasznie wkurzony.

- Tak, baza - odrzekłem. - Odbieram cię dobrze, pozostaw dziesięć

Sierżant wyduła znowu odgłos rozbawienia. Tylko tym razem nie było to gdańczenie, a zwycięzajny chichot.

Chodziło o dodatek, że jego czek za czarter odrzucono. Oczywiście wiedzieć, co bank powiedział? Nigdy nie zgadziesz. „Brak pokrycia”, to właśnie powiedział.

Pod zabrami z prawej strony bolało mnie bez przerwy, ale w tym momencie znacznje bardziej. Zaczęła się szczyki

Ach, sierżant Kolanko wycharzczał - czy może pani, eee, sprawdzić te ocene?

Niechaj, kochanie - zabrzęczała ze współczuciem - ale nie ma cienia wątpliwości, Kapitan dostał ocenę jego zdolności: kredytowej i brzmiała: „zero”. Na twego kłemia czeka we Wrzeczonie sądowy nakaz zapłaty

- Dziękuje za komunikat synoptyczny - powiedziałem głuchym głosem. i sprawdź czas odlotu przed startem.

Wyłączyłem radio i spojrzałem na mugę kłenta miliardera.

Co ci jest u diabła, Walthers? - mruknął.

Nie słyszałem go. Słyszałem to, co mi powiedział zadowolony z siebie typunko w Znachorni. Rownan

wszyscy będą musieli usilnie się starać być miłymi dla wszystkich pozostałych, a ponieważ mnie płacono za to bym był miły, powinienem dawać dobry przykład. Z drugiej strony Cochenourowie naszego świata nie ekiedy po prostu nie są sympatyczni. Jeśli tak się miało zdarzyć im mnej gadania, tym lepiej; na pytania tego typu jakie mi zadano powiniennem odpowiedzieć wymijająco, na przykład: - „Zapomniałem”.

Ale prawdę mówiąc on nie był naprawdę niemity, a dziewczyna naprawdę starała się zachowywać przyzwoicie. Powie kilka mi więc:

- Coż, to ciekawa sprawa. Słyszysz się dzięki różnicy ciśnienia. Gdy startowaliśmy, zatycki odfiltrowały część dźwięków: fale ciśnieniowe, ale kiedy wrzasnałem na was byście zapili pasy, zatycki przepuszczyły nadmierne jego glosu i znowu-mieliscie co mówię. Ale są granice. Powyżej stu dwudziestu decybeli... to ednosłka siły dźwięku...

- Wiem co to decybel - mruknął Cochenour.

- Dobra. Powyżej stu dwudziestu bebenek uszny w ogóle nie reaguje. Wier w łaziku było za głośno, z zatyckami nie słyszeliście nic.

Dorota przysłuchiwała się, poprawiając równocześnie makijaz orzu.

- A co tam było do usłyszenia?

- Och - powiedziałem - nic takiego. Z wyjątkiem, powiedzmy... - W tym momencie zdecydowałem wysłec o nich jak o przyjaciół h, przyjaźnimie; na razie. Z wyjątkiem gdyby zdarzył się wypadek. Gdyby nas dopadł poryw wairu to, rozumiecie, łazik mogłyby fiknąć koła. Albo jakiś twardy przedmiot mógłby nadlecieć zza gór i trafić nas, zanim byśmy się w tym zorientowali. Albo...

Potrzasnęła głową.

- Rozumiem. Cudowne miejsce na wycieczki. Boyce,

- Aha. Ale - dodał - kto teraz pilotuje?

Wstałem i uruchomiłem pozorny globus

O tym właśnie chciałem mówić. W tej chwili autopilot, kierując nas ogólnie w kierunku tego kwadrantu na dole. Dekadny cel lotu musimy wybrac sami.

- Tak wygląda Wenus? - zapytała dziewczyna. - Niezbty zachęcająco

- Te „nie to markery radiolatrni”; przez okno ich nie widac. Na Wenus nie ma oceanów i nie podzielon jej na poszczególne kraje, więc mapa nie jest podobna do mapy Ziemi. Ten jasny punkt to my. Proszę popatrzec. Na statke radiolatrni kolory nalozyłem symbole maskonów - Te rozmazane kolka to maskony. Wiedze co to jest maskon?

- Koncentracja masy. Obszar ciężkich materialow - powiedziała dziewczyna

Pieknie. Teraz proszę popatrzec na wykryte podziemia Hiczych. - Włączyłem je na globus w postaci złonych wzorow

- Wszystkie występują w maskonach - powiedziała natychmiast Dorota. Cochenour spojrzal na nią z wyrozumiała aprobatą.

- Nie wszystkie. Proszę popatrzec tutaj. Ten mały nie i ten drugi też nie. Ale prawie wszystkie. Cze-mu? Nie wiem. Nikt nie wie. Koncentracje masy to głównie starsze, gęstsze skały, bazalty i tak dalej, i może Hiczy uważali je za łatwiejsze do drążenia. A może je po prostu lubili.

W mej korespondencji z profesorem Hegramtem na Ziemi, w czasach gdy nie miałem w brzuchu zdychającej walrobry i interesowała mnie wiedza teortyczna, stawiałem różne hipotezy. może koparki Hiczych mogły pracować tylko w gesej skaie albo skaie o określonym składzie chemicznym. Ale z nimi nie chciałem o tym dyskutować.

- A teraz popatrzcie tutaj, gdzie obecnie jesteśmy. - Obróciłem globus pozorny, odrobne poruszywszy pokrętelem. - To jest wielki wykop, z którego właśnie wyleziliśmy. W dach nawet kształt Wrzeczona. Nawiasem mówiąc to forma tu pospita. Przyjrzyjcie się, to zobaczycie kilka innych, a są i takie, których nie widac na tym schemacie, ale na miejscu można je dostrzec. Maskon, w którym znajduje się Wrzeczono zwany jest Serendip; został odkryty przypadkowo przez zespół hesperologow.

- Hesperologow?

- Czyli geologow działających na Wenus. Pobierali wietrzną próbkę geologiczną i natrafili na podzie

jeśli nie odmówię wykonania polecenia zgodnego z prawem, nie możesz mnie zmusić do czegokolwiek bezprawnego. A wejście na zastrzeżony teren wojskowy jest skrajnie bezprawne.

Przełaczył się na zimną wojnę.

Nie odrzekł cicho – tu się mylisz. Jest bezprawne, jeśli sąd tak orzeka po fakcie. Wygrasz wtedy, jeśli twój prawnik będzie sprytniejsi od moich. A szczerze mówiąc, Walthers, płacę moim prawnikom za to, by byli najsprytniejsi ze wszystkich.

Niemiała strona tego wszystkiego było to, że miał rację w o wiele większym stopniu niż sądził, bo moja wątroba też była po jego stronie. Nie mogłem sobie pozwolić na sprawę sądową, bo bez jego pieniędzy i mojego przeszczerpu bym jej nie dożył.

Dorrie, przysłuchując się nam z przyjaznym zainteresowaniem na dziewczęcej twarzy, znowu się wtraciła.

– No to może inaczej? Po prostu wylądujemy tutaj. Czemu nie poczekać, aż sondy coś pokażą? Może natrafimy nawet na coś lepszego niż w mieście „C”...

– Nic dobrego tu nie znajdziemy – odpowiedział, nie patrząc na nią.

– Ależ Boyce, skąd możesz wiedzieć? Jeszcze nie skończyliśmy sondowania.

Odpowiedział:

– Uwrażaj Dorrito, słuchaj uważnie, a potem się zamknij, Walthers gra z nami w ciuciubabkę. Wiesz, gdzie teraz jesteśmy?

Przecisnął się kolo mnie i wystukał program wyświetlania całej mapy, co mnie trochę zdziwiło, bo nie wiedziałem, że on wie jak to się robi. Ukazały się mapy z pozornymi obrazami naszej pozycji, szczybów, które doychczas wywierciliśmy i wielki, nieregularny zarys granicy terenu wojskowego, wszystko nabożne na siałkę maskonów i punktów nawigacyjnych.

Widzisz? W tej chwili nie jesteśmy nawet na obszarach koncentracji masy. Zgadza się, Walthers? Sprawdziłismy wszystkie dobre miejsca i bez wyników?

– Po części ma pan rację, panie Cochenour – odpowiedziałem. – Ale nie gram w ciuciubabkę. Miejsce jest obiecujące. Może pan sprawdzić na mapie. Nie jestem nad żadnym maskonem to prawda, ale jestem dokładnie między dwoma bardzo zbliżonymi. Niekiedy znajduje się korytarze łączące dwa kompleksy podziemne i zdarzało się, że korytarz łącznikowy był nawet bliżej powierzchni niż jakakolwiek inna część kompleksu. Nie mogę zagwarantować, że natrafimy na cokolwiek, ale to nie jest niemożliwe.

– Tylko cholernie nieprawdopodobne!

– Cóż, nie bardziej nieprawdopodobne, niż gdziekolwiek indziej. Powiedziałem panu już tydzień temu, że już się panu wszystko opłaciło pierwszego dnia, gdy znaleźliśmy w ogóle jakiś tunel Hiczych, nawet przebity. We Wrzeczonie są szczyty podziemne, które próbowały przez pięć lat i nawet tego im się nie udało zobaczyć. – Zastanowiłem się przez chwilę – Możemy zawrzeć umowę – dodałem.

– Słucham.

– Wylądujemy tutaj i mamy przynajmniej szanse, że na coś natrafimy. Spróbujemy Wyrzucić sondy i zobaczymy, co pokażą. Jeśli dobry rysunek, wierzymy, jeśli nie, to pomyśle nad wroceniem do punktu „C”.

– Pomyślisz! – ryknął.

– Nie naciskaj mnie, Cochenour. Nie wiesz, w co się pchasz. Teren wojskowy to nie zabawka. Ci chłopcy najpierw strzelają, a potem pytają o nazwisko. A na Wenus nie ma sądów ani policji, by ich o cokolwiek spytać.

– No, nie wiem – odrzekł po chwili.

– Tak, nie wie pan, panie Cochenour. I za to mi pan płaci. Ja wiem.

– Owszem – przyznał – zapewne pan wie, ale czy o tym co pan wie, mówi mi pan prawdę, to jeszcze pytanie. Hegramet nigdy nie wspominał o wrzeczniu między maskonami.

I popatrzył na mnie z zupełnie obojętną miną, czekając czy zareaguję na to, co powiedział.

Nie dałem się natrąć. Odwzajemniłem mu się równie obojętnym spojrzeniem. Nie odczekałem się ani słowem, po prostu czekałem co dalej. Byłem całkiem pewien, że nie padnie żadne wyjaśnienie, skąd zna

nic, zrozumiał natychmiast. Ale zrozumiał też, że tego się w jeden dzień nie nauczy. Ani nawet w trzy tygodnie.

– Cóż u diabła, Walthers – powiedział całkiem wesołym tonem – przynajmniej będę to umiał skierować gdzie trzeba, jeśli utknieś w tunelu albo zastrzelisz cie zażadosny mąż.

W odpowiedzi usmiechnąłem się na tyle, na ile ten dowcip zasługiwał. Czyli prawie wcale.

Umieć jeszcze coś – dodał. – Gotować. Chyba, że ty jesteś doskonałym kucharzem? Zgadza się, ja też myślałem, że nie. Ano, za drogo zapłaciłem za mój zóładek, by go napychać byle czym, więc gotowanie należy do mnie. To sztuka, której Dorrie nigdy nie udało się opanować. Zupetnie jak jej babo. Najpiękniejsza kobieta świata, ale przekonana, że to najzupełniej wystarczy.

Nad tym postanowiłem zastanowić się później; ten 80-letni, młody sportowiec co chwila czyniś mnie zaskakiwał. Powiedział:

– Dobra, więc gdy Dorrie zużywa całą wodę w natryskach...

– Nie ma strachu, działa w obiegu zamkniętym.

– Wszystko jednop. Gdy ona robi ze sobą porządek, kończymy ten pana referacie na temat celu naszej podróży.

– Zgoda. – Obróciłem odrobine globus pozorny. Byszczący punkt, który nas oznaczał przesunął się już z tuzin stopni. – Widzi pan to zgrupowanie w miejscu, gdzie nasza trasa przecina siatkę radiolatorni?

– Aha. Pięć dużych maskonów jeden przy drugim i żadnych zaznaczonych wykopalisk. Czy to tam lećmy?

– Ogólnie rzecz biorąc, tak.

– Dłacież ogólnie?

– Ponieważ – ciągnąłem – jest pewien drobniak, o którym panu nie mówiłem. Mam nadzieję, że nie podskoczy pan jak oparzony z tego powodu, bo wtedy ja też będę musiał podskoczyć i powiedzieć, że powinien był pan sobie zadać trochę trudu i dowiedzieć się czegoś o Wenus przed zabraniem się do jej eksploracji.

Przez chwilę przyglądał mi się badawczo. Dorrie cicho wysunęła się z kabiny natryskowej, ubrana w długi szlafrok, z włosami zawiniętymi w ręcznik i stanęło koło niego, przyglądając się nam.

– To zależy od tego, czego mi pan nie powiedział – odrzekł.

– Na większość z tych maskonów są znaki zakazu wejścia – powiedziałem. Włączyłem na globusie mapę pilotażową i wokół zgrupowania załasnął jaskrawoczerwone linie ostrzegawcze.

– Północnobiegunowy obszar zamknięty – dodałem – Tutaj chłopcy z Departamentu Obrony mają wyrzutnie rakietowe i znaczną część terenów doświadczalnych dla nowych broni. I nie wolno nam tam wchodzić.

– Ale małeńki kawałek jednego maskonu nie jest na terenie zakazanym – powiedział szorstko.

– I tam właśnie się udajemy – odparłem.

VI

Jak na człowieka ponad czterdziestoletniego, Boyce był żwawy. To oznacza, że nie tylko zdrowo wyglądał. Każdy człowiek na Pehnej Lekarskiej tak wygląda, bo po prostu wymienia mu się wszystko co zużyte, albo co zaczyna wyglądać na kiepskie lub podniszczone. Ale nie da się skutecznie przeszczepić mózgu. Dlatego bardzo bogaci starcy mają silne, opalone ciała, które trzęsą się, chwiejają, upuszczają przedmioty i potykają się idąc. Pod tym względem Cochenour miał szalone szczęście.

Na na bliższe trzy tygodnie zapowiadał się jako męczący towarzyszy podróży. Upart się, żebyym mu pokazał, jak się pilotuje kapsule powietrzną. Gdy zdecydowałem się, by podczas lotu dokonać, może trochę przedwczesnego, cotysiącgodzinnego przeglądu systemu chłodzenia, pomagał mi zdejmować osłony, sprawdzać poziom cieczy chłodzącej i czyścić filtry. Następnie zdecydował, że ugotuje nam lunch.

Jako mój pomocnik, przy przekładaniu części zapasów, by móc się dostać do sond autonosonowych, zastąpiła go dziewczyna. Wewnątrz kapsuły poziom hałasu był na tyle wysoki, że Cochenour nie mógł

uszyść rozmowy prowadzonej normalnym głosem w odległości większej niż trzy metry. Pomyslałem, że może coś od niej na jego temat wyciągnę. I zdecydowałem tego nie robić. Wiedziałem, że oplota koszt nowej warty. Do tego nie była jej potrzebna wiedza o tym, co on i dziewczyna myśleli o sobie nawzajem.

Rozmawia istny wiec o tym jak sondy udpa ają swe ładunki i mierza czas powrotu echa i jakie mamy szanse znalezienia czegoś naprawdę wartoscowego („No co, jakie są szanse na główną wygraną w totalizatorze? Marne dla każdego z kupujących kupon, ale zawsze ktoś gdzieś wygra!”), a przede wszystkim z jakiego powodu przybyłem na Wenus. Wymlenłem nazwisko mego ojca, ale nigdy o nim nie słyszała. Przede wszystkim była na pewno za młoda i urodziła się i wychowała w pobudowanym Ohio, gdzie Cochennour pracował jako młody chłopak i gdzie wrócił jako miliarder. Budował tam nowy ośrodek przetrwania i to wywołało masę kłopotów. Kłopot ze związkiem zawodowym, kłopot z bankami, kłopoty, wielkie kłopoty z rządami. Zdecydował więc wziąć paromiesięczny urlop i poleciłuchować. Spożrzeniem w stronę, gdzie stał mieszając sos i powiedziałam.

– On leniuchuje częściej niż kłopotliwiec mi znany
– To narzekam pracy. Sądzę, że przede wszystkim dlatego stał się bogaczem.
Kapsule chwycił przełożył, więc rzuciłem wszystko i skoczyłem do sferów. Usłyszałem, że Cochennour zawił za moimi plecami, ale byłem zajęty ustalaniem właściwej wysokości lotu. Gdy wspieł się o tysiąc metrów wyżej i przeprogramowałem autopilota stwierdziłem, że rozciiera sobie nadgarstek groźnie na mnie patrząc.

– Przypuszczam – powiedziałam
Odpowiedział surowo:
– Nie przeszkadza mi, że przez pana się oparzyłem, zawsze mogę sobie kupić nową skórę, ale prawie że rozlałem sos
Sprawdziłem nasze położenie na pozornym globusie. Jasny punkt przebył już dwie trzecie drogi do celu.

– Czy zaraz będzie głów? – zapytałem. – Za godzinę będziemy na miejscu.
Po raz pierwszy wyglądał na zaskoczzonego.
– Tak szybko? O ile pamiętam, powiedział pan, że polecimy z szybkością poddźwiękową.
– Tak powiedziałem. Jest pan na Wenus, Mr Cochennour. Na tej wysokości szybkość dźwięku wynosi około pięciu tysięcy kilometrów na godzinę.
Zamyslił się, ale odpowiedział tylko:

No to możemy zjeść w każdej chwili. – Poźniej, gdy skonczyliśmy lunch, dodał – Zdaje się, że nie wiem o tej planecie wszyskiego, co powinienem. Jeśli chce pan wygłosić zwyczajowy wykład przewodnika, słuchamy.
Odrzekłem – No co, ogólny zarys znała państwo dobrze. Ale ale, panie Cochennour, jest pan świetnym kucharzem. Sam pakowałem wszyskie nasze zapasy, lecz nie mam najmniejszego pojęcia co jem.

– Jeśli przyjdiesz do mego biura w Cincinatti – powiedział – pytał o pana Cochennoura. Ale póki mieszkał przytrzymaj jeden drugiemu głowę pod pachą, możesz równie dobrze mówić mi Boyce. A jeśli ci smakuje, czemu nie jesz?
Właściwa odpowiedź na to byłaby ponieważ to by mnie zabiło. Ale nie chciałem zaczynać dyskusji prowadzącej do wyjaśnienia, czemu tak bardzo potrzebuje pieniędzy. Odrzekłem więc:

– Zalecenie lekarskie, bym trzymał się z dala na pewien czas od tłuszczów. Przypuszczam, iż oni myślą, że zanadto tyje.
Cochennour spojrział na mnie badawczo, ale powiedział tylko:
– Wykład?

– Zaczynamy od najważniejszego odrzekłem, ostrożnie nalewając kawę. Póki siedzimy w kapsule, możemy robić co chcemy, spacerować, jeść, pic, palć jeśli macie co, cokolwiek. System chłodzenia wytrzymuje obecność trzykrotnie większej ilości osób, plus ich żywności i wyposażenia, z dwukrotnym współczynnikiem bezpieczeństwa. Powietrza i wody mamy więcej niż potrzeba na dwa miesiące. Paliwa dość na trzykrotną podróż tam i z powrotem i jeszcze na manewrowanie. Gdyby coś było nie tak,

Cochennoura zgłosiłem im znalezienie tego pierwszego przebiegu tunelu, co, jak sądzę, zaskoczyło ich nieco

I to wszysko co mieliśmy do zameidowania

Stanowisko „B” okazało się dalka pematydwą. Dwa nasienne dość jasne, które nazwałem D i E, nie ujawniły. Oznaczało to, że orbita dźwiękow nastąpiły prawdopodobnie o niewidzialne granice fazowe w warstwach skały, poprobu lub żwiru. Poślawiłem więc przeciw wszelkim próbom kopania w „C”, najbardziej obiecującym ze wszyskich. Cochennour z tego powodu pokłócił się ze mną smiertelnie, ale nie ustąpiłem. Wojskowi nadal przyglądali się nam od czasu do czasu i nie chciałem jeszcze naruzić niż teraz zbliżyć się do ich granicy. Na wpół obiecałem, że jeśli nie puszcząci tam się nagle w maszkach, wrócimy chylkiem do „C”, by szybko tam powrócić nim zawrócimy do Wyrzeciona. I na tym się skonczyło.

Wysartowaliśmy kapsułą, przelecieliśmy na nowe miejsce i wysztzeliliśmy nowy zestaw sond. Pod koniec drugiego tygodnia mieliśmy za sobą dziewięć wierceń, za każdym razem puszych. Zaczęły nam się kończyć igloo i sondy. A wazajemną tolerancję całkiem diabli wzięli.

Cochennour stał się dzięki i ponury. W czasie pierwszego spłikania nie planowałem, że polubię tego człowieka, ale nie spodziewałem się, że będzie aż tak psakuci. y Biorąc pod uwagę, iż dla niego była to tylko zabawa, bo przy całym ego bogactwie dodatkowy maialek, który mógł uzyskać odkrywając jakieś nowe hiezijskie artefakty nie był niczym więcej jak dopisaniem jeszcze paru punktów na jego tabeli wygranych, robili to z czystej niechęci.

Prawde mówiąc, ja też nie byłem szczególnie łaskaw. Było jasne jak słońce, że jigułki ze Znathorn, nie pomagały mi tak jak powinny. W uszach miałem smak, jakby kinezdali się tam szczyry. Zawsza miałem boleć głowa. Przewracałem przedmioty. Sprawa z wiatroba ma się tak, że reguluje ona wewnętrzna dieta. Odfiltrowuje truciźny, przekształca pewne węglowodany w inne, które dają się przyswajać, zlepa aminokwas w proteiny. Jeśli tego nie robi, umiera się. Doktor zbadał mnie od stop do głów, więc mogłem sobie dokładnie wyobrazić jak mahonowoczerwone komórki zamierają i zastępują je złośli tuszczu i żółtawej materii. Brzydki obrzek. A najbrzydsze było to, że nie na to nie mogłem poradzić. Tylko brać jigułki, a te nie będą skutkowały dłużej niż jeszcze parę dni. Waldo pa-pa, wysiadka i część.

Byliśmy więc na stopie wojennej. Cochennour był skurczybykiem, gdyż bycie skurczybykiem leżało w jego naturze, a ja byłem skurczybykiem, bo byłem (chury) i desperowany. Jedynym przyzwoitym czło wiekiem na pokładzie okazała się dziewczyna.

Robiła co mogła, naprawdę się starała. Czasem była słodka a często nawieladna i zawsze gotowa wysię naprzeciw więcej niż na pół drogi autorytetom, to znaczy Cochennourowi i mnie. Była jeszcze dzieckiem. Niezaprznie od tego, jak dorosła odgrzywała, nie żyła jeszcze tak długo, by stworzyć sobie środki obrony przeciw skoncentrowanej podłości. Dodając do tego, że wszyscy zaczęliśmy nienawdzić wzajemnie swego widoku, głosu i zapachu i a w kapsule dowiedzieć się można dokładnie, jak człowiek pachnie! Na Wenus niewiele radości było dla Dottie Keeler.

Ami dla zadnego z nas, szczególnie gdy powiedziałem, że zostało nam tylko ostatnie igloo.

Cochennour odchrząknął. Miał minę pilda samotoru myśliwskiego otwierającego osłony działek przed walką. Dorte spróbowała więc odwrócić jego uwagę, zmiętlając temat

– Audre – powiedziała z uśmiechem – myśle, że wiesz co można zrobić? Możemy wrócić do tego miejsca, które tak dobrze wygadalo, koto terenów wojskowych.

To nie był dobry kierunek odwracania uwagi. Potrząsnąłem głową.

Nie

– Co do cholery chcesz powiedzieć przez to „nie”? – zagrzyniał Cochennour, znów szykując się do bitwy.

– Tu, co powiedziałem. Nie. To numer dla desperatów, a takim desperatem nie jestem.

– Walthers – warknął – będziesz desperatem, jeśli ci kaze. Zawsze mogę wstrzymać wypłatę tego czeku.

– Nie, nie możesz. Związek zawodowy ci nie pozwoli. Przepisy są tu bardzo wyraźne. Musisz płacić

Mówili ci, Walkers, że nie umieli przegrywać. Ani zajmować drugiego miejsca. Zastanawiali się, czy wcale nie powinni wygrać. W końcu jednak przegrali. W końcu jednak przegrali.

Czy wiedziałem? Jedną odpowiedź na to pytanie mogło być znalezienie nieumarzonego handla to-
se przez chwilę, po czym warczał. — Ty wyrośłaś do mójdase.

— Żyję się. Mogłabym mu opowiedzieć, jak mieszałam sudekownik sprawozdania porzucając od pier-
wszego ładowania. Mogłem wspomnieć, w ile kłopotów się pokonałam i ile przegrasow zlamalemm ty
uzyskać raporty o pomiarach rębionych przez wojsko abba i flakierce odbywające go może by pogodzić
z załogami z Obrony uczestniczącymi w pierwszych wykopaliskach. Mogłabym mu pisać, czuć, jak trudno
było odnaleźć starego Józefina Hiegrumeta, obecnie wykładającego architekturę pozauniwersytecką w Tor-
wie, i ukazywać jego emaliom. Ale powiedziałem tylko

Fakt, iż znaleźliśmy jeden tunel dawoczą, że znani mają roboty przy wodniku i tylko do 10-20 lat, a nie do 100-200 lat, jak się mówiło.

Wzrósł się gwałtownie, pomyślał o tych wszystkich dalszych możliwościach: jak (mam) 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100, 101, 102, 103, 104, 105, 106, 107, 108, 109, 110, 111, 112, 113, 114, 115, 116, 117, 118, 119, 120, 121, 122, 123, 124, 125, 126, 127, 128, 129, 130, 131, 132, 133, 134, 135, 136, 137, 138, 139, 140, 141, 142, 143, 144, 145, 146, 147, 148, 149, 150, 151, 152, 153, 154, 155, 156, 157, 158, 159, 160, 161, 162, 163, 164, 165, 166, 167, 168, 169, 170, 171, 172, 173, 174, 175, 176, 177, 178, 179, 180, 181, 182, 183, 184, 185, 186, 187, 188, 189, 190, 191, 192, 193, 194, 195, 196, 197, 198, 199, 200, 201, 202, 203, 204, 205, 206, 207, 208, 209, 210, 211, 212, 213, 214, 215, 216, 217, 218, 219, 220, 221, 222, 223, 224, 225, 226, 227, 228, 229, 230, 231, 232, 233, 234, 235, 236, 237, 238, 239, 240, 241, 242, 243, 244, 245, 246, 247, 248, 249, 250, 251, 252, 253, 254, 255, 256, 257, 258, 259, 260, 261, 262, 263, 264, 265, 266, 267, 268, 269, 270, 271, 272, 273, 274, 275, 276, 277, 278, 279, 280, 281, 282, 283, 284, 285, 286, 287, 288, 289, 290, 291, 292, 293, 294, 295, 296, 297, 298, 299, 300, 301, 302, 303, 304, 305, 306, 307, 308, 309, 310, 311, 312, 313, 314, 315, 316, 317, 318, 319, 320, 321, 322, 323, 324, 325, 326, 327, 328, 329, 330, 331, 332, 333, 334, 335, 336, 337, 338, 339, 340, 341, 342, 343, 344, 345, 346, 347, 348, 349, 350, 351, 352, 353, 354, 355, 356, 357, 358, 359, 360, 361, 362, 363, 364, 365, 366, 367, 368, 369, 370, 371, 372, 373, 374, 375, 376, 377, 378, 379, 380, 381, 382, 383, 384, 385, 386, 387, 388, 389, 390, 391, 392, 393, 394, 395, 396, 397, 398, 399, 400, 401, 402, 403, 404, 405, 406, 407, 408, 409, 410, 411, 412, 413, 414, 415, 416, 417, 418, 419, 420, 421, 422, 423, 424, 425, 426, 427, 428, 429, 430, 431, 432, 433, 434, 435, 436, 437, 438, 439, 440, 441, 442, 443, 444, 445, 446, 447, 448, 449, 450, 451, 452, 453, 454, 455, 456, 457, 458, 459, 460, 461, 462, 463, 464, 465, 466, 467, 468, 469, 470, 471, 472, 473, 474, 475, 476, 477, 478, 479, 480, 481, 482, 483, 484, 485, 486, 487, 488, 489, 490, 491, 492, 493, 494, 495, 496, 497, 498, 499, 500, 501, 502, 503, 504, 505, 506, 507, 508, 509, 510, 511, 512, 513, 514, 515, 516, 517, 518, 519, 520, 521, 522, 523, 524, 525, 526, 527, 528, 529, 530, 531, 532, 533, 534, 535, 536, 537, 538, 539, 540, 541, 542, 543, 544, 545, 546, 547, 548, 549, 550, 551, 552, 553, 554, 555, 556, 557, 558, 559, 560, 561, 562, 563, 564, 565, 566, 567, 568, 569, 570, 571, 572, 573, 574, 575, 576, 577, 578, 579, 580, 581, 582, 583, 584, 585, 586, 587, 588, 589, 590, 591, 592, 593, 594, 595, 596, 597, 598, 599, 600, 601, 602, 603, 604, 605, 606, 607, 608, 609, 610, 611, 612, 613, 614, 615, 616, 617, 618, 619, 620, 621, 622, 623, 624, 625, 626, 627, 628, 629, 630, 631, 632, 633, 634, 635, 636, 637, 638, 639, 640, 641, 642, 643, 644, 645, 646, 647, 648, 649, 650, 651, 652, 653, 654, 655, 656, 657, 658, 659, 660, 661, 662, 663, 664, 665, 666, 667, 668, 669, 670, 671, 672, 673, 674, 675, 676, 677, 678, 679, 680, 681, 682, 683, 684, 685, 686, 687, 688, 689, 690, 691, 692, 693, 694, 695, 696, 697, 698, 699, 700, 701, 702, 703, 704, 705, 706, 707, 708, 709, 710, 711, 712, 713, 714, 715, 716, 717, 718, 719, 720, 721, 722, 723, 724, 725, 726, 727, 728, 729, 730, 731, 732, 733, 734, 735, 736, 737, 738, 739, 740, 741, 742, 743, 744, 745, 746, 747, 748, 749, 750, 751, 752, 753, 754, 755, 756, 757, 758, 759, 760, 761, 762, 763, 764, 765, 766, 767, 768, 769, 770, 771, 772, 773, 774, 775, 776, 777, 778, 779, 780, 781, 782, 783, 784, 785, 786, 787, 788, 789, 790, 791, 792, 793, 794, 795, 796, 797, 798, 799, 800, 801, 802, 803, 804, 805, 806, 807, 808, 809, 810, 811, 812, 813, 814, 815, 816, 817, 818, 819, 820, 821, 822, 823, 824, 825, 826, 827, 828, 829, 830, 831, 832, 833, 834, 835, 836, 83

- Czy istnieje jakiko, wiek, sposób określenia czy ktoś nie bez charakteru do środka? Nawet na nią nie spójrzat powiodziały tylko.

ku? Czyżwście - odrzekłem. Można to stwierdzić stukając z zewnątrz w jego ścianę. Kłamię i dławę kłami?

— A ci naprawdę trzeba się do niego dowiedzieć?
Zgadza się.

W rzeczywistości chciał uniknąć dalszej dyskusji, bo mi nie zadał pytania, do kogo musiałam odpowiedzieć niezgodnie z prawdą. Stałam się w miarę możliwości nie kłamcą, bo tak dalej było. Zajął się tym, co się dowodziło.

2. drugiej strony nie jestem fanatycznie przywiązany do prawdy i uważam że nie do mnie należy o niej decydować, muszę tylko ją przebiec.

nieko dowiechiśmy, pownie latwo było to przebie-
śle, o zrywaniu zbudowań. Była to pierwsza rzecz,
czuą głęboke i jęły, a wreszcie, jak, wskazano, umi-
al, by zawiadali i powiedzieć, że osięgniemy, że nie
W tam czasie nie zbudowali się do końca zdecydowa-
nie, jest niemożliwe.

IX

„Cochran i Torrie Keefe” byli pięćdziesiątą czwartą osobą, która została wystrzelona na miejscu. Wszyscy byli z wyjątkiem Torrie Keefe, którzy nie mieli żadnych obrażeń. Wszyscy byli z wyjątkiem Torrie Keefe, którzy nie mieli żadnych obrażeń. Wszyscy byli z wyjątkiem Torrie Keefe, którzy nie mieli żadnych obrażeń.

Pracowali weteros i inżynierowie, a także inżynierowie i lekarze. A im więcej widać, bardziej się przekonałem, że nie ma tu niczego, co by było dla nich łatwiejsze. Wszyscy byli tak samo zaangażowani i pracowali bardzo ciężko, żeby osiągnąć swoje cele. Wszyscy byli zmotywowani i pracowali bardzo ciężko, żeby osiągnąć swoje cele. Wszyscy byli zmotywowani i pracowali bardzo ciężko, żeby osiągnąć swoje cele.

Prze / pierwsze / parę dni chłopcy / wolska przedziwiali nad nami / z / ot / izma / rzy / woli / nie / mia / i /
toz / p / e / k / l / a / k / a / p / i / e / s / z / e / z / a /
zadawali / c / m / d / r / e / p / a / n / t / e / n / t / y / k / a / z / e /
l / a / m / p / o / w / i / e / d / z / a / z / o / g / o / s / t / o / s / z / n / d / z / i /
t / z / e / z / o / c / y / m / n / a / k / c / h / n / i / a / s / t / z / m / e / k / l / o / w / a /
m / i / m / o / s / p / r / z / e / w / o / t /

zawładamy o pomoc, krus nadler i zabierze nas na daleką po parę godzinach, prawopodobnie ciłpocy Ohweny, a on ma kapsułę nadzwyczajową. Najgorszy byłby wypadek, gdyby korpus peki: cała atmosfera Wenus spróbowała się dostać do środka. Gdyby to poszło szybko, byłoby smutnie. Ale to nigdy nie idzie szybko. Mielibysmy dość czasu, by zrobić skatandry, a w nich muzułmni żyć przynajmniej godzin.

[illegible]

1997, 1998, 1999, 2000, 2001, 2002, 2003, 2004, 2005, 2006, 2007, 2008, 2009, 2010, 2011, 2012, 2013, 2014, 2015, 2016, 2017, 2018, 2019, 2020, 2021, 2022, 2023, 2024, 2025, 2026, 2027, 2028, 2029, 2030, 2031, 2032, 2033, 2034, 2035, 2036, 2037, 2038, 2039, 2040, 2041, 2042, 2043, 2044, 2045, 2046, 2047, 2048, 2049, 2050, 2051, 2052, 2053, 2054, 2055, 2056, 2057, 2058, 2059, 2060, 2061, 2062, 2063, 2064, 2065, 2066, 2067, 2068, 2069, 2070, 2071, 2072, 2073, 2074, 2075, 2076, 2077, 2078, 2079, 2080, 2081, 2082, 2083, 2084, 2085, 2086, 2087, 2088, 2089, 2090, 2091, 2092, 2093, 2094, 2095, 2096, 2097, 2098, 2099, 2100, 2101, 2102, 2103, 2104, 2105, 2106, 2107, 2108, 2109, 2110, 2111, 2112, 2113, 2114, 2115, 2116, 2117, 2118, 2119, 2120, 2121, 2122, 2123, 2124, 2125, 2126, 2127, 2128, 2129, 2130, 2131, 2132, 2133, 2134, 2135, 2136, 2137, 2138, 2139, 2140, 2141, 2142, 2143, 2144, 2145, 2146, 2147, 2148, 2149, 2150, 2151, 2152, 2153, 2154, 2155, 2156, 2157, 2158, 2159, 2160, 2161, 2162, 2163, 2164, 2165, 2166, 2167, 2168, 2169, 2170, 2171, 2172, 2173, 2174, 2175, 2176, 2177, 2178, 2179, 2180, 2181, 2182, 2183, 2184, 2185, 2186, 2187, 2188, 2189, 2190, 2191, 2192, 2193, 2194, 2195, 2196, 2197, 2198, 2199, 2200, 2201, 2202, 2203, 2204, 2205, 2206, 2207, 2208, 2209, 2210, 2211, 2212, 2213, 2214, 2215, 2216, 2217, 2218, 2219, 2220, 2221, 2222, 2223, 2224, 2225, 2226, 2227, 2228, 2229, 2230, 2231, 2232, 2233, 2234, 2235, 2236, 2237, 2238, 2239, 2240, 2241, 2242, 2243, 2244, 2245, 2246, 2247, 2248, 2249, 2250, 2251, 2252, 2253, 2254, 2255, 2256, 2257, 2258, 2259, 2260, 2261, 2262, 2263, 2264, 2265, 2266, 2267, 2268, 2269, 2270, 2271, 2272, 2273, 2274, 2275, 2276, 2277, 2278, 2279, 2280, 2281, 2282, 2283, 2284, 2285, 2286, 2287, 2288, 2289, 2290, 2291, 2292, 2293, 2294, 2295, 2296, 2297, 2298, 2299, 2300, 2301, 2302, 2303, 2304, 2305, 2306, 2307, 2308, 2309, 2310, 2311, 2312, 2313, 2314, 2315, 2316, 2317, 2318, 2319, 2320, 2321, 2322, 2323, 2324, 2325, 2326, 2327, 2328, 2329, 2330, 2331, 2332, 2333, 2334, 2335, 2336, 2337, 2338, 2339, 2340, 2341, 2342, 2343, 2344, 2345, 2346, 2347, 2348, 2349, 2350, 2351, 2352, 2353, 2354, 2355, 2356, 2357, 2358, 2359, 2360, 2361, 2362, 2363, 2364, 2365, 2366, 2367, 2368, 2369, 2370, 2371, 2372, 2373, 2374, 2375, 2376, 2377, 2378, 2379, 2380, 2381, 2382, 2383, 2384, 2385, 2386, 2387, 2388, 2389, 2390, 2391, 2392, 2393, 2394, 2395, 2396, 2397, 2398, 2399, 2400, 2401, 2402, 2403, 2404, 2405, 2406, 2407, 2408, 2409, 2410, 2411, 2412, 2413, 2414, 2415, 2416, 2417, 2418, 2419, 2420, 2421, 2422, 2423, 2424, 2425, 2426, 2427, 2428, 2429, 2430, 2431, 2432, 2433, 2434, 2435, 2436, 2437, 2438, 2439, 2440, 2441, 2442, 2443, 2444, 2445, 2446, 2447, 2448, 2449, 2450, 2451, 2452, 2453, 2454, 2455, 2456, 2457, 2458, 2459, 2460, 2461, 2462, 2463, 2464, 2465, 2466, 2467, 2468, 2469, 2470, 2471, 2472, 2473, 2474, 2475, 2476, 2477, 2478, 2479, 2480, 2481, 2482, 2483, 2484, 2485, 2486, 2487, 2488, 2489, 2490, 2491, 2492, 2493, 2494, 2495, 2496, 2497, 2498, 2499, 2500, 2501, 2502, 2503, 2504, 2505, 2506, 2507, 2508, 2509, 2510, 2511, 2512, 2513, 2514, 2515, 2516, 2517, 2518, 2519, 2520, 2521, 2522, 2523, 2524, 2525, 2526, 2527, 2528, 2529, 2530, 2531, 2532, 2533, 2534, 2535, 2536, 2537, 2538, 2539, 2540, 2541, 2542, 2543, 2544, 2545, 2546, 2547, 2548, 2549, 2550, 2551, 2552, 2553, 2554, 2555, 2556, 2557, 2558, 2559, 2560, 2561, 2562, 2563, 2564, 2565, 2566, 2567, 2568, 2569, 2570, 2571, 2572, 2573, 2574, 2575, 2576, 2577, 2578, 2579, 2580, 2581, 2582, 2583, 2584, 2585, 2586, 2587, 2588, 2589, 2590, 2591, 2592, 2593, 2594, 2595, 2596, 2597, 2598, 2599, 2600, 2601, 2602, 2603, 2604, 2605, 2606, 2607, 2608, 2609, 2610, 2611, 2612, 2613, 2614, 2615, 2616, 2617, 2618, 2619, 2620, 2621, 2622, 2623, 2624, 2625, 2626, 2627, 2628, 2629, 2630, 2631, 2632, 2633, 2634, 2635, 2636, 2637, 2638, 2639, 2640, 2641, 2642, 2643, 2644, 2645, 2646, 2647, 2648, 2649, 2650, 2651, 2652, 2653, 2654, 2655, 2656, 2657, 2658, 2659, 2660, 2661, 2662, 2663, 2664, 2665, 2666, 2667, 2668, 2669, 2670, 2671, 2672, 2673, 2674, 2675, 2676, 2677, 2678, 26

- Dalt.

[illegible]

w konkretnym wyniku jest się drugim. Druga sprawa to obywatelk sprawdzić pod ciśnieniem i obserwować, czy nie ma przebieków, fa też będzie je sprawdzić, ale nie jest znie na nie. To kwestia wosy wo zwała i sniela. Saby helmow są bardzo twarde, można wbić nim, gwoździe i naciskać się nie można, je zlamia można, uderzeni o bardzo twarde powierzchnie. W an osobie i kże się nie wy

[illegible]

Nie! Ale u mnie, o tak! Oj, jak się przeżywa! (Z szepsem)
To takiemu nie są dane (wskazując na niego). Ale nie! To cię wykończy! Andree
Czyż nie? O co? Wiedzieć, że jest sposoby zachowania się? O tak, to myśleć, że i tak powiodłoby nam to
wszystko przed opuszczeniem statku? (Chwilę, po chwili) Oczywiście, w jakiś sposób wybrabie się w lasach
i nie będę do zblazowania

[illegible][illegible]

powiadamy, że jest to zgodna z wiedzą i parła na s. 207, 208, 209, 210, 211, 212, 213, 214, 215, 216, 217, 218, 219, 220, 221, 222, 223, 224, 225, 226, 227, 228, 229, 230, 231, 232, 233, 234, 235, 236, 237, 238, 239, 240, 241, 242, 243, 244, 245, 246, 247, 248, 249, 250, 251, 252, 253, 254, 255, 256, 257, 258, 259, 260, 261, 262, 263, 264, 265, 266, 267, 268, 269, 270, 271, 272, 273, 274, 275, 276, 277, 278, 279, 280, 281, 282, 283, 284, 285, 286, 287, 288, 289, 290, 291, 292, 293, 294, 295, 296, 297, 298, 299, 300, 301, 302, 303, 304, 305, 306, 307, 308, 309, 310, 311, 312, 313, 314, 315, 316, 317, 318, 319, 320, 321, 322, 323, 324, 325, 326, 327, 328, 329, 330, 331, 332, 333, 334, 335, 336, 337, 338, 339, 340, 341, 342, 343, 344, 345, 346, 347, 348, 349, 350, 351, 352, 353, 354, 355, 356, 357, 358, 359, 360, 361, 362, 363, 364, 365, 366, 367, 368, 369, 370, 371, 372, 373, 374, 375, 376, 377, 378, 379, 380, 381, 382, 383, 384, 385, 386, 387, 388, 389, 390, 391, 392, 393, 394, 395, 396, 397, 398, 399, 400, 401, 402, 403, 404, 405, 406, 407, 408, 409, 410, 411, 412, 413, 414, 415, 416, 417, 418, 419, 420, 421, 422, 423, 424, 425, 426, 427, 428, 429, 430, 431, 432, 433, 434, 435, 436, 437, 438, 439, 440, 441, 442, 443, 444, 445, 446, 447, 448, 449, 450, 451, 452, 453, 454, 455, 456, 457, 458, 459, 460, 461, 462, 463, 464, 465, 466, 467, 468, 469, 470, 471, 472, 473, 474, 475, 476, 477, 478, 479, 480, 481, 482, 483, 484, 485, 486, 487, 488, 489, 490, 491, 492, 493, 494, 495, 496, 497, 498, 499, 500, 501, 502, 503, 504, 505, 506, 507, 508, 509, 510, 511, 512, 513, 514, 515, 516, 517, 518, 519, 520, 521, 522, 523, 524, 525, 526, 527, 528, 529, 530, 531, 532, 533, 534, 535, 536, 537, 538, 539, 540, 541, 542, 543, 544, 545, 546, 547, 548, 549, 550, 551, 552, 553, 554, 555, 556, 557, 558, 559, 560, 561, 562, 563, 564, 565, 566, 567, 568, 569, 570, 571, 572, 573, 574, 575, 576, 577, 578, 579, 580, 581, 582, 583, 584, 585, 586, 587, 588, 589, 590, 591, 592, 593, 594, 595, 596, 597, 598, 599, 600, 601, 602, 603, 604, 605, 606, 607, 608, 609, 610, 611, 612, 613, 614, 615, 616, 617, 618, 619, 620, 621, 622, 623, 624, 625, 626, 627, 628, 629, 630, 631, 632, 633, 634, 635, 636, 637, 638, 639, 640, 641, 642, 643, 644, 645, 646, 647, 648, 649, 650, 651, 652, 653, 654, 655, 656, 657, 658, 659, 660, 661, 662, 663, 664, 665, 666, 667, 668, 669, 670, 671, 672, 673, 674, 675, 676, 677, 678, 679, 680, 681, 682, 683, 684, 685, 686, 687, 688, 689, 690, 691, 692, 693, 694, 695, 696, 697, 698, 699, 700, 701, 702, 703, 704, 705, 706, 707, 708, 709, 710, 711, 712, 713, 714, 715, 716, 717, 718, 719, 720, 721, 722, 723, 724, 725, 726, 727, 728, 729, 730, 731, 732, 733, 734, 735, 736, 737, 738, 739, 740, 741, 742, 743, 744, 745, 746, 747, 748, 749, 750, 751, 752, 753, 754, 755, 756, 757, 758, 759, 760, 761, 762, 763, 764, 765, 766, 767, 768, 769, 770, 771, 772, 773, 774, 775, 776, 777, 778, 779, 780, 781, 782, 783, 784, 785, 786, 787, 788, 789, 790, 791, 792, 793, 794, 795, 796, 797, 798, 799, 800, 801, 802, 803, 804, 805, 806, 807, 808, 809, 810, 811, 812, 813, 814, 815, 816, 817, 818, 819, 820, 821, 822, 823, 824, 825, 826, 827, 828, 829, 830, 831, 832, 833, 834, 835, 836, 837, 838, 839, 840, 841, 842, 843, 844, 845, 846, 847, 848, 849, 850, 851, 852, 853, 854, 855, 856, 857, 858, 859, 860, 861, 862, 863, 864, 865, 866, 867, 868, 869, 870, 871, 872, 873, 874, 875, 876, 877, 878, 879, 880, 881, 882, 883, 884, 885, 886, 887, 888, 889, 890, 891, 892, 893, 894, 895, 896, 897, 898, 899, 900, 901, 902, 903, 904, 905, 906, 907, 908, 909, 910, 911, 912, 913, 914, 915, 916, 917, 918, 919, 920, 921, 922, 923, 924, 925, 926, 927, 928, 929, 930, 931, 932, 933, 934, 935, 936, 937, 938, 939, 940, 941, 942, 943, 944, 945, 946, 947, 948, 949, 950, 951, 952, 953, 954, 955, 956, 957, 958, 959, 960, 961, 962, 963, 964, 965, 966, 967, 968, 969, 970, 971, 972, 973, 974, 975, 976, 977, 978, 979, 980, 981, 982, 983, 984, 985, 986, 987, 988, 989, 990, 991, 992, 993, 994, 995, 996, 997, 998, 999, 1000.

1997, 1998, 1999, 2000, 2001, 2002, 2003, 2004, 2005, 2006, 2007, 2008, 2009, 2010, 2011, 2012, 2013, 2014, 2015, 2016, 2017, 2018, 2019, 2020, 2021, 2022, 2023, 2024, 2025, 2026, 2027, 2028, 2029, 2030, 2031, 2032, 2033, 2034, 2035, 2036, 2037, 2038, 2039, 2040, 2041, 2042, 2043, 2044, 2045, 2046, 2047, 2048, 2049, 2050, 2051, 2052, 2053, 2054, 2055, 2056, 2057, 2058, 2059, 2060, 2061, 2062, 2063, 2064, 2065, 2066, 2067, 2068, 2069, 2070, 2071, 2072, 2073, 2074, 2075, 2076, 2077, 2078, 2079, 2080, 2081, 2082, 2083, 2084, 2085, 2086, 2087, 2088, 2089, 2090, 2091, 2092, 2093, 2094, 2095, 2096, 2097, 2098, 2099, 2100, 2101, 2102, 2103, 2104, 2105, 2106, 2107, 2108, 2109, 2110, 2111, 2112, 2113, 2114, 2115, 2116, 2117, 2118, 2119, 2120, 2121, 2122, 2123, 2124, 2125, 2126, 2127, 2128, 2129, 2130, 2131, 2132, 2133, 2134, 2135, 2136, 2137, 2138, 2139, 2140, 2141, 2142, 2143, 2144, 2145, 2146, 2147, 2148, 2149, 2150, 2151, 2152, 2153, 2154, 2155, 2156, 2157, 2158, 2159, 2160, 2161, 2162, 2163, 2164, 2165, 2166, 2167, 2168, 2169, 2170, 2171, 2172, 2173, 2174, 2175, 2176, 2177, 2178, 2179, 2180, 2181, 2182, 2183, 2184, 2185, 2186, 2187, 2188, 2189, 2190, 2191, 2192, 2193, 2194, 2195, 2196, 2197, 2198, 2199, 2200, 2201, 2202, 2203, 2204, 2205, 2206, 2207, 2208, 2209, 2210, 2211, 2212, 2213, 2214, 2215, 2216, 2217, 2218, 2219, 2220, 2221, 2222, 2223, 2224, 2225, 2226, 2227, 2228, 2229, 2230, 2231, 2232, 2233, 2234, 2235, 2236, 2237, 2238, 2239, 2240, 2241, 2242, 2243, 2244, 2245, 2246, 2247, 2248, 2249, 2250, 2251, 2252, 2253, 2254, 2255, 2256, 2257, 2258, 2259, 2260, 2261, 2262, 2263, 2264, 2265, 2266, 2267, 2268, 2269, 2270, 2271, 2272, 2273, 2274, 2275, 2276, 2277, 2278, 2279, 2280, 2281, 2282, 2283, 2284, 2285, 2286, 2287, 2288, 2289, 2290, 2291, 2292, 2293, 2294, 2295, 2296, 2297, 2298, 2299, 2300, 2301, 2302, 2303, 2304, 2305, 2306, 2307, 2308, 2309, 2310, 2311, 2312, 2313, 2314, 2315, 2316, 2317, 2318, 2319, 2320, 2321, 2322, 2323, 2324, 2325, 2326, 2327, 2328, 2329, 2330, 2331, 2332, 2333, 2334, 2335, 2336, 2337, 2338, 2339, 2340, 2341, 2342, 2343, 2344, 2345, 2346, 2347, 2348, 2349, 2350, 2351, 2352, 2353, 2354, 2355, 2356, 2357, 2358, 2359, 2360, 2361, 2362, 2363, 2364, 2365, 2366, 2367, 2368, 2369, 2370, 2371, 2372, 2373, 2374, 2375, 2376, 2377, 2378, 2379, 2380, 2381, 2382, 2383, 2384, 2385, 2386, 2387, 2388, 2389, 2390, 2391, 2392, 2393, 2394, 2395, 2396, 2397, 2398, 2399, 2400, 2401, 2402, 2403, 2404, 2405, 2406, 2407, 2408, 2409, 2410, 2411, 2412, 2413, 2414, 2415, 2416, 2417, 2418, 2419, 2420, 2421, 2422, 2423, 2424, 2425, 2426, 2427, 2428, 2429, 2430, 2431, 2432, 2433, 2434, 2435, 2436, 2437, 2438, 2439, 2440, 2441, 2442, 2443, 2444, 2445, 2446, 2447, 2448, 2449, 2450, 2451, 2452, 2453, 2454, 2455, 2456, 2457, 2458, 2459, 2460, 2461, 2462, 2463, 2464, 2465, 2466, 2467, 2468, 2469, 2470, 2471, 2472, 2473, 2474, 2475, 2476, 2477, 2478, 2479, 2480, 2481, 2482, 2483, 2484, 2485, 2486, 2487, 2488, 2489, 2490, 2491, 2492, 2493, 2494, 2495, 2496, 2497, 2498, 2499, 2500, 2501, 2502, 2503, 2504, 2505, 2506, 2507, 2508, 2509, 2510, 2511, 2512, 2513, 2514, 2515, 2516, 2517, 2518, 2519, 2520, 2521, 2522, 2523, 2524, 2525, 2526, 2527, 2528, 2529, 2530, 2531, 2532, 2533, 2534, 2535, 2536, 2537, 2538, 2539, 2540, 2541, 2542, 2543, 2544, 2545, 2546, 2547, 2548, 2549, 2550, 2551, 2552, 2553, 2554, 2555, 2556, 2557, 2558, 2559, 2560, 2561, 2562, 2563, 2564, 2565, 2566, 2567, 2568, 2569, 2570, 2571, 2572, 2573, 2574, 2575, 2576, 2577, 2578, 2579, 2580, 2581, 2582, 2583, 2584, 2585, 2586, 2587, 2588, 2589, 2590, 2591, 2592, 2593, 2594, 2595, 2596, 2597, 2598, 2599, 2600, 2601, 2602, 2603, 2604, 2605, 2606, 2607, 2608, 2609, 2610, 2611, 2612, 2613, 2614, 2615, 2616, 2617, 2618, 2619, 2620, 2621, 2622, 2623, 2624, 2625, 2626, 2627, 2628, 2629, 2630, 2631, 2632, 2633, 2634, 2635, 2636, 2637, 2638, 2639, 2640, 2641, 2642, 2643, 2644, 2645, 2646, 2647, 2648, 2649, 2650, 2651, 2652, 2653, 2654, 2655, 2656, 2657, 2658, 2659, 2660, 2661, 2662, 2663, 2664, 2665, 2666, 2667, 2668, 2669, 2670, 2671, 2672, 2673, 2674, 2675, 2676, 2677, 2678, 26

[illegible]

wyrzuceniem sondy autosonarowej. Gdy tylko oderwały się do kapsuły, porwał je wiatr i rozrzucił na całej przestrzeni pod narm. Wyrośnięta rzeczka było, że właściwie obok niego było gdzie spać. Najpierw leżały jak oszczędzi, następnie rozciągały się jak słomki, aż wreszcie zadziały ich rakietki a stery systemu ładowania skierowały je ku ziemi.

Wszystkie włożyły się w gruntu tak jak trzeba. Nie zawsze ma się takie szczęście, początek był więc dobry.

Skontrolowałem ich rozmieszczenie na mapie szczegółowej; było bliższe trójkątowi równobocznemu, czyli właśnie takie jak należy. Następnie włączyłem lokalizator i zacząłem krążyć w kołko.

- A co teraz? - zapytał Cochenour. Zauważyłem, że dziewczyna skorzystała z złyceczek do uszu, ale on nie chciał niczego przepuścić.

- Teraz czekamy by sondy zaczęły wymacać tunele Hiczych. To potrwa parę godzin - Równocześnie zacząłem opuszczać kapsułę w dół przez warstwy przypowierzchniowe. Zaczęło nami rzucić. Trzesło paskudnie, hałas był nie lepszy.

Ale znalazłem to co chciałem, formacje powierzchniowe, podobna do ślepego jaru i posadziłem nas tam po zaledwie jednej czy dwóch przykrych chwilach Cochenour przyglądał się temu bardzo uważnie, a ja usmiechałem się pod wąsem. To w takich momentach liczy się umiejętność pilotażu, nie w czasie przelotu ani na szlucznych łądowskich kolo Wzruciona. Gdyby to potrafił, mogłoby współpracować z kimś takim jak ja.

Nasze miejsce wyglądało okay, wstrzelełem więc ctery kotwy, zebrałem pale z głowicami wybuchowymi, które otwierają się w ziemi. Naciągnąłem je z całą mocą, wszystkie trzy miały.

To też był dobry znak. Dość zadowolony z siebie rozpiąłem pasy i wstałem.

- Zatrzymamy się tutaj, przynajmniej dzień lub dwa - powiedziałam. - Dłużej jeśli nam się poszczęści, jak wam się podobala przebieg?

Teraz, gdy chronię nas ślany jaru obróżyły poziom huk z gromowego do zaledwie ciągłego wrzasku, dziewczyna wyjechała złyceczki z uszu.

- Chcesz się, że nie dostałem choroby powłotkowej - powiedziałam.

Cochenour myślał a nie gadał. Zapalił kolejnego papierosa i przyglądał się pulpitiowi sterownicemu.

- Jeszcze jedno pytanie, Audree - dodała Dorota. - Ciemu nie mogliśmy pozostać w górze gdzie jest spokojniej?

- Paliwo. Mam w bakach na około trzydzieści godzin pełnego ciągu, ale to wszystko. Czy tutaj ci przeszkadza?

Skrzywiła się.

- Przyzwyczaisz się. To tak jakby się mieszkalo kolo kosmodromu. Na początku dziwisz się, jak kolewnik wytrzymuje taki hałas tylko przez jedną godzinę. A po tygodniu brak ci go, gdy zapamiętasz.

Podeszła do iluminatora i z naraysem przyjrzała się krajobrazowi. Przelecieliśmy na półkuli nocna i dużo tam do oglądania nie było prócz piachu i drobnych przedmiotów przelatujących w słupach światła naszych reflektorów.

- Właśnie niepokoi mnie ten pierwszy tydzień - odrzekła

Włączyłem odczyt sond. Małe głowice perkusyjne odrzucały swe mikrofalunki i mierzyły wzajemnie dźwięki, ale było za wcześnie by coś z tego wynioskować. Na ekranie ledwie zaczęły się pojawiać cienie zarysów, więcej było dziur niż rysunku.

Wreszcie odezwał się Cochenour:

- Nie czasu mi nie, nim coś z tego wyyczytasz? - zapytał. Znowu coś ciekawego, nie pytał co to jest.

- Zależy od tego jak blisko jesteśmy i jak to jest duże. Za około godzinę można zacząć zagadywać, ale wole mieć wszystkie dane. Powiedziałbym za szesc czy osiem godzin. Nie ma pośpiechu.

- Ja się śpię, Walthers - mruczał. - Pamiętaj o tym.

- Co możemy zrobić, Audree? - wróciła się dziewczyna. - Zagrać w brydża z dziadkiem?

- Na co tylko masz ochotę, ale radziłbym trochę się przespacerować. Mam pruski nasenne, jeśli ich potrze-

wały przez ponad połowę czasu. Adres anty-żelazowy tak by wykorzystany, podobnie przez ciążenia i jesu się tylko w nocy nie ugodylony nie pozwolą byśna doznać poważnego uszkodzenia. I już było po wszystkim. Polimetry, kolony wewnątrz siebie przewyższył się, przewyższył na jeden bok i tak zawiązał.

Zgaszonym oświetleniem i przy zgaszonym wszystkim światłem oddychaliśmy a reszta chłodzący skafandrowi stopniowo uderzyli do siebie.

- Ach - westchnęła Dorota. - To było dość ciężkie.

Spojrzałem na Cochenoura. W świetle byłym z dnia szybko dostrzeżem, że zniknął pierwszy. Nie odezwał się. Włączyłem palnik i przywróciłem go do stanu normalnego, ale do końca pułpitów a klapy. Szedła do tunelu. Słuchać było, jak uderzyła o podłogę.

Wtedy włączyłem heliograf.

Nie ma rozrwy i iskrzenia, powiedziałam.

Nie rozchmurzył się ani nie odlewał.

- Co oznacza, że ten był pierwszy? - kontynuowałem. Wracamy do kapsuły na odjętych zanurzeniach się za coś innego.

Dorota krzyknęła.

- Audree! Co się z tobą dzieje? Chcesz znowu paść? - zobaczyłem, że jest w środku.

Cochenour odpowiadał się "nie".

- Zamknij się, Doro. Nie słyszałaś, co powiedział? To niewypał.

*

Oczywiście istnieją zawsze szansa, że przebyły tunel został naruszony przez wstrząs sejsmiczny, a wieszczurą podziemnego z ogniwiercią. Jeśli tak było, tunel zawierał coś wartoskiego. I nie miałem sumienia jednym uderzeniem głaz całego entuzjazmu Danoby.

Ziechaliśmy więc do nory Hiczych po kablu, jedno za drugim i roztrzęsiliśmy się.

Był całkowicie pusty, jak wielkość z nich, przynajmniej w zasięgu wzroku. Co oznacza, nie było dalej, bo korynka trudność z przebyciem tunelom polega na tym, że idea jego eksploracji potrzeba bardzo dobrego sprzętu. Po przecięciach jakich doznaliśmy, nasze skafandry były skutecznym zabezpieczeniem jeszcze na jakieś parę godzin, ale niewiele ponad to i gdy przesyłamy z polnili tunelom, mol turyści chcieli już zawrócić do kapsuły.

Umyśliśmy się i zrobili sobie coś do picia. Nawet wyjąłmnie jeszcze więcej wody z naszych rezerw, nie poprawiało nam humoru.

Musieliśmy coś zjeść, ale Cochenourowi nie chciało się urządzać kolejnego pokazu dla smakoszy Dorota w mikroskopu wrzuciła łaski do kuchenki mikrofalowej w ponurym nastroju zaczęlistry przesuwać nasze żelazne polce.

- No cóż, to dopiero pierwszy - powiedziała w końcu, zdecydowana patrzeć na sprawę optymistycznie. - I jesteśmy tu dopiero drugi dzień.

- Przypnij się, Doro. - odrzekł Cochenour. - Jedyna rzecz, jakiej nie umiem dobrze robić, to przebieganie. Wpatrywał się w ekran ze schematami nakreślonym przez sondy. - Walthers, ile z tuneli jest nie zaznaczonych ale puszystych, jak ten tutaj?

- Jak mogą na to odpowiedzieć? Jeśli są, nie zaznaczone to znaczy, że ich nie zarejestrowano.

- Wtedy te ślady nie nie znaczą. Możemy co dzień przez najbliższe trzy tygodnie przebiegać się do jednego i stwierdzić, że wszystkie są puste.

Kiwaniem głowa.

- Z całą pewnością, Boyce.

Spojrzał na mnie szybko.

- Wtedy?

- To jeszcze nie najgorsze. Wziółm na wykropki krupy, które zwalnowały ze szczęścia otwierając nawet przebiegi tuneli. Można wyciec codziennie całym tygodniem i w ogóle nie natrafic na prawdziwy kuczajski tunel. Nie wsłuchaj się, za swoje pieniądze miałes trochę rozrywki.

Greg Bear

MARTWY KURS

(Dead Run)

Niewiele jest autostopowiczów na drodze do Piekła. Tego frajera zauważyłem już ze cztery mile wcześniej. Stał tam, gdzie droga jest prosta i równa i przecina coś, co można byłoby wziąć za pustynię, gdyby nie te wszystkie wymarłe miasteczka, motele i domki. Jechałem już coś ze sześć godzin, a ci tam za mną, w bydlęcej przyczepie, przycichli przez ostatnie trzy - zrezygnowali chyba - więc nerwy mi się nieco uspokoiły i postanowiłem zobaczyć, o co temu frajerowi chodzi. Może to jeden z pracowników? Dopiero byłoby ciekawie. Prawdę mówiąc, jak tylko ten szloch tam z tyłu trochę przycichł, zacząłem się nudzić.

Stał na prawym poboczu i wyciągał reke. Delikatnie zredukowałem biegi, pneumatyczne hamulce zasyczały i pisnęły pod naciśnięciem stopy, ciężarówka zwolniła, a wielki diesel wydał głębokie, jakby płynące z trzewi dinozaura beknienie i drząc zmniejszał obroty. Gdy to wszystko już się skończyło, przechyliłem się przez prawe siedzenie i otworzyłem drzwi szoferki.

- Dokąd?

Rozesmiał się, potrząsnął głową i splunął na miękkie pobocze.

- Nie wiem - odpowiedział. Prawn do Piekła.

Był chudy i opalony, miał czarne włosy, długie i przetłuszczzone. Nosił dzinsy, kamizelkę i brudny, pełen dziur słomkowy kapelusz, z którego główki sterczały całkiem nowe pióra - bażancie, o ile mogłem zgadnąć. Z kamizelki zwisał łańcuszek, niktacy w kieszonce na zegarek. Nosił stare buty z podwiniętymi noskami i podeszwami nieco cienszymi niż moje zapasowe gumy. Wyglądał kubek w kubek jak ja, kiedy złamany i szukający pracy wynosiłem się autostopem z Fresno.

- A może cię tam podrzuci?

- No jasne!

Włożył do środka i trzasnął drzwiami. Wyjął z kieszeni chusteczkę, obtarł nią czoło, wysmarkał długi nos i popatrzył na mnie przekrwionymi z beczności oczami.

- Co wozisz? zapytał.

- Dusze. Cały cholerny ładunek dusz.

Jakie?

Był młody, miał chyba nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Bardzo chciał, żeby to pytanie zabrzmiało nonszalancko, ale w tonie, jakim je zadał dosłyszałem niepukój.

Normalne. Ludzkie. Tym razem paru Hare Krisznow. Już się im bliżej nie przyglądałem.

Ruszyłem, próbując jakos rozpedzić wóz i zastanawiając się, czy z silnikiem jest rzeczywiście aż tak krapsko, jak na to wygląda. Kiedy już nabralismy prędkości - osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć mil na tej szosie nie ma korków - zapytał znowu:

- Dawno je wozisz?

- Dwa lata.

Dobrze piara?

Jakos sobie radzę.

A dodatki?

- Jesteśmy związkiem jak każdy inny.

- Słyszałem o tym - powiedział - w tej dziurze, dwie mile temu.

To tam są ludzie? - zdziwiłem się. Nie sądziłem, że ktokolwiek żyje przy tej drodze.

- Aha. Prawdziwa prowincja. Mówią, że jak odrhodzą szefowie, to się ich wozu w limuzynach.

Chyba wszystko jedno, jak tam dojedziesz. Podróż krótka, pobyt długi.

Cała frajda w tym, za co się tam dostajesz, co? - próbowałem się uśmiechnąć.

Odpowiedziałem skrzywieniem.

- A ty co tu robisz? - spytałem parę minut później. - Nie jesteś martwy, co?

Nigdy nie słyszałem o umartwych puszczonych wolno czy nawet

wyglądających tak żywotnie jak on, ale nie potrafiłem wyobrazić sobie, że na tej drodze znajduje się kłos inny oprócz umarłaków i szoferów.

- Nie - odpowiedział. Przycichł na chwilę, po czym dodał powoli, jakby to go trochę zawstydzilo:

- Jestem tu, żeby znaleźć moją kobietę.

- Taa...? Nie bardzo mnie to zaskoczyło, ale zawsze roś nowego. - Nie ma powrotu, wiesz?

- Na imię ma Sherill. Pisz się jak sheriff, ale z dwoma „l” na końcu.

- Masz papierosa? - Nie paliłem, ale mogł mi się przydać później.

Dał mi ostatnie trzy w sztywnej paczce i nic nie powiedział.

- Nie słyszałem o niej. Ale nie rozmawiam z każdym, kogo wiozę. I jest wiele wozów, wielu kierowców.

- Wiem. Słyszałem też o dodatkach.

Spojrzał na mnie z jakimś dziwnym, smutnym wyrazem oczu i to mnie zezłościło. Zaciąłem usta i palzyłem wprost przed siebie.

- No, słyszało się takie różne historie. O tym, jak używają starych podłóg w Chinach i Indiach, a w Rosji to są tramwaje. W Meksyku stare autobusy wzdłuż dróg, zawsze nocą...

- Słuchaj, ja tam nie korzystam ze wszystkiego. Wiem, że nie którzy tak, ale nie ja...

- Oczywiście, kapuje - powiedział kiwając głową, tym cholernym przesadnym skinieniem młodych, z poruszeniem szyi i ciałych pleców, wszystko w porządku, tylko się nie denerwuj.

- Jak masz zamiar ją znaleźć?

- Nie mam pojęcia. Jechać drogą, może pytać kierowców.

- A jak tu trafiłeś?

Przez chwilę nie odpowiadał.

- Kiedy już umrę, to pewnie trafie właśnie tu. Takim jak ja nie trudno znaleźć się tu wcześniej. No, i... tata był kierowcą. Opowiedział mi o trasie. Przy okazji, na imię mam Billy.

John.

- Młodość poznać.

Potem przez chwilę nie rozmawialiśmy. Wyglądał przez okno, a ja patrzyłem na pustynię i na dalekie, przemieszczające za szybą domy.

Góry zbliżały się szybko, przestrzeń wydawała się zaciesniać wokół drogi, zwłaszcza po przejechaniu pustyni. Przyspieszyłem na podjeździe. Ci z tyłu znowu zaczęli hałasować.

- Co robisz po pracy? - odezwał się Billy.

- Wracam do domu i śpię.

- I nikt nie wie, że tu jeździsz?

Tylko związek.

Tak było i z tatą, prawie do samego końca. Słuchaj, nie chcę cię złościć ani nic. Ja po prostu słyszałem o dodatkach. Myślałem... - przelknął, grdyka mu zadrziała - myślałem, że będziesz mógł pomóc. Nie mam pojęcia, jak znaleźć Sherill. Może tam, w bazie.

- Nikt przy zdrowych zmysłach nie wlezie do zagrody z wyboju. I będziesz musiał szukać wśród wszystkich, którzy zmarli przez ostatnie cztery miesiące. Niezłe są tam słuchosy.

Billy przyjął to jak cios w twarz i zbliżyło mi się przykro, że nie tak powiedziałem.

- Odeszła tylko tydzień temu. To nie jest miejsce dla niej.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

No, nie... to znaczy, to jest miejsce dla mnie, nie dla niej. Była w tej kraksie, parę miesięcy temu, samochód ratkiem rozbity i a paskudnie pokiereszowane. Najpierw sprzedawałem jej przybory a później się zakochałem. Nim wyładowała w szpitalu była już wiesz, zależna chyba od czterech różnych rzeczy.

Reci zasztywniał z nią na kierowcę.

Chodziłem tam i próbowałem ją wytłumaczyć, że na nią

...wiesz, jeśli coś znajdziemy, a pamiętaj, że jest tylko jedna szansa na to, by nam się powiodło za pierwszym razem, będziemy musieli być w pełni sił przy najmniej przez pewien czas.

- Zgoda - powiedział Dorota, sięgając po pigułki, ale Cochenour zapytał:

- A co z tobą?

- Za chwilę. Czekam na coś

Nie pytał na co. Zapewne dlatego, pomyślałem, że już wie. Kładąc się na koi postanowiłem nie brać od razu proszka nasennego. Ten Cochenour był nie tylko moim najbogatszym turystą w całej mojej karierze, ale także najlepiej poinformowanym i chciałem to sobie przypomnieć.

*

- To, na co czekałem, nastąpiło dopiero po godzinie. Chłopcy zrobili się trochę niedbali, powinni byli wpaść na nas wcześniej.

Radio zabrzęczało a po tym zagrzmiło.

- Niezidentyfikowany statek na jeden-trzy-piec, zero-siedem, cztery-osiem i siedem-dwa, pięć-jeden, pięć-cztery! Proszę podać dane i cel podróży!

Cochenour spojrzal pytajaco nad stołu, gdzie grał z dziewczyną w remika. Uśmiechnąłem się uspokajająco.

- Półk mówią „proszę”, nie ma sprawy - powiedziałem i włączyłem nadajnik.

Tu pilot Audée Walters, kapsuła Poppa Tare Dziewięć jeden, przylot z Wrzeczona. Jesteśmy zarejestrowani i mamy zatwierdzony plan lotów. Na pokładzie dwoje Ziemiaków-turystów cel eksploracji roztynkowej.

- Przyjele. Proszę poczekać - zagrzmiło radio. Wojskowi zawsze nadają najwyższą mocą. Bez wątpienia kac z czasów musztry podoficerskiej.

Włączyłem mikrofon i powiedziałem pasażerom:

- Sprawdzają nasz plan lotów. Nie ma problemu

Moment później oderwała się stacja wojskowa, głośno jak zawsze.

- Jesteście jedenaście koma cztery kilometrów w położeniu jeden-osiem-trzy stopni od obszaru zakazanego. Poruszajcie się ostrożnie. Zgodnie z Regulaminami Wojskowymi jeden. Siedem i jeden. Osiem, rozdzielamy.

Przeważałem:

- Znam regulaminy. Jestem licencjonowanym przewodnikiem i wyjaśnię zakazy pasażerom

- Przyjele - ryknęło radio - Bedziecie pod naszą obserwacją. Jeśli zauważycie stłaki albo grupy ludzi na powierzchni, będą to nasze patrolne graniczne. Nie przyszkadzajcie im w żadnym wypadku. Odpowiadajcie natychmiast na każde zadanie identyfikacji lub informacji. - Fala nosna przestała brzęczeć

- Wygląda na to, że są nerwowi - rzekł Cochenour.

- Nie. Są przyzwyczajeni do naszej obecności. Po prostu nie mają nic do roboty i to wszystko.

Dorrie oderwała się z wahaniem

- Audée, powiedziales im, że wyjaśniles nam zakazy. Nic takiego sobie nie przypominam.

- Och, naprawdę wyjaśnilem. Trzymamy się na zewnątrz obszaru zakazanego, bo inaczej zaczęłby strzelać. I to jest Całe Prawo.

VII

Budzik nastawiłem na czwartą, a łamci uszyszeli jak się krzątali i także wstali. Dorrie przyniosła nam kawę z ogrzewacza. Wypiliśmy ją na słońcu, przyglądając się rysunkowi stworzonemu przez komputer.

Przestudiowaliśmy go zabrało trochę czasu, choć nawet na pierwszy rzut oka obraz był dość jasny. Było tam osiem dużych anomalii, które mogły być norami H. czich. Jedna prawie tuż pod naszymi drzwiami. Nie musielibyśmy nawet przenosić kapsuły by się do niej dogrzebać.

VIII

...wiesz, jeśli coś znajdziemy, a pamiętaj, że jest tylko jedna szansa na to, by nam się powiodło za pierwszym razem, będziemy musieli być w pełni sił przy najmniej przez pewien czas.

- Zgoda - powiedział Dorota, sięgając po pigułki, ale Cochenour zapytał:

- A co z tobą?

- Za chwilę. Czekam na coś

Nie pytał na co. Zapewne dlatego, pomyślałem, że już wie. Kładąc się na koi postanowiłem nie brać od razu proszka nasennego. Ten Cochenour był nie tylko moim najbogatszym turystą w całej mojej karierze, ale także najlepiej poinformowanym i chciałem to sobie przypomnieć.

- To, na co czekałem, nastąpiło dopiero po godzinie. Chłopcy zrobili się trochę niedbali, powinni byli wpaść na nas wcześniej.

Radio zabrzęczało a po tym zagrzmiło.

- Niezidentyfikowany statek na jeden-trzy-piec, zero-siedem, cztery-osiem i siedem-dwa, pięć-jeden, pięć-cztery! Proszę podać dane i cel podróży!

Cochenour spojrzal pytajaco nad stołu, gdzie grał z dziewczyną w remika. Uśmiechnąłem się uspokajająco.

- Półk mówią „proszę”, nie ma sprawy - powiedziałem i włączyłem nadajnik.

Tu pilot Audée Walters, kapsuła Poppa Tare Dziewięć jeden, przylot z Wrzeczona. Jesteśmy zarejestrowani i mamy zatwierdzony plan lotów. Na pokładzie dwoje Ziemiaków-turystów cel eksploracji roztynkowej.

- Przyjele. Proszę poczekać - zagrzmiło radio. Wojskowi zawsze nadają najwyższą mocą. Bez wątpienia kac z czasów musztry podoficerskiej.

Włączyłem mikrofon i powiedziałem pasażerom:

- Sprawdzają nasz plan lotów. Nie ma problemu

Moment później oderwała się stacja wojskowa, głośno jak zawsze.

- Jesteście jedenaście koma cztery kilometrów w położeniu jeden-osiem-trzy stopni od obszaru zakazanego. Poruszajcie się ostrożnie. Zgodnie z Regulaminami Wojskowymi jeden. Siedem i jeden. Osiem, rozdzielamy.

Przeważałem:

- Znam regulaminy. Jestem licencjonowanym przewodnikiem i wyjaśnię zakazy pasażerom

- Przyjele - ryknęło radio - Bedziecie pod naszą obserwacją. Jeśli zauważycie stłaki albo grupy ludzi na powierzchni, będą to nasze patrolne graniczne. Nie przyszkadzajcie im w żadnym wypadku. Odpowiadajcie natychmiast na każde zadanie identyfikacji lub informacji. - Fala nosna przestała brzęczeć

- Wygląda na to, że są nerwowi - rzekł Cochenour.

- Nie. Są przyzwyczajeni do naszej obecności. Po prostu nie mają nic do roboty i to wszystko.

Dorrie oderwała się z wahaniem

- Audée, powiedziales im, że wyjaśniles nam zakazy. Nic takiego sobie nie przypominam.

- Och, naprawdę wyjaśnilem. Trzymamy się na zewnątrz obszaru zakazanego, bo inaczej zaczęłby strzelać. I to jest Całe Prawo.

Kolejno pokazałem im wszystkie anomalie. Zamysłony Cochenour patrzył na nie w milczeniu. Dornie zapytała po chwili.

- Czy to znaczy, że wszystkie te tunele nie były badane?
- Nie. Chciałbym, aby tak było. Ale, po pierwsze, którykolwiek albo wszystkie mogły być wykorzystane przez kogoś, komu się nie chciało tego zaprzeczyć. Po drugie, to nie muszą być tunele. Mogą to być uskoki tektoniczne, albo dajki, albo rzeczki stopionej skały, która skądś wypłynęła, skamieniała i została przykryta inną warstwą przeszło miliard lat temu. Jedynie co wiemy na pewno to to, że w tym regionie nie ma żadnych niewyeksplorowanych tunelei z wyjątkiem tych ośmiu miejsc.

- Wierzę co robimy?
- Kłopoty. A wtedy zobaczymy co tu jest.
- Gdzie kopemy? - zapytał Cochenour.

Pokazałem palcem miejsce, tuż przy byszczacej delcie naszej kapsuły. - Dokładnie tutaj!

- Czy tu są największe szanse?
- No, niekoniecznie. - Zastanowiłem się co mu powiedzieć i doszedłem do wniosku, że najlepiej prawde... - Trzy wyglądają lepiej niż pozostałe. Zaraz je oznaczę. - Nachylnym klawiszem mapy i przy najbardziej obiecujących miejscach narychmiał ukazać się byszczace litery A, B i C. - A przebiega dokładnie pod naszym jarem, więc tu zaczniemy.

- Te trzy są najlepsze bo na jasniejsze?

Kiwane głową, trochę złytowany jego bystrością, chociaż sprawa była raczej oczywista

- Ale „C” jest najjaśniejsze ze wszystkich. Czemu tam nie zaczniemy?

Starannie dobierałem słowa.

- Ponieważ musiałbyśmy przenieść kapsułę. I dlatego, że leży tuż przy granicy środowiska obszaru, to znaczy, wyniki nie są tak godne zaufania jak te dotyczące leżącego tuż pod tamą. Ale i to jest najważniejsze. Najważniejsze jest, że „C” leży na skrajnej linii, od której nasi przyjaciele ze Svedawerri palcami każą nam trzymać się z daleka.

Cochenour zasmiał się z niedowierzaniem.

- Chcesz mi powiedzieć, że znalazłszy naprawdę niewyeksplorowany tunel Hicrich n.w. podejdziesz do niego tylko dlatego, że jakiś zdziwacz powiedział ci, że to jest he?

- Ten problem jeszcze nie powstał - odrzekłem. - Mam do obejrzenia śladem dowolnych anomalii. Ponadto wo skowit będą nas sprawdzać od czasu do czasu, a szczególnie jutro może też i ponownie.

- No dobrze - nalegał Cochenour - przypuszczam, że je sprawdzimy i nic nie znajdziemy. Co wtedy?

Porządkowałem głowę.

- Nigdy nie pchał palca między drzwi. Zbadajmy dozwolone.

- Ale przypuszczam.

- Do diabła! Boyce! Skąd ja mogę wiedzieć?

- Dal więc spokój, ale mrugnął do Dornie i parsknął śmiechem.

- No i co ci mówię? Z nas dwóch on jest większym bandytą.

Przez następne pare godzin niewiele mieliśmy okazji do rozmowy o teoretycznych możliwościach, bo zbyt nas pochłaniały konkretne fakty.

Najważniejszym z nich były potworne masy gorącego gazu o tuzej szybkości, któremu nie mogliśmy pozwolić, by nas zabił. Mój kombinazon żaroodporny był szyby na mare i wysłarczyło tylko sprężenie jego połączenia i zbiorniki Boyce i dziewczyna mieli wynajęte. Zapłacili za nie ogromną sumę. Były dobre, ale dobre nie znaczy jeszcze doskonale. Kazałem im wkładać je i zdejmować z użyciem rąk, spraw dając dopasowanie i zmieniając ciśnienie aż okazało się, że lepiej niż nie można. Gdy się spocierze po powierzchni Wenus, trzeba rhomic się od strasznie gorąca i cisnienia. Skafandry były z dwunasto-warstwowego laminatu, z dziewięcioma stopniami swobody na słotnych łączeniach. Były niezawodne i nie tym się martwiłem. Martwiłem się o wygodę, bo maleńkie swędzenie albo darcie może śląc się poważną sprawą, gdy nie ma sposobu by tego unikać.

Aż wreszcie były dość dobre, więc wcześniejszy się wszyscy do służby i wyszliśmy na powierzchnię Wenus.

Ciało jeszcze byliśmy po stronie odosłownej, ale w atmosferze jest tyle rozproszonego światła, że naprawdę ciemno jest nie dłużej niż przez czwartą część nocy. Kazałem im przeciwieć chodzenie wokół kapsuły porzucanie się pod wiatr, wiązanie się do kół i boku statku. Ja zaś przygotowywałem wyskoki.

W naszym miejscu na zewnątrz pierwsze błyskawiczne igloo, zaciągnąłem je na miejsce i zapaliłem. Zaraz się zaczęło się nadygnąć jak dziecina zabawka zwana węzami fardona, wytwarzając lekkie, odporne popioły, który rośl wokół przysięgłego wykopu aż połączył się w kopułę bez szwu. Ustawieniem przed tym na miejscu patrzył drążący i rekaw służący, w miarę jak popiół narastał, przesuwalem się, by uzyskać ściśle połączenie i już za pierwszym razem miałem bezbłędny szew.

Widząc jak macham ręką, Dornie i Cochenour trzymali się z dala, ale razem, przyglądając mi się przez helmy panoramyczne. Włączyłem radio.

- Chcecie wejść i ponaturzyć jak zaczynamy? - krzyknąłem.

Oboje pokrakiwali głowami we wnętrzu hełmów

Tu właśnie odkrzyknąłem i w pełnię do środka przez rekaw. Datem znak, by został otwarty gdy pojdą za mną.

Z nami trojęm i aparatura drążąca w igloo było jeszcze ciśnień niż w kapsule. Colnelli się pod potkoliste ściany tak daleko jak się dało, ja zaś włączyłem wiertnię, sprawdziłem czy stoją pionowo i patrzyłem, jak pierwsze odłamki wysypują się spiralnie z otworu.

Planowe igloo wiereć dzwinków pochłania niż odbija. Ale mimo to łoskot w jego wnętrzu był znacząco większy niż wygłos wiatru na zewnątrz. Gdy doszedłem do wniosku, że widzieli dość jak na początek, gestem kazałem im wypełznąć przez rekaw, wdrapałem się za nimi, zamknąłem za nami służę i poprowadziłem ich z powrotem do kapsuły.

- Jak dotąd w porządku - powiedziałem, odkręcając hełm i rozluźniając skafander. - Myślę, że mamy jakieś czterdziestki metrów do przewiercenia. Równie dobrze możemy poczekać tu jak lam.

- Ile potrzeba na to czasu?

- Z kółka Mozerie robic, to wam się podobą, ja wezmę prysznic. A później zobaczymy, dokąd dotarzymy.

Jedną z mych stron tego, że na pokładzie przebywały tylko trzy osoby było, że nie musieliśmy ograniczać zużycia wody. Zadrzewiające, jak szybki natrysk ożywia po wyjściu z żaroodpornego skafandra. Gdy skonczyłem, byłem gołym na wszystko.

Byłem nawet gołym zresztą co ze smaczoskowich potraw Boyce Cochenoura, ale na szczęście nie było to konieczne. Gotowanie przejecha dziewczyna i to co podoba było proste, lekkostrawne i w miarę miętne jace. Na jej kuchni być może zdołam wyżyć ra tyle długo, by odebrać moje honorarium. Na chwilę przedtem mi przez głowę pytanie dlaczego to robiła, następnie pomyślałem, że oczywiście ma sporą praktykę. Ze wszystkimi przesłami zażenowanym Cochenour bez wątpienia miał znacznie gorsze problemy z dietą niż ja.

No, może nie dosłownie „gorsze”, nie przypuszczam, by z ich powodu był tak bliski śmierci jak ja.

*

Według sond aulosonatorowych, najwyższy punkt tunełu, który oznaczyłem jako „A” czy to, co tam było podobnego do tunełu z punktu widzenia ich fal uderzeniowych, znajdował się blisko ślepej dolinki, w której zakotwiczyłem.

Szczesliwie się złożyło. Mogło to oznaczać z dużym prawdopodobieństwem, że jesteśmy blisko wejścia zbudowanego przez samych Hicrich.

Powód, dla którego to było szczęśliwym wydarzeniem nie wynikał z tego, abyśmy byli w stanie skorzystać z niego w taki sposób jak to robił Hicrich. Małe były szanse, by jego mechanizm działał po czterech milionach lat, wystawiony po większej części na wiatry powierzchniowe, abiację i korozję chemiczną. Dobra natomiast stroną było to, że w tym miejscu będzie względnie łatwo dowiedzieć się do niego. Nawet w ciągu czterech milionów lat nie wytworzą się skała naprawdę twarda, szczególnie przy braku wody powierzchniowej, rozpuszczającej ciała stałe i wytwarzającej zwarte osady.

POŻERACZ SZAROŚCI

Praca nadesłana na konkurs „Fantastyki”

Dąb przez setki lat skutecznie odpierał ataki trzęsawiska. Nieustępliwe pędy korzeni przebiły się przez metry wrzętego szlamu i mocno wrzepły się w stałe podłoże. Soki wolne od trucizny błot poczęły krążyć w potężnych konarach, wybuchając rokrocznie gestym listowiem. Lecz bagno nie rezygnowało. Przywoływało na pomoc wiatr, pioruny i czar. Najokrutniejszego wroga. Niezwykłe drzewo zostało w końcu powalone.

Stało się to przed wieloma laty, mimo to fragmenty konarów wystawały jeszcze ponad maź. Sprochniałe ciało drzewa służyło teraz młodym roślinom, budującym na tej pożywiec nową wielkość. Ale ptaki nie wily już gniazd na pniu drzewa; tylko czasem, zmęczone lotem, przysiadły na odpoczynek. Jeszcze rzadziej pomarszczoną kore gładziła reka człowieka.

Lecz tego wieczoru umierające drzewo przypominało sobie czasy świetności: na starym pniu przysiadła bowiem młoda dziewczyna, zmęczona uciążliwą wędrówką przez bezdroża. Cały czas, wpięty idąc, a teraz odpoczywając, wpatrzona w drżącą czerwienią tarczę słońca, nie zdawała sobie nawet sprawy, dokąd zawiodły ją ścieżki zadumy. Trwała w bezruchu długie minuty, a potem rzuciła z nóg sandały i przytuliła głowę do kory, oplatając pnie. Tak zasnęła.

Drzewo było szczęśliwe.

A w prasmach mgły opadających na morzycz, ziała się gęsta noc. Słońce nie mogło już dłużej zniekać ogarniętego szlamu. Niepokornym spojrzaniem sylwetki dziewczyny, na pożegnanie zamigotało w jej włosach i umknęło na horyzont. A wtedy pozbawione poporwu czarne sklepienie niebios spadło na bagno, przewracając kruche ciało. Noc zakreśliła swe nici wokół każdego kęsa, wokół pojedynczych źdźbeł trawy. Wgrzywała się pazurami, walczyła, uwalniając rhyborzące się zimne płomki złudne szmerze mroku. Zastawiwszy wszystkie siły, nie udało się. Słońce na swoim stanowisku nie dawało łowy. Po chwili cisza wygładziła wszelkie zmarszczki i pułapka cierpliwie czekała na nieświadomą ofiarę.

Strwożony dąb zrosił się kropelkami potu. Drzewo prosiło dziewczynę, aby pozostała we śnie do rana, nieświadoma groźby czającej się w mroku. Bo gdy słońce przegoni noc, dziewczyna będzie uratowana.

Bagno przejrzało plany drzewa. Zahamowało z wściekłości, zapłonęło ogniem nienawiści, nie zamierzając wypuścić ofiary.

Ocknęła się dziewczyna. Wyczuła wilgoć pod palcami i chłód oparów otaczającego mroku. Ogarnął ją strach. Zerwała się do ucieczki, nie wiedząc jeszcze o najgorszym: stopy zagłębiły się w maź. Macki bagien pochwyciły je zachłannie. Dziewczyna upadła na kolana, w ostatniej chwili obejmując ramionami przyjazny konar.

Walka toczyła się ponad nią. Wypreżył się konar, wyrrywając bagno łatwą zdobycz – bagno nie chciało ustąpić. Dąb i trzęsawisko mocowały się w zawziętym milczeniu, tak jakby nie walczyły o bezwładne ciało, lecz o swe istnienie. Ożyły namietności ich prastarej bitwy; ocknęły się zasychające soki drzewa i ponownie zaczęły żywo krążyć, przydając konarowi siły i gętkości. Bagno przywołało na pomoc chłodne prądy, paralizujące przepływ żywiołowych płynów.

Aż echa walki dotarły do Norana. Zaniepokojony porzucił bezpieczne legowisko i szybko wypłynął ku powierzchni bagna, lecz ponad ton wysunął tylko oczy i nozdrza.

Wynik walki był już przesądzony. Ujrzał zanurzoną po pas dziewczynę, dostrzegł zdrgnięte palce nieubłagane suwające

się po śliskiej korze. Nie było ratunku dla topielicy. Siłą poskakiwanych, długich włosów, rozłożonych na powierzchni pozostawiającej jeszcze przez kilka minut śladem tragedii, lecz i one nieuchronnie pogrążyła się w szlamie.

Dziewczyna po raz ostatni spróbowała wyzwolić się z pułapki. Elastyczna maź bez trudu wchłonęła energię tej próby i w rezultacie dionie zadrzęptała bezradnie, zesliznęła się z konaru i zapadła w bagno. Terraz nastąpiła seria wściekłych szarpnięć: uderzeń ramionami o ton, wyrzutów we wszystkie strony głową. Po kilkunastu sekundach powróciła cisza.

Ostatnią poryczką obróciła dziewczynę bokiem do Norana. Zo baczyl jej profil: odchyloną do tyłu głowę, jakby wpatrzoną w czerń nieba, z krawędzią błot sięgającą podbródka. I naraz przeciągły jęk – pełen protestu, zduszonego bolem i tęsknotą. Trwał on póki maź bagna nie wypełniła usi.

W nim jednak wibrował nadal.

Zanurkował. Podpłynął pod bosc stopy i naparł na nie grzbietem, wypychając dziewczynę na powierzchnię. A później jeszcze wyżej, aż ta, niczego nie pojmując, krztusząc się, dygotała z zimna i strachu, nie wzięła się odruchowo w konar drzewa.

Ponownie dał nurka i wynurzył się z drugiej strony drzewa, tuż przy pniu, aby go nie zauważyła. Odczekał dopóki nie ucichły szumy szłochu i przemówił.

– Już nie cię nie grozi. „Arianne” Pozostanę przy tobie do rana, kiedy będziesz mogła bezpiecznie odejść.

Kim jesteś? Dlaczego nie widzisz? Skąd znasz moje imię? Drzewo znowu nie miało siły, by się rozepnąć. Przypadła tylko mroźna do niego, a przy powtórzeniu pocieki po ubrudzonej łwarze.

Odpowiedź nadeszła po dłuższej pauzie. W głosie zabrzmiały nuty smutku i gorczy.

– Schowadłem się. Boję się, że gdy mnie ujrzyysz, wystraszysz się i uciekniesz. Znowu użyjęz nierozważny krok i wciągną cię błota. Nie chce tego. Polubiłem cię. Mogłbym unieść twoje stopy nad tonią bagien, lecz gdybyś zaczęła krzyczeć, porzuliłbym się samotny i przestębył cię lubić.

– Jak kłóys. Och proszę!

– Nie! Jeśli mi to tak długi. Lubie bagno, ponieważ daje mi schronienie. Lubie drzewo, na którym siedzisz, ale ono umiera. Nie mogłbym ci uczynić nic złego. Takie zakopany w mule i tęsknie do życia. Ty, jesteś żywym!

– Jak ci się odwdzięczyć? – zapytała.

– Przyszedł tuja samotna. Czuje twój smutek. Pozwól, bym odciął twego czoła, a być może wyleczę cię z trosk.

– To niemożliwe! – Arianne usmęchnęła się. Nieodbałym ruchem orknuła sklejoną kosmyk włosów spadający na oczy. A poza tym, to ja chcę ci pomóc.

– To by mi pomogło. – barwa głosu Norana, pełna zawodu i lekkiego rozdrażnienia, zatrwożyła Arianne. – Mówiłem ci – jestem samotny.

Zaraz potem usłyszała chłopot i w następnych minutach ciszy zrozumiała co oznacza samotność. Wyzwolony strach podsuwał wyobraźni napokropniczące obrazy. Słyszała duszny oddech bagna, sapiącego z emocji i pożądania, czuła jak konar drzewa zapada się w bagno albo też to bagno się unosi, aby ją pochwycić. Wdziła bliski tysięcznych oczu, gdy obserwowały jej skulona postać. Pragnęła, by głos powrócił i bała się go przywołać.

I zaraz wszystko się uspokoiło. Nie opuścił jej. Powrócił. Wciąż go nie widziała, ale była pewna, że jest obok. Nie myliła się.

Przemyslałem to. Nie mogę rzekokulwiek od ciebie orzekować. Pomogę ci.

Ależ na! Zawołała energicznie. – Weleń się ciebie nie boję

Też chciałabym ci pomóc... Gdy jesteś przy mnie, czuję się bezpieczna. Naprawdę.

Mówiąc to rozglądała się dyskretnie, mając nadzieję, że jednak go dostrzeże.

- Nie trudź się. Ujrzysz mnie dopiero wtedy, kiedy ja będę chciała.

- To znaczy, że się mi pokażesz! - krzyknęła z nadzieją.

Być może... Lecz na pewno nie dzisiaj, i nie jutro. Wolałbym w ogóle... Żebyś znała jedynie mój głos

- A jak mam na ciebie wołać?

Przepraszam... Możesz mnie nazywać Noran

- Moje już znasz... Arianna.

Usiadła swobodniej na pniu, podkurczyła nogi, a głowę złożyła na kolanach. Kusa, rozdarta sukienka odsłoniła uda, piękną linię nóg. Od powierzchni bagien ciągnął chłód, lecz nie czuła zimna. Zapatrzyła się w gwiazdy, zamysliła.

- Opowiedz mi o sobie.

Noran odezwał się tuż za nią. Chciała się obejrzeć, lecz coś ją powstrzymało.

Gdy miałam kilkanaście lat, często budziłam się w nocy. Jednakże w odróżnieniu od innych dzieci, w ciemności nie płakałam cichutko, lecz wymyślałam się z posłania i kucając przy wyśpiu, odsłaniając na kilka centymetrów zasłone, patrzyłam w ogniki na niebie. Były jedynymi moimi przyjaciółmi, mogłam rozmawiać z nimi przez wiele godzin, a one wciąż zachęcająco mrugały do mnie. Płakałam, gdy ktoś umierał...

- Rozumiem.

- Nigdy nie czułam się dobrze pośród swoich. Nie znajdowałam w nich wspólnych uczuć. Aż zjawił się wśród nas mężczyzna, którego pokochałam od pierwszej chwili. Był obcym i nasze uczucie nie miało przyszłości. Lecz jednocześnie było cudowne. Wierzyłam wtedy, że razem możemy skruszyć zewnętrzne skorupy nawyków, przełamać opór tradycji. Nie dano nam nawet szansy, by miłość rozlała się w nas, wzmocniła... Przed trzema laty, niedaleko tego bagna, to się stało... Zaskoczyli nas o świcie, zdecydowani rozdzielić nas - zabić go! Do ostatnich chwil obserwowałam walkę. Oni byli silniejsi, gdyż w nich była tylko miena wiść. W nas miłość. Nie wyrzykałam, chrząknęłam, dodałam mu otuchy, krzyknęłam. Na niespodziewanie usłyszałam mój, zatrzymał się. Jakże tego żałowałam. Ta chwila zaważania wystarczyła, by przyskończył do niego, wzniesł ramiona do ciosów, zabił go... Co prawda mgła uwolniła mnie od obrazu jego śmierci, lecz od tej chwili senne majaki towarzyszą mi nieustannie... Zginął przez moją słabość...

Wzdech płaczu przerwał opowieść. Łzy ciekły po jej policzkach.

- Chciałabym coś jeszcze powiedzieć?

Przydusiła pięści do oczu, aż żar szłochu słopniowo wygasł. Przelatła ostatnie łzy.

- Długo szanowano mój ból, lecz coraz jawniej dają mi do zrozumienia, że jestem wyszła za innego. Znam go. Gdy byliśmy dziećmi, przeganiałam go pięściami. Ileż razy go siliłam! Teraz to nie pomoże - jest przebiegły. Ze mną nawet nie rozmawia, tylko wciąż przynosi nowe podarunki rodzicom. Chce, aby oni zamusili mnie do małżeństwa.

Zamilkła. Noran długo nie przerywał milczenia.

- Nie potrafię przywrócić życia osobie, którą kochałam. Nie potrafię także przeszkodzić w przynusowaniu konkurencji. Lecz mogę cię zaprowadzić do gwiazd, wrócić z tobą do tej, gdy byś była zeszła.

Naprawdę? Uczyń to!

- Chcesz tego? Z początku dotyk nago ciała będzie nieprzyjemny.

- Uczyń to!

Po chwili na skroniach poczuła delikatne dotknięcie mroźnych, osztygłych łapek. Mimowolnie wzdrgnęła się, lecz zamrugała powoli i spokojnie czekała. Naraz w jej ciele wśliznęła się gorąco, uczuła ogarniająca drelwotę; przestraszyła się, że grzeje, ale zaraz zapomniała o wszystkim. Zapomniała, że siedzi na siskim konarze, posród chłodnych bagien, a za jej plecami czai się nieznani siłownicy.

Miała znowu kilkanaście lat i po omacku, poprzez nogi rodziców, skradła się do zasłony. Ułożyła się na ziemi, uchwyciła róg tkaniny i chciwie przytknęła oko do szpary.

Natychmiast nową ją miliardy gwiazd. Zamigotały z zadowolenia i zaczęły równocześnie opowiadać o tym, co wydarzyło się od czasu ostatniego spotkania. Pozwoliła im na tę chwilę beztroskiej paplaniny, wyczuwając się w tym czasie z szalasu. I dopiero gdy odbiegła na kilka kroków, uciszyła gwiazdy, zapowiadając, że dzisiaj je odwiedzi. Ale gwiazdy chciały znać Ariannę.

od dawna; nie chciały jej uwierzyć. Wciąż głośno gadały, jedna przez drugą. Dziewczynka ze złością tupnęła.

Dlaczego mi nie wierzycie?!

- Och, przestań. Znamy się tak długo i nigdy nie kłamalas. Zapomnij o tym... - skarciła ją rozgorączkowana Suka.

Lubimy cię taką, jaką jesteś. To nic, że nie możesz być bliżej nas. My i tak zawsze będziemy przychodzić do ciebie - dodała ugodowo Sirrah.

Jesień z was najstarsza, lecz jeszcze nigdy nie widziałam małych dziewczynek, które by wyściubiły choć kawałek nosa poza planetę. To niemożliwe! - ucknęła się z drzemki leciwa Mirrah, przecinając dalszą dyskusję.

- A ja i tak polecę! Arianna tupnęła drugą nogą i nim gwiazdy zdążyły się ponownie odezwąć, poszybowała ku nim.

Łechtwa wysunęła się poza rąb Ziemi, ze zdumienia aż potknęła się o Słońce, wypadając na chwilę z orbity. Moment nieuwagi wykorzystali gejezy ognia, błyskawicznie rozpraszając się w przestrzeni. Jeden nawet popędził na spotkanie z Arianną; gdyby doleciał mógłby ją poparzyć, lecz na szczęście wygasł w drodze. Słońce szybko porchwyciło w swe objęcia pozostałych uciekinierów i tylko z rozdziawionymi ustami patrzyło na mknącą dziewczynkę. Arianna pomachała ręką i pomknęła dalej.

Gwiazdy były równie zaskokowane jak Słońce. Jednakże droga do nich była dłuższa, nim zdążyła zbliżyć się do pierwszej, już oswoiły się z myślą, że odwiedziny są możliwe. Teraz gwiazdy prosiły, aby do każdej przyleciała. Było ich tak wiele, że Arianna zamieniała jedynie kilka słów i już przędziła do następnej. Ale i tak nie wiadomo jak długo by to trwało, gdyby nie ostrzeżenie. Dziewczynka miała jeszcze dość sił i chciała być nadal z nimi, ale gwiazdy stanowczo nalegały, aby schowała się na bezpiecznej Ziemi, gdyż jedna z nich ciężko zachorowała i za chwilę wybuchnie. A wtedy momentalnie pokłonie przestrzeń i nawet gdyby tego nie chciała - także Ariannę.

Pospieszyła więc jak najprędzej do szalasu, a gdy była w drodze powrotnej, gwiazdy dziękowały jej za wizytę.

Bezwład ustepował wolno. Gdy jeszcze nie mogła się poruszyć, usłyszała jak Noran zeslizguje się z pnia i chowa w bagnie. W końcu mogła mówić.

- Dziękuję ci. To było niezapomniane. Wiesz, one są samotne - tak jak ty... czy ja.

Czucie ciała powróciło już całkowicie. I wtedy zlekka się, grzyżąc w głowie rozszalał się piekielny huragan, a w ręce i nogi wgrzyzły się tysięczne zasłepy zabójczych mrówek.

- Przyjdiesz jeszcze? - zapytał niepewnie Noran.

Chwile trwało nim na tyle opanowała ból, iż mogła mu odpowiedzieć bez drżenia w głosie.

- Przyjdziesz.

Będzie czekał. Teraz powinnas już wrócić. Przeprowadzę cię.

Tak.

Zstaw stopy. Przeniosę cię na grzbiecie. Ty tylko utrzymuj równowagę.

Arianna przestraszyła się, lecz zaraz zrozumiała, że to jedyna szansa powrotu. Noran jakby nie doszł do końca wywłaszczenia, a ona bała się do tego przystać.

Wysunęła bosa stopę, aż poczuła opór mackowego ciała. W tej samej chwili poczuła też niepojętą drelwotę. Usłyszała szuranie i naraz stawała się. Siłami postawiła drugą stopę i odepchnęła się od pnia. Gdy ruszała, lekko ocknęła się do ośmiu. Noran posuwał się tak lekko, że zdążyła nie w drugą stronę, tylko bagien, że zbladła, że słońce w niej stało. Nastąpiło powtarzanie szary. Zrozumiała, że się zatrzymała.

- Możesz już skończyć w trawie, jest ci ciepło.

Skończyła i przysiadła z ułaski. Na nie uderzyła i uderza kłakotnia, wciągnęła głęboko tętno powietrza, ostatni mrok odpadł z jej ciała. Naraz przypomniała sobie Norana. Odwróciła się.

- Jesteś jeszcze?

- Tak.

- Dziękuję ci... Przyjdę. Na pewno!

Do zobaczenia, Arianno.

Do jutra, Noran.

Zakołowało się bagno. Przez chwilę naskuchiwała, czy wyjdzie się w innym miejscu. Bezskutecznie.

Do osady zdążyła dotrzeć jeszcze przed świtem. W konsekwencji deszczówka opłukała twarz i nogi. Wśliznęła się do szalasu i delikatnie ułożyła obok rozpalonego ciała siostry. Tu mruknęła tylko przez sen i objęła ją ciepłym ramieniem.

Zanim zasnęła, wsłuchiwała się w szwiszące oddechy sparych. W sercu zapadła z rozpoznaną twarzą.



Lepsze niż
CZŁOWIEK...

stawa! Czy już się zasnawiasz?

Natychmiast głos matki wdzierał się w sen, silna dłoń szarpnęła ramię roztrząsała wizję. Zrezygnowana Arianna odwróciła się w jej stronę. Nie wiedziała co odpowiedzieć.

- O Boże! Jak ty wyglądasz?! Pokaż się w świetle.

Odcien autentycznego niepokoju w głosie matki sprawił, że szybko wstała i wyszła za nią na zewnątrz. Matka zaczęła uważnie badać każdy cal jej ciała.

Zagubiłam się na bagnach... prosiła ją uspokoić, lecz matka odgarnawszy włosy spytała stanowczo:

A la blizna? I z tej strony?

Arianna pochylała się nad lustrem wody w korycie. Po obu stronach skroni widniały sine plamki, nie większe od orzechów łaskowego. Pojedała skąd te krwawe ślady, lecz nie mogła nic powiedzieć.

- Widocznie się uderzyłam... - skłamała, siłując się na beztroski ton.

Matka tylko fuknęła z irytacją. Nie zdążyła jednak przystąpić do dłuższej tyrady, gdyż zobaczyła zbliżającą się sasiadkę. Odepchnęła córkę w stronę szalasu, szeptała złowieszczo.

Idź się porządnie wyszorować. Porozmawiamy potem!

Arianna z radością pochwyciła przybory do mycia i szybko pobiegła nad rzekę.

W egiel drzewny pekał w palcach, gdy szorstkimi ruchami wcierała go w sztywną skórę. Jeżeli nagromadzone odłamki przesłaniały rysunek, energicznie zdmuchiwała je lub potrzasała ramą i nie zmieniając tempa pracowała dalej.

Nagle nad ramą zawisł cień. Arianna błyskawicznie nakryła ciałem rysunek przed wzrokiem bezszelestnego intruza.

- Pokaż, co tam masz!

Z młodszą o sześć lat siostrą nie można było dyskutować. Zawsze bez żenady slegała po to, czego zapragnęła. Jej pulchne, lecz chciwe palce, już szarpały róg ramy. Pomimo niechęci Arianna ustąpiła, z zaciekawieniem spoglądając na reakcje pierwszego widza.

Siostra rzuciła tylko okiem na rysunek i z grymasem pogardy cisnęła ramę w piasek.

- Coz to za przedziwny stwor?! Okropny! Taką skórę zepsuc!

Arianna pokornie podniosła ramę i ostrożnie zaczęła wytrzeć ziarenka piasku.

To można zetrzeć...

- Zetrzeć?! Zetrzeć?! - przedrzeźniała ją. - To tata „zetrze” ci łyteki! Bądź pewna, że dokładnie.

Siłując się na spokój wydmuchiwała ostatnie ziarenka. Jedynie całkowita bierność mogła zniechęcić siostrzyczkę do dalszych uszczypawości.

A zresztą... możesz sobie hazardzić... - siostra niespodziewanie zmieniła ton. Zapewne chowała coś w zanadrzu. Arianna jeszcze mocniej pochylała głowę, udając, że nic ją to nie interesuje. - Już za tydzień będzie cie karcił mąż! Tylko kilka dni zostało ci na głupie zabawy.

- Skąd o tym wiesz?

Mhmm... Siostra wydeła policzki. Arianna w duchu przeklinała brak opanowania: teraz zarówno się cały cyrk. Lecz tym razem siostra zaprzestała starych sztuczek. Niespodziewanie zaplona gniewem, wyrzucając zjadliwie: Przez ciebie smieją się, że mnie wszystkie dziewczyny! Od roku powinnam mieć już męża, nie ten twój upór... Powierziałam to wczoraj tacie i obierał mi, że bez względu na twoje forsy, ślub odbejdzie się za tydzień! A potem mój... - dala rozmarzonym głosem okrucieństwo: ciało na piecie nieczym baletka. Potem zaczęła się śmiać. - Do brze ci tak!

- Ty... Ariannie zabrakło słów. Podcierała się z ziemi i rozciąpała ramę na głowę siostry. Ta przez chwilę stała bezruchem i bez ruchu, lecz zaraz potem wybuchła takim szlochem, że aż pląki zerwały się z drzew, uciekając od powstałej wzwawy. Arianna pognęła za nim, była dalej od siostry.

T ak długo przypatrywała się pracy wyplatacza koszyków, aż bez posadzenia o brak taktu mogła zacząć rozmowę. Bo chociaż jego zajęcie zawsze fascynowało Ariannę, to teraz śledziła jego ruchy w rozlęgnięciu. Pytania były silniejsze.

- Wiesz dziadku, poznaliśmy kogoś dziwnego.

Tak...? - Zgrabiałe palce nie przestały zreciznie przekładać podów wikliny. A gdzie?

Daleko... Daleko od polnocego wzgórza... skłamała Onoga?

Nie wiem. Słyszałam tylko głos.

Uważaj! Starzec zamilkł, sygnał po nim, że widać, że...

rzal na nią przenikliwe. - Uważaj, kimkolwiek ta istota jest człowiekiem czy szatanem. Złe by się stało dla osady, gdyby porwał cię w swoje szpony.

Czy ja wiem... Dlaczego dziewczyna kończąc osiemnastkę lat musi wejść do namiotu męża? I dlaczego w pierw narzeczony ma obowiązek złożyć posag u stop swej wybranki? A czyż dzieci nie mogą się bawić nawet o dzień dłużej niż równiutko osiem lat? Czyż zaraz następnego dnia po tych urodzinach muszą stanąć do pracy przy boku rodzica? Każda nasza czynność musi być wykonana dokładnie w oznaczonym czasie. Ani dzień wcześniej, ani dzień później. Dlaczego?

Nadal go kochasz?

- Chyba nawet nie... Rzecz w czym innym... - Speszyla się jeszcze raz spojrzęła na jego powykrecane ze starości palce.

Dlaczego dopiero teraz, kiedy już ci się brakuje, pozwolono ci wyplatać tak piękne kosze. Kosze, które każdy chce mieć w swoim domostwie? Czyż nie żal ci tych lat straconych i tych koszy nie wyplecionych?

- ...I dlaczego tobie nie wolno malować? Tak? Zasmiał się.

Nie... A właściwie - tak! Temu, czego rzeczywiście pragnie, możemy oddać kilka pierwszych lat życia, jeszcze niesmiatych i nierozważnych; oraz kilka ostatnich, już zgorzkniałych i niegłębłych. Dlaczego tak jest?

- Bo to jest dobre. Tak chciał Bóg. Jeżeli na starość mamy jeszcze tyle sił, że możemy innym uharwić życie - to dobrze. Ale jeżeli brakuje nam sił lub zdolności - to też dobrze, gdyż to co mieliśmy zrobić, już wykonaliśmy... - Starzec odsunął skończony kosz i sięgnął po cybuch i kopec. Gdy aromat fajki rozwił się wokół nich, mówił dalej: Nie stworzono nas po to, abyśmy ulegali ulotnym zachciankom. Przez całe życie przygotowujemy się na spotkanie z Nim. Dążymy ku Niemu drogą oczyszczoną przez przodków z ostrych kamieni, o które mogliśmy się skałeczyć. Gdybyśmy chcieli podążać własnymi ścieżkami, obraziłibyśmy pamięć przodków - oni swe życie poświęcili, by nam było łatwiej. Powinnoś zaufać tym, którzy cię wybawili; cieszyć się szczęściem, jakie ci podarowali. A jeżeli czasem jest ci ciężko, trudno ci odnaleźć wiarę - to pomyśl o brzemieniu, jakie oni dźwigali i o tym jak cienka granica dzieli nas od zła. Ono wciąż czeka na chwilę naszej słabości, wyszukuje najsłabsze ogniwo, aby się przedrzeć i rozpaść wśród nas wszystkich. Już raz omamiono cię fałszywym blaskiem. Nie daj się zwieść po raz drugi! Odegnaj nierozważne myśli od siebie, zaufaj przodkom. Oni wywiedli nasz szczepek z siedliska zepsucia, jakim była Ziemia; odnaleźli i podarowali to oase zagubienia i pokory, byśmy nie dosiadali tego, co było ich udziałem. Urodziłaś się już tutaj i nie znasz prawdziwego oblicza zła. Lecz czyż nie jest dowodem, że droga jaką nam wskazywali jest słuszna, skoro Ziemia umarła w popiele, a my żyjemy pośród rozbujałej przyrody? Czy to...!

Starzec urwał. Niewiele z jego słów dotarło do dziewczyny. Sprobał z innej strony.

- Jak byś się czuła, gdyby słońce świeciło w nocy, a gwiazdy w dzień?

Arianna rozestmiała się.

Ależ to to samo. Tyle że odwrotnie.

- Nie! Odkąd Bóg stworzył świat, noc jest porą odpoczynku, a dzień czasem pracy. Wyobraź sobie, że budzisz się rano, chcesz wstać w polu - a tu ciemno... Na Ziemi...

Arianna tylko cichutko westchnęła i udawała, że pilnie słucha.

T o dziwne, ale była się, idąc przez gęstą i mroźną las na drugie spotkanie z Noranem. Wiedziała, że gdy przejdzie przez ciemne krzewy, wyjdzie na polanie i usłyszy jego głos. Icki odpłynął. W tej chwili jednak trwożliwie ogłuszyła się za siebie, a gdy trzasnęła gałązka pod jej stopą, odskoczyła i błądziła w ciemności. A potem w twarz zaplały woda się najcięższe wyobrażenia. Właśnie wtedy rekonia. A potem... że nie wiedziała, czego się bała, czy groźny jak nagła śmierć, czy coś innego, czy też budzący się na oczach jej, czy też coś innego, czy też... ale nieznanej.

Z olbrzymią siłą pchnęła ostatnią gałąź, która z drapieżnym chęcią wzięła na swoje miejsce. Kulka usnęła nie powołując na siebie, przyleciała już...

Hej! zawołała, przykładając dłoń do...

Tadeusz MESZKO

Ur. 4 X 1957 r. w Stawnie. W 1984 r. ukończył Wydział Radio i Telewizji (kierunek operatorski) Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Debiut fantastyki w tym samym roku na łamach "Przeglądu Technicznego" opowiadaniem „Mozg pełen myśli”. Pracuje w opoleckim Teatrze im. Jana Kochanowskiego jako fotograf.

Noran nie odpowiedział od razu. Wpierw usłyszała stłumiony chłopot gdzieś w środku bagien, a po denerwującej pauzie następny, tym razem szalenie ostry, tuż u stóp.

Witam cie, Arianno. Był to najdłuższy dzień w moim życiu... - głos emanował radością, lecz pod tą donosniejszą tonacją Arianna wyłowiła drobniutkie rysy, jakby poczucia winy. - Balem się, że nie wrócisz.

Pomyślała, że to odpowiednia chwila, aby rozproszyć wątpliwości

- Zabronili mi tutaj przychodzić.

- Tutaj?! - przerwał jej przerażony. - Powiedziałaś gdzie?

- Nie... nie powiedziałam. Zabronili mi wychodzić poza obręb osady... - zaplatała się w tłumaczeniu; przerwała, poszukując słów przed wypowiedzeniem najważniejszego. Nieśmiało zaczęła. - Zostawiasz ślady na moim ciecie...

Wtedy zrozumiała, że wcale tego nie chciała powiedzieć. Ale to się stało

Wiem... mówił tak cicho, że ledwie go słyszała. - Inaczej nie potrafię

Usłyszała jak błota wolno zasklepiają się nad nim. Zanurzył się. Odszedł

- Nie martw się. To nic. Nieważne - przepraszała, wyjaśniała, prosiła - Nic nie może zmienić mego posłanowienia. Dajesz mi coś więcej?

Ukłęka Puchylając się nad czarną mazią, zagłębiała w niej dłonie, chcąc go pochwycić i powstrzymać przed odejściem. Nie udało się. Dłonie wyciskały tylko szlam. Przysiadła na pietach, z pustką w głowie.

Zza chmur wyrzła równie pusty księżyc. Patrzyła w jego marmur, zimną i nieczułą

Wreszcie usłyszała Norana.

- Lecz to będzie narastać. Im więcej odkryje przed tobą, tym większy będzie ból.

- Chcę tego.

- To, co ci proponuje jest jak narkotyk. Wpierw jest przyjemnością - później staje się koniecznością. Nie będzie odwrotu. Z tej ścieżki nie można zwrócić, lecz i nie można być pewnym, że doprowadzi do celu... Przynosi jedynie cierpienie, niepewność i strach

- Już mnie na nią wprowadzisz. Chcę iść dalej.

- Wszyscy odwrócą się od ciebie. Będą cię wysmiewać, potem zaczną płuć na ciebie, aż cię zabiją. Będiesz zawsze sama.

- Będę z tobą...

- To prawda. Jesteśmy sobie potrzebni. Ja bez ciebie zgusnąłbym całkowicie w tym bagnie. Już zacząłem. Ty, Arianno, pobudziłaś mego ducha. Gdybyś teraz odeszła, zakopałbym się jeszcze głębiej

- Ty też... Tak jak promienie słoneczne rozchylają płatki kwiatu po nocy, tak ty rozwarłeś mój umysł.

Wstała, czekając aż Noran podpłynie pod jej stopy. Gdy wyczuła, że jest już przy niej i czeka, aż wejdzie na jego grzbiet, powiedziała jeszcze:

- Wczoraj odkryłeś przede mną to, co zawsze było moim marzeniem. Lecz rozumiem, że to jedynie zabawa. Zachęta. Chcę, abyś dziś pomógł mi zrozumieć, czym naprawdę są gwiazdy na niebie.

- Zrobisz to! Przekażę ci wszystko co wiem, ale chociaż wiem wiele i przede mną są liczne pytania. Gdy znuerzymy się z nim w dwoje - może na dalsze znajdziemy odpowiedź.

- Wierzę, że to możliwe!

Poswiała księżycowa wydobywała z mroku sylwetkę sunącą po bagnie dziewczyny. Z uniesioną głową, patrząc śmiało przed siebie, nie zważając na złośliwe jezory błędnych ogników.

Ostrożnie, kontrolując każdy ruch oraz przytrzymując oddech, Arianna opadła na plecy. Nie wyzwoliła się jednak od bólu. Gdy plecy zetknęły się z puszystym posłaniem ze skór, poczuła to jak gwałtowny upadek na potłuczone szkło. Odpryski wczepiły się w ciało, raniąc jeszcze przez wiele minut, dopóki niby pijawki nasycone krwią same nie odpadły. Po chwili, gdy przewróciła się na bok, ten protestował falami gorąca i chłodu, wprawiając w drżenie całe ciało

Czekała aż ból wycisnie. Ciche głosy dochodziły przez cienką ściankę szalasu. To ojciec rozmawiał z kilkuletnim bratem. Arianna wyciągnęła dłoń i rozchyliła minimalnie skóry, aby ich obserwować

- Musisz jej pilnować przez cały czas. Śledź ją! Zwłaszcza, gdy zbliża się wieczór. I gdybyś tylko zauważył, że chce odejść, masz ją powstrzymać lub zawołać mnie! Rozumiesz? - perswadował ojciec

- Ale ona cuchnie... Braciszek się skrzywił. - Ona jest taka stara i się nie myje, a ja muszę codziennie! - Przy okazji próbował coś wytargować.

To nie od niemocy... - westchnął ojciec. - To od tych ran na głowie. Zbiera się w nich ropa.

- Widziałem! - odpowiadał triumfalnie chłopiec. - Tam się ruszają takie małe białe robaczki!

Nie ma żadnych robaków! - krzyknął ojciec, istota powstrzymując się przed uderzeniem syna. Małec przestraszył się i nagle znowu zaczął wyjaśniać.

- Ale to siostra widziała... Tak mówiła... - Urażony ściągnął brwi i wbił w ziemię mściwy wzrok. Jednak gdy zobaczył, że ojciec się uspokoił i zaczął gładzić go po włosach, z nową nadzieją spojrzał w jego zatroskaną twarz. - Jestem jeszcze za mały, aby pracować. Kiedy będę się bawił?

- To nie praca. Arianna jest chora i będziesz się nią opiekował.

- Ale powinienem się bawić. Już mi tak mało czasu do zabawy zostało...

- ...Dobrze. W nagrodę zrobie ci nową zabawkę.

- Taką, jaką będę chciał? - Małec przyskoczył do ojca i zaczął wykrzykiwać nazwy wszystkich zabawek, jakie widział u rówieśników.

Ból wzrastał. Arianna musiała ponownie obrócić się na bok, który zdążył odpocząć. Zaczepiła powietrze i rozpoczęła obrót

Wciąż spoglądała za siebie, sprawdzając czy fortel, dzięki któremu wyzwoliła się spod natrętywnej opieki brata, powiodł się i czy przypadkiem teraz jej nie śledzi, aby później donieść ojcu, gdzie chodziła. Lecz na to był chyba za mały?

Cisza lasu i teżący mrok tym razem były sprzymierzeńcami Arianny. Przewyciężając ból, z radością pokonywała pustkę lasu, śmiało krocząc w kierunku bagien. W ciągu tych kilku dni poznała naturę lasu i nie bała się ciemności: skrzypiących drzew, popiskiwanych wypłoszonych stworzonek nocy. A już najmniej bała się tego, co najbardziej przerażało dorosłych i dzieci - wszystkich prawdziwych i urojonych potworów. I gdy w górze wyczuła spojrzenie niewidocznych oczu, była już całkiem spokojna. Noran jej pilnuje, chociaż niewidoczny - jest przy niej.

Naraz usłyszała łomot spadającego ciężaru. Tuż przed nią przemknął cień i ujrzała dwa jarzące się, oplecione czerwoną siatką naczyn krążki. Przygaśły na chwilę krótką jak mrugnięcie, a potem rozjarzyły się złowieszczą. Równocześnie uchwyliła gniewny pomruk i poczuła ciepły feitor uderzający prosto w twarz.

Borhas!

Zareagowała momentalnie. Wyrzuciła przed siebie ręce, rozciąpiła palce wbijając wprost w ślepią

Borhas ryknął z bólu i wściekłości. Wyciągnął muskularne ramie, aby na pół przedrzeć to kaśliwe zwierzę, lecz pazury przeorały tylko powietrze. Nie widział. Ruszył na osię, walcząc z wyrastającymi przed nim drzewami. Drapał, łamał, gwałcił. Lecz wciąż nie widział. Zatrzymał się, instynktownie czując, że w ten sposób jej nie złapie, a nawet pomoże w ucieczce. Zmienił taktykę. Wciągnął w nozdrza zapach i nastawił uszy, przeczesując ciszę wokół.

Niestety, Arianna nie odbiegła daleko. Przy kolejnym kroku zahaczyła o wystający pień i teraz leżała na poszyciu, nie mając siły na dalszą ucieczkę.

Na tle szarego nieba dokładnie widziała sylwetkę borhasa. Ciekokształtny, dwunożny stwór o ciemnym futrze ze srebrnymi pasmami, równie szybki na ziemi, jak i w koronach drzew, był największym drapieżnikiem grasującym w tych lasach. Atak z wysokości był jego ulubioną formą zasadzki. Dała się podejść... Gdy borhas szalał z wściekłości, łudziła się jeszcze, że mu ucieknie, lecz gdy zastygł przycajony, poczuła, że przegrała.

Gdzie jest Noran?!

Borhas już pochwycił jej trop. Wydał z siebie ryk zwycięstwa - słynny śpiew śmierci; paraliżujący ofiary, a rozgrzewający jego krew. Wyrastający z cichego pomruku, sięgający wysokich tonów, uwięziony opadającym szczeniakiem, podobnym zawo dzeniu psa. Ledwo zakończył pieśń triumfu, wolno ruszył w jej kierunku, przerzucając majestatycznie ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

Arianna chciała płakać, lecz łzy jakby się bały wypłynąć na policzki. Ciało zastygło w oczekiwaniu na cios. Pomyślała, że w osadzie zapewne usłyszano śpiew borhasa, lecz na pomoc współplemionców nie mogła liczyć: śpiący na pewno głębiej wtulili się w posłania, szczęśliwi ze swego bezpieczeństwa.

Raptem, tuż przed Arianną, borhas zatrzymał się. Jeszcze tylko parę sekund i koniec...

Borhas wciąż nie ruszał się, dziwnie zastygł. Dostrzegła jego o wiele za duże, nastrożone ku górze niczym słozki rogów, ruchliwe uszy. Czyżby strzygli nimi w poszukiwaniu źródła dźwięku? Ona nie nie słyszała... Z wolna borhas rozwarł paszczę, marszcząc nerwowo górną wargę i odsłaniając szablę kłów, wydał pomruk niezadowolenia. Co go powstrzymuje? Dwumetrowy stwór nagle skulił się, przypałał do ziemi, a potem raptownie skoczył na najbliższe drzewo i zaczął wspinąć się i wspinąć coraz wyżej, przez cały czas jęcząc ze strachu. To było niepojęte!

Arianna uniosła głowę, jak zahipnotyzowana śledząc ucieczkę nieustraszonego. Był już tak wysoko schowany w zwalnej koronie liści, że słyszała tylko jego skomlenie. Coraz głośniejsze i rozpaczliwsze.

Wstała

I wtedy coś ją skłoniło by odwrócić głowę. Może był to szmer uschniętych liści, a może chłód obłaski za plecami. Odwróciła się i w tej samej chwili upadła do tyłu, jakby pod piętnami zapadła się ziemia. Zobaczyła bowiem coś, czego nie można sobie wyobrazić. Istota tak niemożliwa w swym bycie, że tylko miasma, niekier gniewu lub diabełski żart mogłyby ją porwać. Nawet borhas stał

LEPSZE NIŻ
CZŁOWIEK...



wował się ucieczką, rozumiejąc, że jego okropność jest rdczym wobec tego tworu. Arianna wiedziała, kto przed nią stoi, lecz ta świadomość wcale nie pomagała jej w opanowaniu strachu. Bala się bardziej.

Nie mogąc oderwać od Norana wzroku, tylko usłyszała przedśmiertny jęk borhasa, a zaraz potem trzask galezi pękających pod ciężarem jego ciała. Wzbiła się zamieszanie, które opadły w tanecznym locie na niegroźnego już borhasa. Zazdrościła mu, że tak szybko i cicho uwolnił się od Norana.

Zaczęła hysterycznie krzyczeć. Nie mogła w milczeniu czekać na... Na co?! Na śmierć? On jej nic nie uczyni. Będzie żyła, lecz czy będzie potrafiła teraz znieść jego cielesną bliskość? Uspokoili się, czekając aż pozostawi ją sama.

Noran przysiadł na ziemi, jeżeli to określenie można było zastosować do jego powłoki, i przekazał dziewczynie myśli ułożone w zdania, wprost do mózgu. Arianna dopiero teraz rozumiała, że nigdy do niej nie przemawiał. Odbierała tylko projekcje myśli, pełną barw i odcieni.

- Życie jest pasmem zdarzeń przypadkowych. Wyszłaś dzisiaj o wiele wcześniej niż zwykle i powinienem już z niecierpliwością oczekiwać na ciebie, gdyż zawsze towarzyszyłem ci w drodze na bagno. Lecz tym razem zaplać się we wspomnieniach i straciłem rachubę czasu... Nasze odmienne postępowanie wykorzystał borhas i... stało się

Jego głos zawsze był nasycony urzuciami, lecz to co teraz odbierała, aż kipiało od bólesci, samotności i goryczy.

- Miałem do wyboru dwie możliwości. Obie złe... Gdyby nie moja pomoc, rozszarpałby cię borhas i utraciłbym twoje życie, twoją żywotność... Pomogłem ci, zobaczyłaś mnie i... też cię utraciłem, twoją nienasyconą ciekawość i zaufanie. Muszę ci powiedzieć... - przerwał na chwilę, a ona wyraźnie wyczuła w nim walke ironii z nienawiścią - ...że sam się sobą brzydzę!

Potem zrezygnowany odczłapał, odrzucił czy ośliznął się w stronę bagien.

Podjęła decyzję. Zrozumiała siebie, rozumiała jego, rozumiała chyba wszystko, co było do zrozumienia. Zdążyła go wyminąć i zagrozić mu drogę, zanim na zawsze nie przepadł w bagno.

- Nie masz racji! To prawda, że twój widok zaszokował mnie... - Zaplała się i nagle wybuchnęła potokiem złości: - Jesteś obrzydliwy, potworny, szkaradny, obskurny... - zaczęła pękać łch - ale jesteś także... wspaniały!

Wspaniały?! - Zaśmiał się. - Powiedz lepiej jeszcze: plugawy, haniebnny, ordynarny...

Potakiwała głową.

- To wszystko prawda. Zbliżyła się. - Jest w tobie jedno i drugie... Bo ja... bo ja po prostu kocham cię!

- Nie naigrywaj się! - odebrała kategorię nakaz ustąpienia mu z drogi. Zaplała się mocniej. - Pozwól mi odejść. - błagał.

Nie! Naprawdę cię kocham! Kocham to, co jest w tobie. Twoja zewnętrzna powłoka ukrywa największy skarb... i może dlatego tak być musi, aby nikt nie podejrzewał tego bogactwa?

To trochę inaczej - mruknął cicho

Arianna rozumiała, że zwyrzyżyła. Może Noran w tej chwili jeszcze o tym nie wiedział, ale i on w końcu utwierdzi w szczerości jej wyznania.

- Kto cię tak okaleczył?

- To długa historia... - Odszedł i przysiadł na trawie. Nie próbowała podejść, gdyż rozumiała, że potrzebuje dyslansu. To długa historia. z innych czasów, z innej przestrzeni...

Opowiedz

- To przykre...

Przepraszam

...Lecz zawsze chciałem, abyś ją poznała.

Z yłem w świecie całkiem odmiennym od twojego. Byłem samą myślą, bez ciała. Narodziłem się z myśli, która się dokonała; umarłem, gdy odnalazłem dopełnienie, żyje poszukując celu. Mogę tak o sobie powiedzieć, gdyż nie mając ciała nie zna się pojęcia czasu bez czasu nie istnieje przestrzeń. W takich warunkach bezcielesności, bezczasowości, bezwymierności - istnieje tylko myśl! Była ona moim bytem i celem. Według tobie dostępnych pojęć byłem Bogiem i Szalanem!

Lecz nie posiadał ciała, nie rozumiałem także pojęcia

ograniczeń czy konieczności, nie rozumiałem, co to sumienie.

Dlatego też, gdy w chwili narodzenia-życia-smierci zetknąłem się z istotami cielesnymi, nawet nie miałem szans pojąć, że owe twory mogą posiadać jakieś kanony postępowania, bariery regulujące granice poznania, której przekroczenie może być zabójcze dla ich ciała. Duch jest niesmiertelny, lecz ciało nie...

Ze wszystkich istot cielesnych najbardziej zainteresowali mnie ludzie - podróżnicy zamknięci w kropki swego świata podążającej do innych światów, by je zbadać. Jakże śmieszni mi się wydali. Podług moich możliwości byli bezsilni, bezradni - a w swoim mniemaniu czuli się tacy dumni, odważni. Postanowiłem z nich zakpić. Pozwoliłem im na pewien czas stać się mną! Wtedy wydarzyło się to, czego bardzo długo nie potrafiłem zrozumieć. Otóż wszyscy, w jednej chwili, zdecydowanie odrzucili mój dar! Woleli umrzeć... Kropla z martwymi już ciałami nadal wędrowała bezkresem przestrzeni, a ja zastanawiałem się dlaczego tak uczynili. Spodziewałem się całkowicie odmiennej reakcji. Sądziłem, że gdy powrócą do swoich ciał będą błagać mnie, abym zezwolił im chociaż na moment dostąpić daru... Nic wiem jak długo jeszcze rozważałbym ich postępowanie, gdybym nie spróbował wejść w jedno z opuszczonych ciał... Dopiero wtedy zrozumiałem ich postępowanie.

Dla mnie kruchość trwania ich bytu była ograniczeniem - lecz to była ich siła! Mając wszystek czas do dyspozycji, nie potrzebowałem liczyć upływających godzin, a jednocześnie trwonilem je w każdej chwili. Każdy z nich, w swym mikroskopijnym życiu dokonywał więcej, niż mogłem dostąpić ja w przeciągu wieczności.

Konieczność przebywania w określonym czasie i przestrzeni wydawała mi się ciężarem, lecz dla nich była źródłem satysfakcji. Gdyż ja, będąc wszędzie - nie byłem nigdzie! Oni pokonując w mozole przestrzeń, tym lepiej poznawali każdą drobinę świata.

Przez swą próżność odebrałem im cel życia, nie dając im w zamian. Dlatego wybrali śmierć... Stali się w ten sposób moimi nauczycielami, rozumiałem, że nierozważnie zdeptałem coś pięknego.

Straciłem się w twój czas, w to bagno, wymyśliłem to ciało, aby w samotności wielokrotnie przeżywać swą winę

A rianna długo trawiła w sobie opowieść Norana. W końcu zapytała:

Czy kiedyś nas porzucisz?

- Nie! Teraz wiem już na pewno, że moje miejsce jest tu. W tym ciele. Długo tego nie rozumiałem. Mimo iż sam siebie skazałem, nie mogłem się z tym pogodzić. Dzięki tobie rozumiałem, że byłem wybrakiem natury i dobrze się stało, że zamknąłem się w bagnie, w szkaradnej powłoce. Już i tak wiele złego uczyniłem.

- Mogłbyś też zdziałać wiele dobrego...

- Nie! Myśl powinna mieć okowy. Czy to cielesne czy... przeciwnie... Bez tego balastu jestem zbyt potężny. Pozostaw mnie samego już do końca moich dni.

- Ja mogłabym być twoim strażnikiem i... towarzyszem jednocześnie?

Zastępił na chwilę, zaraz się jednak otrząsnął. Jego reakcja wstrząsnęła Arianną.

- Nie! Nie zasłużyłem na twoje zaufanie.

- Posłuchaj! Nie chce przekonywać cię na siłę. Mam lepszy pomysł. To ja będę sprawdzianem, czy odkupiłeś winę.

- Brzydsze się czymś takim!

- Wysłuchaj mnie. Jeszcze nic nie powiedziałam.

Wciąż był zaślepiiony w nienawiści do siebie, więc musiała dać mu szansę, nim spróbuje uciec od niej na zawsze. Wstała i podbiegła do bagna, zagradzając drogę ucieczki.

Posłuchaj. Teraz odejść i jeżeli do jutra nie powrócę - będzie to oznaczało, że moje wyznanie było kaprysem chwili. Słowem rzucnym na wiatr - poruszył się niespokojnie, więc szybko dokonała - lecz jeżeli stanę jutro na brzegu tego bagna i zawołam cię, będzie to oznaczać, że moje urzucie jest prawdziwe! Twoja wina będzie zmazana!

Zakotyła się, ale nie czekała na reakcję. Najszybiej jak potrafiła, odbiegła w las. Bala się, że mimo to krzyknę w jej mózg, że nie zgadza się, że nie przyjmuje jej warunków.

T musi się skończyć! Nie próbujcie we mnie wmawiać, że ona cierpi! Jeżeli ktoś chadza ścieżkami Szatana, nie szanując przykazań boskich - to musi cierpieć! A mówiąc, że to musi znaleźć koniec, nie mam na myśli jej bólu, lecz jej diabelski wpływ na innych. Nigdy dotychczas nie zdarzyło się, by w kimkolwiek z nas rozpanoszyło się takie zgorzenie. Byliśmy zawsze pobożnym ludem... Jeżeli jej nie powstrzymacie, nienawisć Boga spadnie i na nas! Powstrzymajcie ją dopóki nie jest za późno!

Rodzice Arianny, wystraszeni i zawstydzeni, stali pokornie przed kapłanem osady. Ten trząsł z oburzenia obwisłymi policzkami i machał seką laską. Byłby śmieszny, gdyby nie groźba zawarta w jego słowach.

- W nocy, niedaleko osady, słyszano borhasa. Najpierw śpiew triumfu, a później zawodzenie śmierci. Ciekaw jestem, co tam się wydarzyło. He? - Spojrzał na nich, jakby mogli znać odpowiedź. Wtulili więc mocniej głowy w ramiona, a on mówił dalej: - Posłałem do lasu waszego... hmm, waszego niedoszłego zierca. Zaraz powinien wrócić. A właśnie! Kilka dni temu minął ostateczny termin ślubu... He?

- Nasza córka umiera... - powiedział ojciec. - Nie pora o tym mówić!

- Umiera... nie pora... - przedrzeźniał go kapłan. - A może właśnie jest pora. Najwyższa! - Zaczął gniewnie uderzać laską, lecz zaraz przestał i spojrzał chytrze. - Bo jeśli umrze... bedziecie musieli zwrócić wszystkie podarki. Nie byłoby to przyjemne, he?

- Nie możesz nam powiedzieć, że nie uczyniliśmy wszystkiego, aby doprowadzić do tego związku! - wybuchnęła matka.

- Nie mogę?! - Kapłan aż zatrząsł się z oburzenia.

Naraz zobaczyli biegnącego w ich stronę wysłannika. Wymachiwał nad głową jakimś przedmiotem. Po chwili był przy nich. Podał kapłanowi fragment tkaniny, a sam, łapiąc oddech, mówił.

- Zna... znalazłem martwego borhasa. A obok ten materiał... - Spojrzał na niedoszłych teściów. Doskonale zrozumiał jego wzrok, gdyż był to strzep sukni Arianny. Chłopak ponownie zwrócił się do kapłana: - To dziwne graniczące wprost z cudem, lecz na ciele borhasa nie dostrzegłem żadnych śladów walki. Tak jakby zmarł ze starości - choć był młody, albo ze strachu - lecz coś może przestraszyło borhasa... To niesamowite!

- Tak... To kropla, która przepelnia czar!!!

- Pozwól nam... zaczął ojciec, lecz urwał przeraziwszy się wzrokiem kapłana. Matka znalazła w sobie więcej odwagi i dokończyła. Pozwól nam porozmawiać z nią wcześniej! Tylko przez kilka minut. Potem nie będziemy się wtrącać.

Chłopak drgnął, lecz wymieniwszy spojrzenie z kapłanem, uspokoił się.

Dobrze - kapłan kiwnął głową - dobrze. W tym czasie przymsiemy borhasa. Lecz on pojdzie z wami! Należy mu się.

Wiedzieli, że rozmowa skonczone. Przytaknęli i tak zadowoleni z tego co osiągnęli.

Popołudniowe słońce swoim ciepłem i spokojem rozleniwiało całą przyrodę. Wolno toczyły się wody rzeki, lśniąc lysiecznymi załamaniem drobnych fal; na tyle jednak łagodnie, że nie raziły oczu, a lkały pajerczyne światła, delikatną i zwicwną... Natomiast wiatr ospale potrząsał liśćmi, bardziej dla zabawy niż w porывach złości, komponując muzykę ciszy i przemijania.

Arianna odpoczywała przed chatą na specjalnie w tym celu wyniesionym posłaniu. Po szyję zakryta miękkim futrem, z głową owiniętą bandażami, chłonęła świat wokół.

Na długie chwile zapominała o bólu. O chłodzie, który przenikał przez każdą zaporę, aby teść we krwi, rozrywając ścieżki życia. O trawiającą ją gorączkę, wypalającą wyrwy nie do zasklepienia. Zapominała, gdyż duszą była na bagnach, wyznając miłość po zwyczajkiej próbie.

Rodzice staneli nad łóżem gasnącej córki, nie mając sił przeskakać jej w wedrowce. Jednak narzeczony pałał chęcią odwetu, czy może udowodnienia swej miłości i odczuwał się szorstko.

- Dlaczego nieustannie odrzucasz mą miłość?! Dlaczego, mimo że ofiarowywałem ci wszystko co mam, ty uni-

kałaś, poniżałaś mnie? Dlaczego nie chcesz wejść do mego szalasu, urodzić mi dzieci trąszcząc się o ognisko naszej miłości?! Dlaczego?

Arianna wolno odwróciła głowę. Przez chwilę pogodnie spoglądała na niego, a potem zwróciła wzrok na matkę.

- Dlaczego zawsze byłaś nam obca? Dlaczego starałaś się być inna, niż twa siostra czy brat? Dlaczego każde twoje działanie wywoływało ciąg trosk, goryczy i bólu w naszych sercach? Dlaczego niszczyłaś swe ciało - ciało, które ci daliśmy? Dlaczego, przecież jestem twoją matką?!

Matkę odsunął ojciec.

Dlaczego chcesz wszystko zniszczyć? Dlaczego ugałniałaś się za czymś, co nic nie jest warte, odrzucając to, o czym wiemy, że dobre? Dlaczego poszłaś za czymś, przed czym zawsze cię strzeżliśmy? Dlaczego nie uszanowałaś uczuć, wiary, które ci przekazaliśmy?

Spróbowała podnieść ciało, oprzeć o pień drzewa, lecz jej głowa zaraz opadła. Mimo to powiedziała.

- Niczego nie zrozumieliście... To prawda, że daleście mi życie. Jestem wam za to wdzięczna. Lecz to nie oznacza, że możecie mną kierować tak, jakbyście chcieli - gdyż nie daleście mi nic więcej poza życiem! To prawda, że ofiarowałem mi uczucie, lecz rozważ je dobrze, a może zobaczysz czym ono w istocie było! Cóż daleście mi wy wszyscy, strażnicy tradycji i świętości?! Błazdziecie w mroku, a wydaje się wam, że przewodzi wam pochodnia zrozumienia. To prawda, że ofiarowałam swe życie istocie, która je pożerała. Lecz byłam szczęśliwa, gdy to czyniła. Dala mi więcej niż ktokolwiek z was! Tylko ona mi pomogła. Pozwolicie mi chociaż umrzeć w spokoju.

Odeszła.

A oni wciąż stali, czekając na odpowiedź.

Poszybowała nad bagna. Zlokalizowała myśli Norana i podążyła ku nim. Nie wiedział, że ona jest tak blisko. Emanował tęsknotą, miłością i samotnością. Weszła nieczauważenie w jego umysł i zawołała wesolo.

Już jestem głuptasie

Nieomal zaskandł z radości

Przyszłaś... Do mnie?

- Tak. Możemy stąd odejść. Już nie mam tu nic brzybnego.

Dokąd?!

- Tam, gdzie nas potrzebują

- Dobrze. Chodźmy!

Chwyć mnie za rękę.

Jestes ciepła. Jestes piękna!

Nagle Arianna przypomniała sobie o czymś ważnym:

- Zaczekaj!

Tak?

Zaczniemy od tego drzewa. Niech będzie dla nas próbą. Chciałabym, aby ten dąb... Zamikła niepewna.

Nie wiem czy nam się uda?

- Sprobujmy poprosila

Sprobujemy! zgodzi sie

Wiele sił i czasu poświęcał, nim dąb niepewnie wyprostował pień, nim oczyszczające korzenie nie zaczęły na powrót wysysać życiodajnych płynów, przekazując je dalej do ocalałych gałęzi. Wciąż jednak byle podmuch wiatru mógł powtórnie pogrążyć dąb w mule. Czekali więc, nie mogąc się zdecydować, czy pozostawić go już własnemu losowi.

Aż pewnego dnia na niebie zakołowały dwie sylwetki potężnych ptaków. Jeden z nich obniżył lot i przysiadł na gałęzi. Zatrzepotał skrzydłami i przetrząsnął na inną. Dzwołem zaczął opukiwać korę. Był młody i szukał miejsca na swe pierwsze gniazdo. Arianna i Noran z drzeniem obserwowali jego poczynania, lecz gdy ptak uniósł głowę w górę i zaklekotał, przywołując towarzyszkę, napięcie wielu dni zniknęło. Noran powiedział:

Jeżeli te ptaki zdecydowały się zająć tu gniazdo, możemy odejść. Dąb będzie trwał jeszcze wiele lat i bagno nie powali go powtórnie

- Masz rację. Chodźmy.

Noran porzucił swą powłokę i złączeni pomknęli przez siebie, a drzewo zaszumiło im na pożegnanie. Delikatnie, aby nie wypłoszyć ptaków.

PIEŚŃ KATA

Marek Oramus

CZYLI MOJE WIDZENIE FANTASTYKI

[illegible]

W ten sposób udało mi się ustalić, że byłem nie nie szesciu lecz czterech, spośród których zaś jeden lekko a jeden nieumiejętnie. Podstawowym zarzutem formułowanym przez Parowskiego, Niewiadowskiego, Bugajskiego i Ziemiękiewicza jest anachroniczność moich diagnoz. Polska fantastyka naukowa tak się radykalnie przeobraziła w kilka lat, że już takich błędów nie można je, wniknąć, najwyżej inne (ale jakie – sygnalizuje tylko Parowski, wznamknę Ziemiękiewicz). Wszyscy zdają się przychylić do opinii, że nastąpił epokowy przełom (a kto wie, czy nie Przełom), polska SF odnowiła się zrzuciła skórę („wyniknę” – Parowski) i jest już w innym miejscu, ja zaś tę skórę (wyniknę) trzymam w palcach jak żurawia przetrwaływ – miałam gorzkie słowa na temat węzła, rła, można, tak. Pewnie że gdybym zrobił wyrazne zastrzeżenie czasowe, byłbym chłodniej lepiej. Nie zrobiłem – mój błąd. Potraktowałem polską SF jako całość, i tak tę całość nadal widzę. Przełom (ale jak przełom? coś się najwyżej kuje, a ci od razu przełom), jeśli się nawet dokonał, powinien zostać oddany w pacht krytykom za lat dwadzieścia. Wyrokowanie ad hoc o jego nadejściu swoistościach, a zwłaszcza rozmiarach jest zajęciem wysoce ryzykownym; gdy zaś przekłamują go łacini z prelensjami do odegrania roli, brania udziału w kibicowaniu etc. – dodatkowo niesmacznym. Ach, jak mi lubimy przekłamy, a laż mamy tyle, że wypadłoby wywotać chociaż z jednego, jeżeli jednak nie sześć czy dziesięć książek, znając za wystarczający powód do ogłoszenia rewolucji, za błąd pozostałe dziesięć razy więcej. Wolałbym jednak, żeby ktoś z tych, którzy nie

Sześciu facetów rzuciło się, żeby mnie powalić - a są wśród nich tęgie osiłki. Za pretekst posłużyły im niewinne rozważania o skłonności do grzechu pewnego umiłowanego przez nas wszystkich gatunku literackiego. Ja ze swej strony musiałem jakoś odwarknąć - i tak doszło do tej wymiany zdań.

[illegible]

Drażniko wiele miejsc w tych tekstach zajmując dochodzenie jaki był mój zamiar „Oramus (grębie) polską science fiction” (Niewadowski). „Oramus chciał zaatakować polską SF” (Bugański). „Spodziewałem się po autorze czegoś więcej, a kiedyś rzeczowej analizy (w syntezie)?” M.P. i od powiedzi na pytanie, dlaczego właściwie polska fantastyka jest taka kiepska jaka jest! (Ziemkiewicz). „Odpowiedzi takiej nie znalazłem choć jest się nie mylić, udzielnie jej leżało w zamiarach autora”. Kochani, po co to kwienie? Gdybym chciał coś grzebać, kopałbym dół, by atakować, czyłbym się po konwentach z siostrą. Zrobiłem to co chciałem, jestem za stary bym panował dziecko, a wychodziły mi skrzypce. Po co napisać o grzechach? z zyczołowości dla polskiej SF. Także by zaspokoić pewnie swoje i pywalnie potrzeby, o czym puzniej

Ubaŕwily minie nieporozumienia łósciwie (Pa-
rowski, Niewadowski, Ziemkiewicz). Sprowadza-
jác je do wspólnego mianownika grzechy moŕe i
się zdarzają, ale nie na tyle często. By było «ię
czym przyjmować „*Oramus stroni od slatsylsty*» -
stwierdza tłumacząc Niewadowski - owe «*Te-
stys*» i «*Kosmosy*» wcale nie stanowią większo-
ci". Coŕ, niezmiernie się z tego cieszę. To opłymi-
styczna wiadomořć. Strach tylko i ciennie przed
oczami ŕe Andrzej Niewadowski lekko zafras-
owało się dopiero wtedy, gdyby stanowią

Przebieg Rataj Ziemkiewicz. Można znaleźć spr.
ro przykładów świadczących, że (przechr) walc
w sąw SFL mianu z...
...
...
...
...
...
...
...

na X i spuścić mu manto możecie rozpo-
wiedac plotki o jego prowadzeniu się itp.
ale najlepiej jeśli zaprzeczycie mu własną
twórczością. Wtedy nagle smutnieją i od-
chodzą z tajemniczą miną. Coż, getto pełne
jest przywar, a ja zmagam się z nimi na bie-
żąco – dłużej acz prościej SF. Mam nadzieję, że
moja fantastyka lepiej o tym zaświadczy niż
moja krytyczna pisanina.

Na koniec sprawy nieprzyjemne. Zabol-
ały mnie jednak nabite przez was koleczy
słaki. Zemsta będzie straszna, urządzi-
łem z siebie cyrk, wygląłem się teraz
zbieram manatki i arena pozostaje pusta.
Golowa do waszych występów SF jak
wam może wiadomo, jak była gatunkiem
tandelnym, tak nim pozostała. Tu nie nasta-
pił żaden przełom. Jes i powodem je, tan-

deły nie są wymienione przeze mnie dru-
go i trzeciorzędne grzechy (też ciekawa
kwestia, czy drugorzędna literatura może
popęłniać grzechy pierwszorzędne?) mu-
szą istnieć, nne ukryte wady i już rozumi-
cie, do jak ego to tanta zaproszenie, i za-
gardło porówna was strach. No, czemuście
połbiedli?

Słotny, jestem zwoinic z obowiązku Ra-
tula Ziembkiewicza (dajmy mu czas na nau-
kę), Macieja Parowskiego, pod warunkiem
że gdy przyjdzie do niego na kacu, poczes-
tuję mnie piwem i bógom o własne wos-
łochy. Ubika. Ale Bugajskiemu i Niawia-
dowskiemu nie przepuszczę. „Główne grze-
chy polskie, SF zgola inaczej wyglądają” –
to Newadowski, tak? W całym tekście an-
mru mru, tylko ogólnikowa wzmianka, że
zamykaliśmy oczy na wiele innych po-
problemowych. Bugajski, Oramus, i nie
potrafił wymyślić siedmiu istotnych „grze-
chów” (a musiałoby być siedem?). No,
musiałoby, jeśli osiem, zalecam uważnie sze-
czytanie kropki, które przeżył kulej, miej
cierpliwość. Nie dochodzi do stoły (ze
czy inby ja z Platonem) autor „Sennyh
zwycięzcow” nie dobiega się do stoły (ja
wiska, która łączy Newadowski, i mija-
się z istotą zagadnienia, nagle wyciąga i)
wnioski (raz Bugajski).

Traktuję moje zaproszenie jako wyzwa-
nie, a teraz sadzę się w pierwszym rze-
dzie i będę się dobrze bawił. Pamiętajcie,
tylko ze wszystko ma być pierwszorzędne.
Drugi rzeciz, załatwiłem sam i sedno
duzo sedna. Samo sedno, właściwie. Od-
wrotnie niż do tej pory. Czytelnicy i ja w
ramach TRCHY skontrolujemy poziom
sedna. Stawka jest wasz honor krytyków.
Jlbo powiem po prostu, że zaprezentowa-
na przez was strusia postawa krytyczna
jest kolejnym grzechem naszej rodzimej
Jaczniicy.

Marek Oramus

Rybnik, październik 1966

Adam Hollanek

Na smyczy Lema?

Konczymy już tę dyskusję o grzechach fantastyki, ze świadomo-
ścią, że jak wszystkie spory literackie nie doprowadziła ona do
jakichś większych uogólnień. Przeciwnie, ukazała, że to co wydaje
się nam science fiction, jakimś bardzo konkretnym, określonym
gatunkiem pisarstwa, czy raczej mozaiką, z której wylania się jed-
norodny w gruncie rzeczy gatunek – bywa naprawdę za każdym
razem czymś bardzo różnym, że nie ma jakiegś jednej i jedynej
fantastyki, lecz jest tyle fantastyk, ilu autorów, tych zdolnych i tych
bez talentu.

Poza tym dyskusję fantastyczne ciągle – moim zdaniem niepo-
trzebnie, choć sam w tym grzęznę nieraz – babrzą się w swej spe-
cyfice, w swojej inności od „normalnej” literatury. W tym bardzo
polemicznym eseju nie może się tej myśli także pozbyć i Marek
Oramus, a jest to jak się Państwo przekonacie, raczej wyznanie
niż szkic, wyznanie bardzo zresztą literackie, zarówno w formie, jak
w przybranej pozycji. Uderzyło mnie, że autor „Kompleksu Hioba”
(drukowanego w „Fantastyce” nr 7/86 bardzo interesującego opo-
wiadania, chyba najlepszego ze wszystkiego co napisał) stwierdza, że
„Jestem zwoinnikiem precyzji w utworze literackim ()
Powieść, a bardziej jeszcze opowiadanie SF winny być bez mała
matematycznie precyzyjne”. Tymczasem precyzja matematyczna
oddala od istoty życia, raczej niż przybliża do niej. Człowiek w
swoich reakcjach jest często nieobliczalny.

I wyznaniem o precyzji Oramus przygważdża się do fantastyki,
która właśnie jest zawsze precyzyjniejsza od normalnej literatury,
bardziej od niej naukowa, nawet tam gdzie walczy z nauką, zawsze
też dydaktyczna, czasem nawet bardzo nawnie. Przykład z nazwi-
skami pasującym do charakterów i roli – nazwiska takiego jak
Rysakow z rysakami – jest świadectwem typowego grzechu fan-
tastyki, jej powierzchowności, ale też jej magiczności, zaręczam.

Czyby Oramus, któremu się to tak podoba, naprawdę nie po-

trafił czy nie chciał wyjść z kregu zaklętego, fantastycznego
getta, czyżby aż tak go ukochał, że nie dostrzega jego granic? Tym-
czasem wymienione opowiadanie „Kompleks Hioba” wskazuje, że
świadomie czy mniej świadomie jego autor chce przekraczać te
granice i umie to robić, jakkolwiek strumień świadomości, którym
stara się operować w swej prozie, wydaje mi się jeszcze nazbyt
konsekwentny, nazbyt logiczny, co psuje efekt spontaniczności,
procesów intelektualno-emojonalnych właściwych człowiekowi.
Coż, spadkobiercy Lema, trzymanii bywają przez niego na dość
krótkiej, niewidzialnej smyczy i nie potrafili się z niej od razu urwać,
i to ich nieraz oddala od literackości. Może u tymi powie ktoś, że to
dobrze, ale ja sądzę, że raczej źle.

Podoba mi się natomiast ton całej wypowiedzi Oramusa – prze-
korny, ale szalenie osobisty, własny, ten ogład przez niego litera-
tury SF z jej gwałtownością reakcji autorskich i czytelnicznych, z
zacierzeniem miłosnym lub w nienawiści, o się jakiegś nie znają
w tym względzie inne gatunki twórczości. I ten właśnie ton, osobi-
sty, własny, popycha Oramusa w kierunku „normalnej literatury” –
o paradoksie – i kaze mu odchodzić czy uciekać od tego, co kocha
i krytykować samego Lema za jego ucieczkę i pogardę dla tego,
przed czym ucieka.

Oramus dostał ostatnio od „Fantastyki” nagrodę za twórczość i
za to właśnie odchodzenie od getta SF. Podobną nagrodę otrzy-
mał wcześniej Petecki jako wyraz szacunku dla twardo przez niego
reprezentowanej linii klasycznej SF. Oramus i Petecki to, jakby dwa
bieguny jednej sprawy, jednego swata fantastyki.

Tempora mutantur, a w zmieniających się czasach ulega galopu-
jącym przemianom zarówno sama fantastyka, jak i stosunek do
niej. Dokąd prowadzi ten galop – trudno jeszcze dobiec, a przykład
drogi Lema uważam za nietypowy.

nagerów ani nikogo, z kim mogliby oni rozmawiać na równej stopie. Urząd Energetyczny, bardzo bliski - nie było się co łudzić - krewniak SW, wydzielal dusc skapo zneutralizowaną, „włoskowatą” jak mowiono A energii, a nikt nie miał ochoty prawować się z nim o więcej. Stanowczo nie była to materia do żartów i targów (za coś w rodzaju żartu mogła-

nych, miłych na ogół (very Armand - like jak się wyrażał Almirante) ludzi praktyki

Tak jednak nie było. A owi specje od realnego patrzenia na świat zadali by kłam swojej reputacji, gdyby tego w pełni nie byli świadomi.

„Jak Bog da”, „Bog raczy wiedzieć”; takie pocziwe wyrażenia w ustach Almirante odnosiły się z reguły do jego niewidzialnych mocodawców. Jeśli chodzi o „Świete Świetych” władzy światowej, ludzie tego pokroju zachowywali, jak na prawdziwych pragmatyków przystało, głębokie milczenie.

Co się tyczy prasy, ta z właściwym sobie niewinnym tupetem spokojnie pomijała kwestie władzy naczelnej. To samo robiły Instytuty Badania Opinii oraz ogół spokojnych, prywatnych ludzi.

Nie wszyscy jednak byli rozsądni, zwłaszcza po pijanemu. Żadne mass-media nie przekazały światu zdarzenia następującego.

Na wielkim przyjęciu z okazji sprostowania granicy między Sta-

li połowe tego co ja, zrobilibyscie rozrzut we wszystkich gościach.

Na koniec w palarni zaczął mówić od serca. Żebym ja raz zobaczył choć jednego z tych facetów. Z tych prawdziwych Extra - Fine - Long - Live - the World. Moi mili, przecie ja z tą granicą i w ogóle stanąłem na wysokości zadania i w ogóle - szkoda gadać: lepszy gość! I żebym ja ich raz zobaczył, tych Od Góry, owinąłbym ich sobie wokół palca. Dobrałbym ich jak fula z ręki. Zrobiłbym z nich przepisowy karambol i akumulativ z porządkowym. Oni by mi fikal do laktu, jak Iterada Girls. Tyko żebym ja ich raz przywazył, tych prawdziwych do samej Góry - Tych LLW-Boys.

- Pan pozwoli senior Iterda - jeden z najbardziej szarych i niedostrzegalnych współbiesiadników stał za fotelem - Pan pozwoli ze mną.

- Hi, hi, mój typku. Pan jesteś co najwyżej z policji, a ja sobie życzę prawdziwych LLW-Commanderów!

Na korytarzu Ruy Iterda wreszcie wytrzeźwiał i pobałdł. Szary czło-

Hanna Malewska

LLW

CZYLI

CO SIĘ MOŻE

WYDARZYĆ JUTRO



Andrzej Bielecki

by jedynie uchodzić przyjęta ogólnie nazwa „denatural”).

Gospodarka była okielznana, przewidziana. Od szeregu lat już chemia nauczyła się robić ze wszystkiego wszystko. Wszechstronnie zautomatyzowana produkcja wymagała bardzo wysoko kwalifikowanych, ale s.osunkowo nielicznych speców i organizatorów. Część z nich miała dość wyraźne funkcje polityczne, inni nie. Mogłoby się zdawać, że właściwie wszystko dzieje się za sprawą menagerów, tych dostrzegalnych - dla jako tako bystrego oka, uchwyt-

nem Kolumbia a Stanem Ekwador sędzia rozejmowy Ruy Gomez de Iterda, okazały džentelmen, gładki i czarny jak karoseria zabytkowego Buicka, błyskający brylantami, tak wielkimi, że nie mogły być naturalne (ale były) - ogrzał doszczętnie całe towarzystwo w pokera (bogowie wiedzą czy to mogło być neutralne?). Potem pił dużo, bo trunki były wyborowe. Potem odtanaczył starą sambe kubanska na antycznym stoliku od telewizji. Potem wystrzelał magazyn muzealnego Colita w wentylator (Rozrzut - 5 cm. Gdybyście wy wypir-

wieczek pokazał mu odznakę pod klapą, a Iterda wyjął z krawata pieciokaratowy brylant.

- Schowaj to pan i idź pan ze mną - szepnął mały, szary urzędniczek Wigili, któregoś tam stopnia. Wiecej nie słyszano o Ruy Gomezie de Iterda.

Hanna Malewska, „Labirynt. LLW, Czyli co się może wydarzyć jutro”. Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, Kraków 1970, wybór ze stron 220-225

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Długo oczekiwana powieść Konrada Fiałkowskiego, znana dotąd ze słyszenia, jako że wcześniej wydano ją w Niemczech i Francji, okazała się być książką daleko wybiegającą poza granice konwencjonalnej science fiction. Wykorzystuje wprawdzie elementy tego typu literatury, posługuje się pewnymi chwytami narracyjnymi, bez których nie mogłaby powstać w tym kształcie, w jakim zaistniała, a które przynależą do klasycznego dorobku fantastyki naukowej, ale właściwie wszystko to ma znaczenie czysto pretekstowe.

Ukończona w 1980 roku, dotarła do grona powstałych w latach siedemdziesiątych

ze zrelacjonowana – znaczy coś sama z siebie. Wyczuwam w tym pewną sprzeczność, ale nie można, nie należy bynajmniej czynić z niej zarzutu – skoro jest na ten temat tak wspaniała opowieść o człowieku, który się poświęcił dla innych, dla Wszystkich, nie musiał autor wymyślać nowej, ba, nawet nie wypadło. Natomiast wprowadzenie nowych imion pokazuje poniekąd funkcjonalność tej historii poza całą sferą odniesień religijnych.

Dalej Fiałkowski przewrotnie, korzystając z pomysłów zaczerpniętych z arsenału science fiction, spróbował również – jak poprzednio wymienieni autorzy – nadać o-

boce nam, są im potrzebne, a przecież dla nich tu jesteśmy” Admis skazuje siebie jako człowieka, na śmierć. Wyrzeka się wszystkiego, co gwarantuje mu jego cywilizacja. Żyjąc między ludźmi rozumiał, że „nie można głosić nadziei i zabijać” (tu, właśnie, na str. 95 redaktor książki prawdo podobnie nie wychwycił błędu maszynopisowego: wydawałoby się, jakby Admis rozmawiał z Admitem), zresztą wyznaje wręcz: „Ja jestem człowiekiem” – jest to zgodne z przekazem biblijnym. Admis bowiem z punktu widzenia ówczesnych Ziemian, dysponował czy mógł dysponować mocą boską jako przedstawiciel niewspółmiernie wyżej rozwiniętej cywilizacji miał właściwie nieograniczone możliwości zmian ciała przenoszenia się w czasie i przestrzeni, wyłwarzania pola słowowego, porozumiewania się telepatycznie itd. Po prostu był bogiem. Ale tego się wyrzekł poświęcając swoje życie ludzkości, chcąc stworzyć legendę, pokazać, że można umrzeć za przeżyciem w imię dobra, które tkwi w człowieku.

Gdy stałem się człowiekiem i żyłem wśród nich, pomyślałem, że ewolucyjny mechanizm wygasa na tej planecie. Nic otoczenie będzie ich kształtować, lecz oni zaczną kształtować planetę – mówi Admis na krótko przed męczeńską śmiercią. „Staną się tutaj lokalnymi bogami, a wiesz, co młodzie bogowie potrafią, gdy brak im rozsądku i nadziei. Niepokoję się o nich, Adamie. W Kosmosie jest tyle martwych planet i tak mało żywych. Ja chcę im pomóc. Tak jak potrafię już teraz, kiedy jeszcze jest czas, by każdy z nich mógł stać się inny”.

Myslenie Admisa było więc długofalowe, tak chyba możemy je nazwać, podczas gdy inni myśleli bardziej doraźnie, zresztą nie do tego prawo nie mając najmniejszych podstaw do ułożenia się z losem Ziemian. Oni już mogli czuć się człowiekiem. W tej sytuacji całe jego poświęcenie ofiarą jaką składa z samego siebie jest bardziej zrozumiałe, a i jego boskość zyskuje jakieś logiczne wytłumaczenie. Co więcej, Admis przedstawiciel innych nadzorujący eksperyment, toż wyrzeka się swojej przynależności do innych i staje się w finale powieści człowiekiem – „Żeby zrozumieć. Żeby zrozumieć to wszystko, co tkwi w człowieku, co stanowi, że jest on zdolny do śmierci za jakąś sprawę i jednocześnie jest zdolny do zła, odnajduje w sobie siłę, by poświęcić wszystko bezinteresownie, jednocześnie konstruuje broń, mogącą przynieść totalne zniszczenie”.

Odrzucając kamuflaż mask i kostiumy nie zwracając uwagi na aluzje zawarte w tej powieści odnajdujemy w niej, po prostu apel o powrót do podstawowych zasad etycznych i ostrzeżenie przed tym zagrożeniem, które człowiek sam na siebie spowodował. W tym się głównie zawiera przesłanie tej powieści. Ona budzi nadzieję, podtrzymuje wiarę w to, że „ako gatunek jako cywilizacja możemy przetrwać, byle tylko nie dać zwyciężyć złu. Po to prawdopodobnie została napisana”.

Leszek Bugajski

ZOSTAĆ, ŻEBY ZROZUMIEĆ

powieści, polskich, których tematem było przewartościowanie historii Jezusa Chrystusa. Ich autorzy próbowali spojrzeć nieco inaczej na opowieści spisane w Nowym Testamencie. Nie idzie mi tu na przykład o cykl Romana Brandstaettera „Jezus z Nazaretu”, który ukazywał się na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, ale o te utwory, które stawiały na nowo problem poświęcenia dla innych, nie mogły uwierzyć w bezinteresowność najszczytniejszego poświęcenia, sprowadzały wszystko do kategorii czysto racjonalnych, kwestionowały boskość Chrystusa. To przewartościowanie natychmiast zwracało uwagę na utwór, przybliżyło cały problem dwudziestowiecznej mentalności doszukiwaną się poza wydarzeniami motywacji raczej spiskowej niż nadprzyrodzonej. Za sprawą tych utworów wrócił też kanon podstawowych wartości etycznych, był różnymi sposobami badany i prześwieclany. Myślę tu o takich utworach, jak „Raport Piłata” Janusza Głowackiego (1973), apokryf „Według Judasza” Henryka Panasa (1973), którego autor zdążył przed śmiercią napisać część drugą, równie kontrowersyjną („Judasza dziennik intymny”, 1985), a także o powieści Adama Wiśniewskiego „Snerga” „Według Iotry” (1978), zaliczanej do science fiction, choć w gruncie rzeczy ma ona bardzo mało wspólnego z literaturą tego typu.

Trudno teraz dociekać czy pomiędzy tymi utworami bądź pomiędzy któryś z nich „Adamem jednym z nas” – powieścią Fiałkowskiego, istnieją jakieś powiązania – nie w tym rzecz. Temat należy do skarbnicy kulturowej naszego kręgu i co jakiś czas ktoś w naturalny sposób sięga do niego tworząc swoją wersję. Zresztą w science fiction przymierzano się już do opowieści o Jezusie choć raczej bez większych sukcesów.

Coż więc zrobił Fiałkowski? Zachował zasadniczy zarys wydarzeń, choć postaci powieściowe noszą inne imiona. Z jednej więc strony nie ukrywał pokrewieństw fabularnych swego utworu z historią życia i śmierci Chrystusa, ale z drugiej przez ową zmianę imion – chciał chyba zasugerować, że odczytywanie jego powieści „poprzez” B bliżej wcale nie jest konieczne,

powieści o Bogu cechy racjonalne. Fantastyka naukowa pozwoliła mu w konwencji realistycznej pokazać to, co z punktu widzenia świadków mogło być uznawane za cechy boskie. Zakładając, oczywiście umownie, że świat przedstawiony fantastyki naukowej jest światem realnym, czy też takim, który może kiedyś zyskać realność. Z tym realizmem z science fiction są nieustanne kłopoty, ale skoro już się w to bawiemy, trzeba wyrazić milczącą zgodę na pewne ryzykowne rozwiązania czy założenia obowiązuje w tego typu literaturze.

W powieści „Adam, jeden z nas” mamy następujące założenia: jakiś obca, wysoko rozwinięta cywilizacja ingeruje w rozwój cywilizacji ziemskiej. Robi to wprawdzie w sposób dość jednostronny, bo niszcząc miasta, kultury, kontynenty, które nie sprawdzają się w rozumieniu norm obowiązujących i przyjętych przez tamtą, „sterując” cywilizację. Z powieści wynika, że na przykład zagłada Atlantydą jest dziełem takich „opiekunów”, tak jak i wiele innych katastrof o mniejszym zasięgu. Ludzkość jest nieświadomym, uczestnikiem eksperymentu cywilizacyjnego. W powieści pojawia się kilku emisariuszy tajemniczych innych, którzy nadzorują rozwój ludzkości. Jeden z nich, przebrany za chamską postać, naucza ludzi, przykrawszy chmę zaprowadzić nowy ład moralny. Ci, którzy mu uwierzą, pójdą z nim mają być uratowani, reszta zginie. Flota gotowa jest do siania spustoszenia, wybrani mają wyjść z miasta. Akcję nadzoruje inny emisariusz, wcielający się w namiestnika Imperatora, a więc niejako najważniejszy urzędnik w mieście.

I tu zaczyna się właściwa opowieść Admisa, ten który miał ludziom pokazać nowy ład moralny, który miał ich nauczyć żyć po nowemu, a w razie sukcesu połowicznego uratować tych, którzy mu uwierzyli, nie wyraża zgody na zniszczenie miasta. Tym samym zakłada przebieg eksperymentu, który polegał również i na tym, że inni co jakiś czas manifestują swoją siłę i władzę, według słów drugiego przedstawiciela innych Adama (namiestnika), odpowiadają w ten sposób na oczekiwania Ziemian: „To oni stworzyli nas takimi, jakimi chcę nas widzieć, z ogniem piorunów, promienowaniem i ogniem. Te efekty tak prymitywne i

Konrad Fiałkowski: „Adam, jeden z nas”. Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1986. Cena 170 zł.

SF NA NOWO

Są przedsięwzięcia, które zyskują rozgłos zanim jeszcze ujrzą światło dzienne. Czasem zdarza się, że nie spełniają pokładanych w nich nadziei i wtedy spotykają się z krytyką znacznie większą, niż gdyby rzecz była wcześniej nikomu nie znana. Do takich właśnie przedsięwzięć należą wszelkiego rodzaju seryjne książkowe, bądź rubryki w prasie mające być w zamierzeniu efektem współpracy profesjonalistów z fanami.

O planowanej serii zeszytowej „Almapressu” i PSMF mówiło się już od dłuższego czasu. Tyleż trzy pierwsze pozycje, które się w niej ukazały mają przed sobą żywot trudniejszy od opublikowanych gdziekolwiek indziej. Muszą bronić nie tylko siebie samych, ale też serii, która w założeniu ma prezentować debiutów. Przypuszczam, że mogą się spotkać albo z głośną akceptacją, albo z równie głośnym potępieniem. Przy tego typu wydawnictwach niemożliwe jest, aby nie wzbudziły w środowisku żadnego odzewu. Może to i lepiej.

Napisalem, że zeszyty „Almapressu” miały prezentować debiutów, stosunkowo jednak długi czas produkcji tomików sprawiło, że dwóch spośród trojga autorów trudno debiutantami nazwać. Uważnym czytelnikom znani są z publikacji prasowych jeszcze przed książkowym debiutem, dorobili się pierwszych laurów Krzysztof Kochanski nagrody „Młodego Technika” i grupy TRUST, a najlepszy debiut 1984 roku oraz wyróżnienia „Fantastyki” za „Zabójcę czarownic”, a Grzegorz Drukarczyk nagrody „Fantastyki” za brawurowy debiut w 1985 roku oraz pierwszego miejsca w przeprowadzonym na „Polconie” plebiscycie na najlepsze opowiadanie roku 1985 (oba wyróżnienia za „Reguły przetrwania”). Kochanski zresztą przedstawia w swoim zbiorze teksty już znane (publikowane wcześniej w prasie) i canone. Wszystkie cztery są przykładem rzetelnej pisarskiej pracy i doskonałego opowiadania rzemiosła. Prowadzeniem akcji, słopniową napięciem i umiędziocą operowania nastrojem zapęcza Kochanski wiek polskich autorów SF w korytarzu. A przy tym z właściwym sobie wyczuciem unika pisanie sprawnych czytel-

każdy jego tekst niesie bowiem ze sobą jakąś głębszą refleksję, czy celnie postawione pytanie co do losów człowieka i jego miejsca w świecie. Nie daje się przy tym wmanewrować w natrętny dydaktyzm i dosłowność. Niektórzy czytelnicy nie dostrzegają, być może głębszych podtekstów jego utworów, a mimo wszystko opowiadania te nie stracają dla nich na atrakcyjności. Wszystko to sprawia, że właśnie w Kochanskim upatrzywałbym jak na razie czołowego autora młodego pokolenia.

Drukarczykowi należy zapisać na plus różnorodność tekstów zawartych w „Regule baśniowego mroku”. Jest to zbiór autora wciąż jeszcze poszukującego swej drogi, niezdeterminowanego w którą stronę podążyć; czy ku stylizacji „Baśni o dzielnym Gregu”, czy ku klasycznemu, amerykańskiemu stylowi „Reguły przetrwania”, czy wręcz ku zagęszczeniu i skomplikowaniu języka widocznemu w najsłabszym chyba opowiadaniu zbioru „Ciemność rozjaśni twoją duszę”. Osobiście najchętniej widziałbym Drukarczyka jako autora tekstów zwięzłych, sprawnie prowadzonych i napisanych precyzyjnym stylem, takich jak „Reguła przetrwania”, trudno jednak przewidzieć, czy będzie mu to odpowiadać. Jego opowiadania bronią się dobrze, zarówno pod względem formalnym, jak i zawartości myślowej, ma też Drukarczyk sporą sprawność w operowaniu słowem, choć zdarza mu się czasem obciążać czytelnika nadmiarem przymiotników wpochniętych w długie, wielokrotnie składane zdania. Nie sprzyja to porozumieniu autora z odbiorcą.

W zupełnie innym stylu utrzymane są opowiadania Katarzyny Urbanowicz – bardziej subtelne, łagodniejsze w środkach wyrazu, nastrojowe i wymagające od czytelnika pewnego rozmakowania w tym typie literatury. Fabuła nie jest tutaj sprawą główną, brak w tych opowiadaniach napięcia i dynamicznej narracji. Opisy są raczej sł-

yczne, a dialogi spokojne i złożone z pełnych, „uładzonych” zdań. Najistotniejszy dla tych opowiadań jest ich specyficzny nastrój, melancholijna zaduma nad sprawami, nad którymi na co dzień przechodzimy obojętnie. Jest to chyba dość charakterystyczne dla tworzących fantastykę kobiet. Katarzyna Urbanowicz pisze obrazami, rozsmakowuje się w szczegółach, porafiąc przy tym przekazać trochę niezbyt wesołych refleksji o naszym życiu. Czytelnikowi, który nie szuka w SF fabuły, mogą jej teksty sprawić dużą satysfakcję. Dobrze się stało, że ta nieznana dotąd, nie publikująca w prasie autorka została przedstawiona szerszej publiczności, choć obawiam się, że uprawiany przez nią typ literatury cieszy się wśród miłośników SF znacznie mniejszą popularnością, niż fantastyka oparta na wzorach powieści sensacyjnej.

Wszystkie trzy zeszyty wypadają zatem za udane, nowa seria zapowiada się zatem interesująco. Tym bardziej że przemawia za nią nie tylko wysoki poziom publikowanych tekstów, ale także dobre opracowanie, niezła grafika i estetyczne okładki. Przydałoby się może tylko zamieszczać w zeszytach spis treści i ujednolicić typografię i okładki. No i cena (100 zł) jest jak na objętość i materiały pressowskich zeszytów raczej wygórowana. Cóż, przyszły złe czasy dla miłośników książek.

Pozostaje mieć nadzieję, że seria „Almapressu” nie ubrzni w przyszłość, lotów ma bowiem wszelkie dane ku temu, aby zadowolić nawet najwybredniejszych miłośników fantastyki i w ogóle dobrej literatury.

Rafał A. Ziemkiewicz

Krzysztof Kochanski: *Zabójca czarownic*. Grzegorz Drukarczyk: *Reguła baśniowego mroku*. Katarzyna Urbanowicz: *Plama na wodzie*. Almapress, Warszawa 1986. Cena każdego zeszytu: 100 zł.

WIZJONER

Mimo niepowodzenia powieści „2010 – Odyseja” druga i spektakularnej klęski nakręconego na jej podstawie filmu, Arthurowi C. Clarkeowi nie grozi zapomnienie na dobroczynnym wygnaniu w Sielance. Przemija wprawdzie moda na „klasyczną fantastykę naukową”, maleje popularność najwyższych jej twórców, lecz pasja literacka nie jest jedyną, na jaką cierpi autor. „Odyseja” Nowodem na to, 1984 „Spring A Choice of Futures” (1984 „Wiosna. Wybór przyszłości”) dwudziesta szósta (!) jeśli dobrze liczyć, nieślabująca pozycja w bogatym dorobku literatologicznym i eseistycznym brytyjskiego pisarza. I, zapewne, nie ostatnia.

„1984 – Wiosna.” to zbiór tekstów o różnej proveniencji: esejów, przemówień i „wystąpień” na różnego rodzaju spotkaniach i konferencjach. Były one publikowane wcześniej, w pismach tak różnych jak „Analog”, „Science Fiction/Science Fact”, „Omni”, „Time Magazine” i „National Geographic Magazine”. Zgrupowano je w książce w czterech rozdziałach, zatyłowanych kolejno: „The Weapons of Peace” (Bronie pokoju), „Apollo and After” (Apollo i dalej), „The Literary Scene” (Scena literacka), „From the Coast of Coral” (Z koralowych wybrzozy). Każdy z nich odpowiada jednemu dobrze znanemu kręgowi zainteresowań Clarke’a. Osobne rozpatrywanie kwestii łączności i komunikacji (ich rozwój ma być właśnie bronią pokoju), eksploracji kosmosu i fascynacji skarbami oceanu może jednak mylić. Problematyka najnowsze książki Clarke’a da się o-

piścić prościej, przynajmniej z punktu widzenia czytelnika. „1984 – Wiosna” mówi po prostu o człowieku i perspektywach naszej cywilizacji.

Jej stosunek do techniki to najwzajemniejszy i interesujący. Clarke a problemowi, składający się w istocie z dwóch ściśle powiązanych ze sobą zagadnień. Pierwsze z nich dotyczy relacji między ludzkością a techniką „ziemską”. Do strzegąc (jak wielu) możliwość samozagłady cywilizacji, Clarke nie traktuje jej jako alternatywy, nad którą warto byłoby dyskutować. Próbuje skupić całą swą uwagę na tym, co mogłoby uchronić nas przed samobójstwem. Obracając się w sferze nauki, przedstawia szansę ocalenia najzupełniej naukowa, polegająca na ciągłej rewolucji (tak to właśnie nazywa, „steady revolution”) środków komunikowania. Na naszych oczach rozpoczęła ją konstrukcja tranzystorowego radia – zakończenie zna tylko science fiction. Rewolucja komunikacyjna, oprócz możliwości nieograniczonego niemal kulturowego rozwoju ludzkości daje nam do ręki potężną broń. „W Sielance radioamatorzy z całkiem prostym sprzętem odbierali obrazy doskonałej jakości z potężnych satelitów radzieckich EKRAN” – pisze Arthur Clarke. „Dzięki nim mogliśmy oglądać Igrzyska Olimpijskie w Moskwie”.

Człowiek a technika „kosmiczna” to drugie równie ważne ogniwo rozumowania Clarke’a. Zgodnie z „obowiązującymi obecnie” prawami fizyki, autor świadomie ogranicza aktywność człowieka w kosmosie do planety Układu Słonecznego.

go. Konieczność ekspansji jest, jednak dla niego bezdyskusyjna i to zarówno ze względów cywilizacyjnych (ludzkość nie zniesie stagnacji), jak i ekonomicznych. Clarke wysmiewa eksperów, którzy leją gorzkie łzy nad „milionami wsiadzionymi w rakiety i wysyłanymi w przestrzeń”. Sposobem redukcji wydatków byłaby „winda do nieba” – najprostsza i najtańsza forma dostarczania ładunków na satelity poruszające się po orbitach stacjonarnych. Niemożliwe? Przecież ludzkość łatwo rozwiązuje problemy wyłącznie techniczne natury.

Clarke a wiele różni od poprzedników, zwłaszcza katastroficznych „proroków”. Potrafi propagować rozwój techniki, broniąc jednocześnie czystości i piękna jednego z największych skarbów ludzkości – oceanu. Nie proponując rozwiązań drastycznych w swej skrajności, znajduje szansę dla ludzi, dokonując równie oryginalnej co odważnej interpretacji rzeczywistości, której wszyscy jesteśmy świadkami. I nie jest chyba przypadkiem, że rozdział „Scena literacka” pozostaje na marginesie głównego nurtu zainteresowań A. Clarke’a, mimo że mówi dosyć dużo o fascynujących pisarza (mim. twórczością nie znanego w Polsce zupełnie Orla Stapeltona). „1984 Wiosna” nie opowiada jednak o samym Clarke’u – dotyczy spraw bardziej uniwersalnych. Jej najlepszym podsumowaniem może być notka edytorska na okładce: „Przeciw urwielowiskiemu dacie 1984 Arthur C. Clarke wybrał porę nadziei – wiosnę...”

Krzysztof Sokołowski

Arthur C. Clarke: 1984 „Spring A Choice of Futures”. London 1984.

Przed dziesięcioma laty ogłosiłem w „Dookoła świata” felieton pod tytułem „Ewa z Adama czy Adam z Ewy?” (znalazł się on później w zbiorze „Biologia zmienia człowieka”). Chodziło w nim o biblijną relację dotyczącą kolejności pojawienia się na świecie pierwszej pary ludzkiej. Otóż, jak pisałem, znana wersja ze Starego Testamentu została zdementowana przez badacza francuskiego, profesora Josta.

Jost przypomniał, że gonady, czyli gruczoły płciowe nie są do szóstego – siódmego tygodnia życia płodowego na tyle zróżnicowane, by można było przewidzieć, czy z zarodka tego rozwinie się osobnik płci męskiej czy żeńskiej. Gonady są u zarodka potencjalnie dwupłciowe. Uczony francuski stwierdził, że u zarodka krowy, któremu usunięto gruczoły płciowe rozwinęły się niektóre wewnętrzne narządy żeńskie, mimo iż chromosomowo był to zarodek płci męskiej (to znaczy, że w parze chromosomów płciowych jego komórek znajdował się chromosom Y). Kiedy zaś profesor Jost tej samej operacji dokonał na zarodku krowy genetycznie żeńskiego (w parze chromosomów płciowych dwa chromosomy X) to mimo braku jajników u zarodka rozwinęły się narządy płciowe żeńskie zewnętrzne.

Jost wyciągnął z tego wniosek, że do wykształcenia się narządów płciowych żeńskich wcale nie jest niezbędne przekształcenie się gonady w jajnik. Natomiast przekształcenie się gonady w jądro jest konieczne, by u zarodka rozwinęły się narządy płciowe męskie. Inaczej mówiąc gonada rozwinięta w męskie jądro uniemożliwia rozwój organizmu żeńskiego. Do tego czasu uważano powszechnie, że rozwój płci zarodka jest uwarunkowany tylko tym, czy jajo było zapłodnione przez plemnik z chromosomem płciowym Y czy X. W zależności od tego centralna część gonady rozwijała się w jądro przy alicoli części korowej albo część korowa gonady przekształcała się w jajnik powodując zanik warstwy centralnej.

Profesor Jost uznał za mało istotny podział gonad na część korową i na część centralną. Okazało się, że u zarodka płci męskiej narządy płciowe rozwijają się znacznie wcześniej niż u zarodka płci żeńskiej. Wynika to, zdaniem uczonego francuskiego, z faktu zahamowania normalnego rozwoju gonady przez jakiś czynnik, prawdopodobnie natury hormonalnej, kodowany przez gen znajdujący się w chromosomie Y.

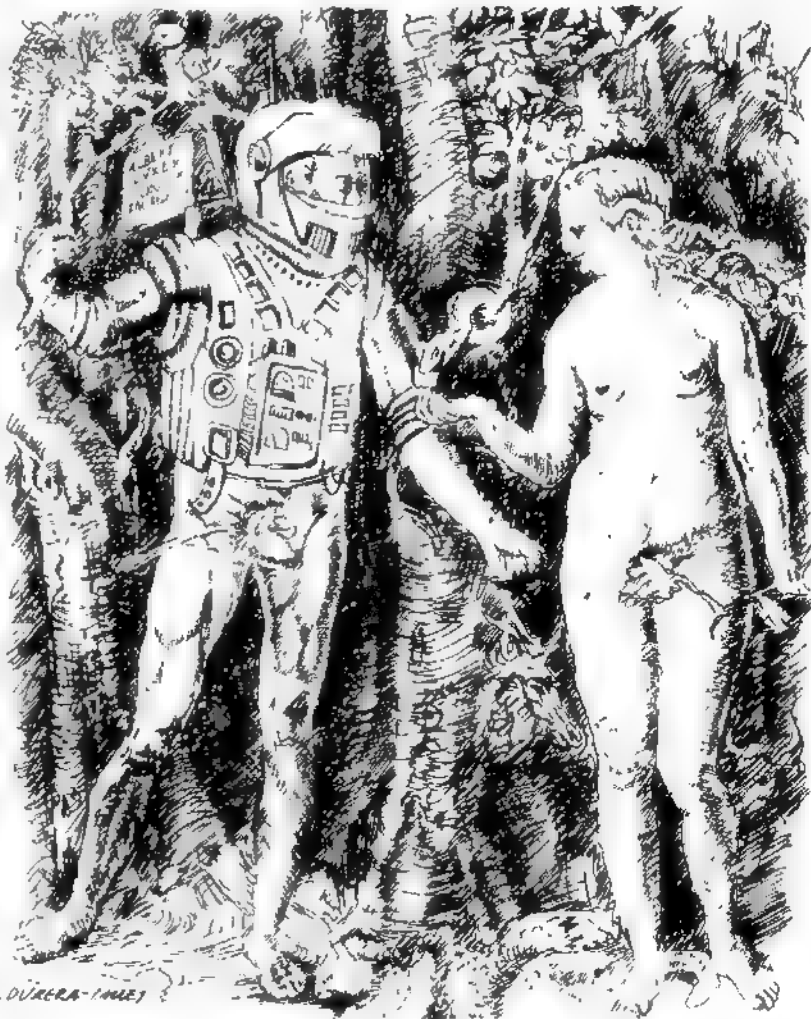
Uczony francuski twierdzi dalej, że na wszystkich stopniach rozwoju życia, a zwłaszcza na tym na którym powstają gonady, cały program rozwoju organizmu przewiduje zawsze powstanie osobnika płci żeńskiej i tendencja ta zwyciężałaby zawsze, gdyby nie ów chromosom Y.

O ile mi wiadomo hipoteza profesora Josta nie została powszechnie zaakceptowana, a ów czynnik hamujący rozwój gonad w kierunku męskim nie został dotychczas wyodrębniony. Teoria nie została więc dotychczas potwierdzona od strony hormonalnej, czyli biochemicznej. Otrzymała natomiast ostatnio potwierdzenie od strony biologii molekularnej.

Jak podaje miesięcznik francuski „Science et vie” (nr 825), światowej sławy uczyony Allen C. Wilson, profesor biochemii na uniwersytecie Berkeley doszedł do podobnej co profesor Jost odpowiedzi na pytanie kto był pierwszy – Ewa czy Adam? Uznał mianowicie, że wszyscy przedstawiciele naszego gatunku są potomkami kobiety, która żyła ok. 200 000 lat temu w Afryce. Profesor Wilson oparł swoje przypuszczenia na podstawie długich zmudnych badań materiału genetycznego znajdującego się w mitochondriach (Mito-

Z CYKLU NIEWIARYGODNE
HIPOTEZY (GŁOS CZWARTY – CZYLI: JAK TO BYŁO NAPRAWDĘ?)

RYS. WŁ. A. DUKERA (1982)



Marek Krzyżosiński

TRÓJGŁOS W SPRAWIE PRABABKI EWY

Arnold Mostowicz

chondria są to znajdujące się w cytoplazmie istot żywych organelle, będące dla komórek czymś w rodzaju central energetycznych).

Uważa się dzisiaj powszechnie, że pojawienie się mitochondriów w cytoplazmie nastąpiło około dwóch miliardów lat temu. Co więcej, przypuszcza się, że mitochondria były pierwotnie samodzielnymi, niewielkimi rozmiarów bakteriami, które zostały wchłonięte przez komórki znacznie większe i zachowały w łonie tych komórek pewnego rodzaju autonomię. To wchłonięcie (inaczej endosymbioza) okazało się korzystne, dzięki temu bowiem komórka zdobyła zdolność wykorzystania tlenu atmosferycznego.

Mitochondria mają wygląd ziarenek grochu, wielkości od 2 do 6 mikrometrów (tysięcznych części milimetra), a ich liczba w komórce zależy od jej zapotrzebowania energetycznego. W przeciwieństwie do innych organeli komórkowych mitochondria mają swój własny materiał genetyczny, niezależny od materiału genetycznego jąder komórkowych. Jest on zresztą dosyć ubogi. U człowieka nie przekracza 16–17 tysięcy par nukleotydów. Jak na każdy fragment DNA przystało, również ten w mitochondriach koduje prawdopodobnie produkcję pewnych enzymów – w tym wypadku niezbędnych do katalizowania reakcji energetycznych.

Przypuszcza się na ogół, że z całości materiału genetycznego bakterii wchłoniętych przez większe komórki, część nukleotydów w ciągu tych paru miliardów lat została w organizmach bar dziej skomplikowanych przetransportowana do jądra komórkowego, co z jednej strony zmieniło podobieństwo dziedziczne komórek, a mitochondriom odebrało, jeśli można się tak wyrazić, pełną samodzielność.

Tym to bagażem genetycznym mitochondrii zainteresował się uczyony uznając za stanowisko najepeszniejszy trop umożliwiający odtworzenie historii rozwoju biogenetycznego (to znaczy gatunkowego) różnych organizmów wielokomórkowych.

Odtworzenie historii gatunku, na podstawie DNA mitochondrialnego jest możliwe przede wszystkim dlatego, że w zależności od różnych odmian, na przykład ssaków (myszy) czy owadów (muszki owocowej) istnieją w owym mitochondrialnym DNA dające się wyraźnie zaobserwować różnice. Jeśli idzie o człowieka stwierdzono, że ono około czterdziestu odmian DNA znajdującego się w mitochondriach. Dodajmy przy tym od razu, że są to różnice tak zwane ciche, nie mające w zasadzie żadnego genetycznego wpływu na organizm. Poszczególne odmiany czy typy tego DNA przenoszą się z pokolenia na pokolenie wyłącznie dzięki dziedziczności żeńskiej, to znaczy przez matkę.

Wspomniany profesor Wilson zebrał mitochondria z komórek 147 żyzek z całego świata, żyzek pochodzących od kobiet zarówno ze wschodu naszej planety, jak i zachodu, północy i południa. Na podstawie tej niezwykłej kolekcji skatalogował on wszystkie geny tworzące DNA mitochondrialne, jak też oznaczył różnice między poszczególnymi grupami nukleotydów mitochondrialnych. Następnie obliczył statystycznie czas, który mógł upłynąć, aby po awarii się owe zmiany w genomie mitochondrialnym począwszy od jakiejś hipotetycznej mitochondrii protoplazmiki.

Metoda ta, bardzo podobna do zrelacjonowana, nie pozwala, rzecz jasna, na ustalenie jakichś dat bardziej dokładnych. W każdym razie jak stwierdza „Science et vie”, badanie zmian w

15 miliardów lat temu COŚ SIĘ STAŁO (może zresztą było to 10 mld, może 20 mld lat temu, dokładnie nie wiadomo) - i oto „z niczego” zaczął nagle z nieprawdopodobną szybkością rosnąć dziwny pecherz, z nim zaś pojawiła się znana nam materia, a także przestrzeń i czas... Tak właśnie, wedle teorii Wielkiego Wybuchu, teorii powszechnie przyjętej i udokumentowanej na tyle, że nazwano ją „standardową” - powstał Wszechświat. Może zresztą powstało wówczas wiele wszechświatów, ale o innych nic nie wiemy poza tym, że po prostu mogą istnieć.

Zwykłe w noworocznych numerach różnych czasopism snuje się przewidywania: co przyniesie najbliższa przyszłość? Wiele i ja spróbuję zastanowić się na przyszłości, ale jak przyszła na „Fantastykę” nad przyszłością najdalszą, ostateczną. Tak więc nasze pytanie brzmi: co może stać się z owym powstałym 15 mld lat temu pecherzem, jaki będzie koniec Wszechświata?

Z tamtej strony iustra

KONIEC WSZECHŚWIATA?

Maciej Łowiecki

Wśród wielu różnych „konców”, którymi straszą nas futurologowie i przepowiadacze przyszłości, ten przynajmniej koniec - chociaż byłby to koniec WSZYSTKIEGO - zupełnie nas nie wzrusza. Jakikolwiek by bowiem był - a przekonamy się zaraz, że nie tylko może być różny, ale nawet może nie nastąpić w ogóle - sprawa dotyczy czasów tak odległych, że naprawdę koniec Wszechświata nie ma dla nas ani dla następnych pokoleń żadnego znaczenia. Jest to jednak problem poznawczy niesłychanie ciekawy i to już w zupełności wystarczy, by poświęcić mu nieco uwagi.

Wedle stanu dzisiejszej wiedzy na początku był zatem Wielki Wybuch, ale nie pytamy CO wybuchło, ani DLACZEGO wybuchło, ponieważ — powtórzę — wszystko, co znamy, ściśnięte w przestrzenią i czasem, pojawiło się właśnie wtedy. Była to — powiedzą nam kosmologowie — „chwila osobliwa” (trzeba przyznać, że najosobliwsza z możliwych!) i „niesensowna” (to znaczy nienaukowe) jest pytanie zarówno o przyczynę wybuchu, jak i o to, co było przedtem, skoro wtedy miał się zacząć czas. Nie wiem, czy można to w ogóle zrozumieć, można tylko pogodzić się z koncepcją, którą większość najlepszych znawców przedmiotu przyjmie za racjonalną.

Pojęcie „wybuchu” sugeruje, iż nastąpił on w jakimś miejscu, ale nie łudźmy się, że przynajmniej tutaj natrafimy na coś zrozu-
madego. Eksplozji nie można przypisać
żadnego miejsca, bo i samo „miejsce” – tj.
przestrzeń – powstała w chwili osobistej
zanim zaś to nastąpiło, nie było niczego
wokół punktu eksplodującego. Kolejny
pytanie niepokości – bo przecież nie może
my sobie wyobrazić takiej „niczności”, dla
naszych umysłów NIC jest pustą przestrze-
nią. No dobrze, ale przestrzeni jeszcze wło-
dy nie było.

Całe szczęście, że już dalszą historię tego świata, powstałego „z niczego”, można i przeszedź i zrozumieć (O nowych hipotezach, wedle których świat nam znany wytonił się z czegoś w rodzaju „brzemiennej próżni” — innym razem.) Fizyka teoretyczna — kosmologia pozwalają poznać historię naszego Wszechświata poczynając mniej więcej od 10⁻⁴³ części sekundy po chwili zero — w którejś historia w ogóle się zaczęła. 10⁻⁴³ sekundy jest „mikrościsła” (czas) tak mała że staje się dla brytyjskiego fizyka równie niewyobrażalna jak wielkość albo potęga czasu dla —

stwierdzenie, że ów tajemniczy „pęcherz”, który wtedy zaczął rosnąć, rośnie nadal. Inaczej mówiąc, Wszechświat jakby stale znajduje się w stanie eksplozji, przestrzeń stale się rozszerza. Zjawisko, zwane „ucieczką galaktyki”, czyli fakt, że wszystkie galaktyki, zbiorowiska kosmicznych obiektów, oddalają się wzajemnie od siebie, uzasadnił amerykański astronom Edwin Hubble i zapoczątkowało to nową erę w kosmologii. Słowo „wzajemnie” ma tu zresztą zasadnicze znaczenie, że powołam się na często używaną przenośnię, galaktyki oddalają się od siebie tak, jak na przykład kropki na powierzchni nadymanego balonu, albo rodzynek w rosnącym „na drzewach” ciście.

Odż w 1929 r. ukazał się słynny artykuł Hubble'a, w którym uczony wykazał, że widmo światła dalekich galaktyk wykazuje tzw. przesunięcie ku czerwieni. Jest to – wodło powszechnie przyjętej interpretacji – spowodowane tzw. zjawiskiem Dopplera (jeśli źródło łał, w tym wypadku światłej, jej obserwator poruszają się względem siebie, obserwator dostrzega zmianę częstotliwości tej łał). Przesunięcie ku czerwieni, albo „poczerwienienie” światła dalekich galaktyk jest więc zjawiskiem analogicznym do na przykład obniżania się tonu gwizdka parowozu oddalającego się po ciągu. Przesunięcie ku czerwieni – jeśli powyższa interpretacja jest prawdziwa, a w, daje się, że tak – oznacza więc rozbieganie się galaktyk, oznacza, iż Wszechświat się nadal rozszerza. Owa „ucieczka galaktyk” jest zarazem tym szybsza, im znajdują się one dalej od siebie. Można to określić tak: odległość pomiędzy dwiema niezależnymi galaktykami rośnie z prędkością, zależną od ich odległości. W obecnym więc stanie Wszechświata nieustannie i coraz szybciej powiększa się obszar galaktycznej pustki! Dla obserwatora w naszej Galaktyce, w Drodze Mlecznej, czyli po prostu dla nas, mieszkających na Ziemi, pozostałe dostrzegalne galaktyki uciekają z szybkością rosnącą ok. 17 kilometrów na sekundę co każdy milion lat świetlnych odległości (nowe dokładniejsze wyliczenia mogą tę liczbę zmienić ale nie zmieniają sfoty rzeczy). Najdalej, najbardziej odległe galaktyki osiągają prędkość ucieczki bliską prędkości światła. Według się i trudno do pojęcia ale w kosmologii niewiele jest spraw łatwiej do pojęcia. W każdym razie najdalej znany dziś obiekt, kwazar oznaczony przez 2000 300 ma prędkość ucieczki bliską prędkości światła.

loną prędkością 270 tysięcy kilometrów na sekundę (co stanowi ok. 92% prędkości światła)! Oznacza to, że ow kwazar oddalony jest od Ziemi o ponad 6 miliardów lat świetlnych (kto potrafi, niechże sobie wyobrazi taką odległość), a jego światło, które teraz spostrzegamy, musiało zostać wysłane zaraz po Wielkim Wybuchu. Kwazar ten może już dawno nie istnieć, ale może być widoczny jeszcze przez miliony lat

Dla porównania: Ziemia krąży wokół Słońca z prędkością 30 kilometrów na sekundę (co czyni 108 tys. km na godzinę), zaś cały Układ Słoneczny mknie wokół środka Drogi Mlecznej z prędkością około 250 kilometrów na sekundę. Są to dla nas prędkości przeogromne, co jednak znacząco wobec pędu galaktyki i kwazarów!

Zwróćmy uwagę na rzecz bardzo istotną: galaktyki oddalają się pomimo siły powszechnego ciążenia, która „ciągnie” je ku sobie z powrotem. Można wobec tego zadać kolejne pytanie: czy galaktyki będą się nadal nieskończenie oddalać, czy też siła grawitacji przeważy w końcu energię, uzyskaną w Wielkim Wybuchu i kiedyś zacznie się proces odwrrotny – „ściąganie” galaktyk do siebie? W pierwszym wypadku, to znaczy przy energii dostatecznej, by wywalczyć się więzom grawitacji, rozszerzanie się Wszechświata nie ustanie i możemy uważać, iż zamieszkujemy Wszechświat otwarty i wечно ekspandujący, nieskończenie wielki. W drugim wypadku, jeśli energia pędzących galaktyk nie wystarczy, by przezwyciężyć grawitację, w jakimś momencie sytuacja się odwróci i galaktyki, zaczną jakby „wracać”, ciągnąć ku sobie w końcu cały Wszechświat (razem z czasem i przestrzenią – tak!) zapadnie się w siebie, wróci do punktu wyjścia. Jeśli by tak było, oznaczałoby to, iż zamieszkujemy Wszechświat zamknięty, który w końcu zacznie maleć – aż znajdzie do zera, powróci do nicości.

Od czego zależy spełnienie się któregoś z tych ewentualności? Oczywiście od siły z jaką przyciągają się galaktyki: czyli od grawitacji. Zaś grawitacja zależy od ilości materii (czyli od jej średniej gęstości) w Wszechświecie. Można więc teoretycznie, jaka jest owa gęstość granic zna materii i takie wyliczenie zrobiono, wedle dzisiejszego stanu wiedzy gęstość krytyczna wynosi około 10^{-29} grama na centymetr sześcienny, co oznacza mniej więcej 10 atomów na metr sześcienny. Jeśli zatem gęstość materii we Wszechświecie jest większa od krytycznej, Wszechświat za kilka miliardów lat musi zacząć się kurczyć i zapadać w sobie „nic” zacznie się stawać coraz barziej jasne i gorące, Słońce wybuchnie, my zaś po prostu uśmierzemy się wyparujemy w potwornym gorącu i ciśnieniu. Jeśli oczywiście jakkolwiek życie przetrwa jeszcze 10^9 lat, bo tyle mniej więcej czasu pozostałoby w zamkniętym Wszechświecie.

Jesli jednak gęstość materii jest choćby trochę większa od krytycznej, gałkiyli nie przestaną oddalać się od siebie, w miarę oddalania wszystko będzie się ochładzało, by w końcu stworzyć w polwornym mrozie. Koniec równie przynęmy jak poprzednio: nie boga, oszczędź późniejszy.

[illegible]

dozą prawdopodobieństwa obliczyć, ile w końcu atomów materii przypada na metr kubiczny przestrzeni, czyli jaka jest rzeczywista średnia gęstość materii we Wszechświecie. Wprawdzie wciąż istnieje niepewność co do zasadności takich wyliczeń, zatem dopuszczalny jest zarówno Wszechświat zamknięty, jak otwarty. Ale dziś większość astrofizyków skłania się ku przekonaniu, że średnia gęstość materii we Wszechświecie jest niższa od krytycznej (potwierdzają to różne obliczenia) i wynosi prawdopodobnie tylko 3 atomy na metr sześcienny. Mniejsza o to, jakimi metodami uzyskano taki wynik, najważniejsze, iż wskazuje on otwartość Wszechświata, który zatem będzie rozszerzał się aż do... Właśnie do czego? Co stanie się dalej?

Otóż – znowu z koniecznym zastrzeżeniem, iż jest to pogląd zgodny z obecnym stanem wiedzy i że wobec tego może się zmienić – czeka nas 6 zasadniczych przemian. Słowo „nas” oczywiście na wyrost, galunek ludzki chyba nie przetrwa wygaśnięcia Słońca, a zgasnie ono już w początkach I etapu, mniej więcej za 10 miliardów lat... Mamy jeszcze przecież trochę czasu.

Tak więc I etap będzie czasem śmierci gwiazd. Po wypaleniu większości swego wodorowego paliwa gwiazdy „spuchną”, zmienią się w wielkie czerwone olbrzymy i wówczas powstały z wodoru hel zacznie spalać się na węgiel i cięższe pierwiastki – aż do żelaza. Gwiazda żelazna jest gwiazdą martwą – i właśnie ostatnie gwiazdy zgasną, kiedy Wszechświat będzie sobie liczył co najmniej... 10 bilionów lat. Ale pozostaną jeszcze planety.

I właśnie w II etapie martwe gwiazdy ułrąca swoje planety. nastąpi to po upływie 10^{17} lat od Wielkiego Wybuchu. Planety też zresztą będą martwe, zestalone w bryły lodu od dawna, nie będzie przecież słońc, które mogłyby je rozgrzewać.

W III etapie nastąpi tzw. parowanie galaktyczne, to jest ucieczka z galaktyk martwych gwiazd, planet, gazów międzygwiazdowych i pyłów w przestrzeń międzygalaktyczną. W czasie, kiedy już około 90% materii opuści galaktykę, reszta wciągnięta zostanie siłą grawitacji do jej środka. W środku galaktyk znajdują się (tak się przypuszcza dziś) superczarne dziury, jeśli zaś ich tam nie ma, powstaną właśnie wtedy – nastąpi zapadnięcie się galaktyk. Czarna dziura jest, jak wiadomo, obiektem we Wszechświecie najdziwniejszym, teraz można tylko przypuszczać, że jest miejscem, którego nic nie może opuścić, jeśli cokolwiek się tam dostanie. Być może jest to rodzaj przejścia do innego Wszechświata... W każdym razie już po krótkim – w tej skali – czasie, bo po 10^{18} latach od Wielkiego Wybuchu, wszystkie galaktyki „wyparują” i „zapadną się” we własne czarne dziury.

Etap IV zależeć będzie od tego, czy proton – uważany dotąd za cząstkę trwałą – ulega jednak rozpadowi. Pewne zjawiska zdają się wskazywać, że tak, wynika to również z teorii tzw. wielkich unifikacji. Proton żyje przecież niewyobrażalnie długo – według dzisiejszych obliczeń około 10^{30} lat! Dopiero więc po takim czasie nastąpi ostateczny rozpad martwych gwiazd, tych które „wyparowały” z galaktyk, uniknęły przechwycenia przez czarne dziury i błądzą nadal w nieskończonych przestrzeniach. Rozpad protonów wywoła różne zjawiska, których tu już opisywać nie będę, w każdym razie po przeminięciu 10^{32} lat we Wszechświecie pozostanie już tylko bardzo rzadka

mieszanka elektronów, pozytonów, fotonów, neutronów i – oczywiście – pozostająca też wielkie, tajemnicze czarne dziury. 10^{32} lat to czas jeszcze 100 razy dłuższy od trwania protonu! Ale i ten czas jest jakby „mgniemieniem oka” wobec etapu V, który trwać ma do 10^{100} lat (licząc od Wielkiego Wybuchu – czas V etapu jest więc dłuższy od wszystkiego, co zdarzyło się dotąd o 10^{88} ! Kto ma energię, niech oblicza, ale są to i tak wszystko „trwania” bliskie wieczności, a na pewno dla naszych umysłów niepojęte).

Etap V jest więc okresem stosunkowo spokojnym – tylko przez niewyobrażalnie długi czas cząstki elementarne tracą energię i wciąż rozrzedzają się w nieskończonej przestrzeni, odbiegają wzajem od siebie.

Czarne dziury zaś także zanikają pod wpływem procesu, zwanego „kwantowym parowaniem” (taką możliwość wykazał w 1974 r. słynny kosmolog S. W. Hawking z Cambridge w Anglii). Właśnie więc mniej więcej po 10^{100} latach od Wielkiego Wybuchu – przy założeniu, że nasz Wszechświat jest otwarty – znikną ostatnie czarne dziury i pozostaną tylko – wciąż tracące energię – pewne cząstki elementarne. Co będzie dalej? Niektórzy twierdzą, że absolutny bezruch, zamrożenie, ostateczna śmierć Wszechświata.

Jeśli Wszechświat jest zamknięty, może być również cykliczny: rozszerzanie się do pewnych granic, potem kurczenie, kolejny Wybuch i znów rozszerzanie, znów kurczenie i tak dalej. W każdym cyklu odtworzyłyby się obiekty kosmiczne i z nimi – być może – życie. Model cykliczny zamkniętego Wszechświata jest zapewne bardziej dla ludzkiego umysłu „do pojęcia”, niż Wszechświat, który rodzi się z „niczego” i po niezmiennie długim, ale przecież skończonym czasie starzeje się i zamiera. Bo ja wiem zresztą, co jest bardziej „do zrozumienia”?

Na razie wiele wskazuje na to, że Wszechświat jest otwarty i że „wygaśnię”.

Wśród tych wszystkich nieprawdopodobnych dziwności, o których była mowa, może najbardziej dziwne jest to, że kruchy ludzki umysł ośmiela się twierdzić, iż przetrwa śmierć gwiazd i zmieni losy Wszechświata. Tak bowiem sądzi znakomity kosmolog i fizyk z Princeton – Freeman J. Dyson. Powiada on, ni mniej ni więcej, że rozumne życie może sterować fizyczną ewolucją Kosmosu i że wobec tego przetrwa ono nieskończenie długo! Po wygaśnięciu gwiazd może wykorzystywać inne źródła energii, w odpowiednim zaś momencie może „opuścić ciała z mięsa i krwi”. Dyson ma na myśli, że życie nie jest związane wyłącznie z białkiem i „ma możliwość wcielenia się w toku ewolucji w dowolną substancję, najlepiej pasującą do jego celów”. Zdaniem Dysona życie mogłoby więc istnieć w postaci na przykład obdarzonych świadomością „czarnych chmur”. Ci, którzy czytali wydaną u nas książkę kosmologa Freda Hoyle’a („Czarna Chmura”, Wyd. Lit. 1981), będą wiedzieli o co chodzi, choć znakomity uczony traktował swoją historię SF jako dobrą zabawę. Ale może w końcu ma to jakieś znaczenie, że dwa tak wybitne umysły naukowe (Hoyle i Dyson) nie wykluczają teoretycznie możliwości życia opartego na strukturze niebiałkowej?

Wracam do koncepcji Dysona – otóż twierdzi on dalej, że najbardziej niekorzystne okresy ewolucji Wszechświata życie mogłoby przetrwać w stanie świadomości uzyskanej anabiozy, hibernacji, fazy nieak-

tywnej. Najlepiej powołam się na słowa samego Dysona: „[w swych badaniach] znalazłem Wszechświat, którego bogactwo i złożoność rosną nieograniczenie, Wszechświat, w którym życie ma trwać wiecznie i poprzez niewyobrażalne obszary przestrzeni i czasu informować o swym istnieniu sąsiadów. (...) Niezależnie od tego czy szczegóły moich rachunków okażą się poprawne, czy też nie, wydaje mi się, że wykazałem, iż istnieją poważne przyczyny naukowe, by traktować serio możliwość, że rozumne życie będzie w stanie dopasować ten nasz Wszechświat do swoich własnych celów”.

Tak, to rzeczywiście chyba najdziwniejsza i najbardziej odważna konkluzja, jaką można zakończyć rozważania o końcu Wszechświata.



Feniks



W numerze sierpniowym (1986 r.) „Fantastyki” pisałem o trudnościach, jakie przeżywał kwartalnik literacko-krytyczny PSMF „Feniks”, obiecując jednocześnie poprawę i regularne ukazywanie się kolejnych numerów. Mój optymizm okazał się uzasadniony. W chwili gdy piszę te słowa (połowa listopada 1986 r.) wyszedł już z drukarni siódmy numer „Feniksa”, a następne dwa kończące rok 1986 są już w druku i powinny pojawić się na rynku w najbliższym czasie. Tym samym wszystkie opóźnienia zostałyby nadrobione.

Do najciekawszych pozycji w wydanych dotychczas numerach należy zaliczyć pięć opowiadań Franka Herberta (autora „Diuny”), „Teatr” Edmunda Wnuka-Lipińskiego, „Kajomars” Wiktora Żwikiewicza, „Władzę szczurów” Rafała A. Żmiekiewicza, dwa opowiadania Roberta Silverberga oraz „Pierścienie chwały” Thomasa R. Duiskiego. W „Feniksie” pojawiła się też nowa rubryka, opatrzona nadtytułem „Książka i film”. Zamieszczane są tam (w całości lub we fragmentach) teksty literackie, na podstawie których zostały nakręcone sławne filmy fantastyczne oraz opracowania krytyczne dotyczące tych filmów.

„Feniksa” można jeszcze zaprenumerować pisząc do Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki (00-973 Warszawa, skr. pocz. 77).

Niestety, sytuacja z drugim periodykiem PSMF, „SFera”, przedstawia się trochę gorzej. Dotychczas ukazał się dopiero czwarty numer tego dwumiesięcznika. Pozostaje tylko wierzyć, że ze latum ciężące nad „SFerą” zniknie i opóźnienia zostaną nadrobione.

Konkurs plastyczny

Podlaski Klub Miłośników Fantastyki „Taurus” ogłosił pod patronatem PSMF konkurs malarstwa i grafiki SF, adresowany wyłącznie do uczniów średnich i wyższych szkół o profilu artystycznym. Przewidziane są liczne nagrody, najlepsze prace zostaną wystawione w Krakowie „Polcenu’87”. Zainteresowanych prosimy o szybki kontakt z Podlaskim KMF „Taurus” (15-089 Białystok ul. Kilińskiego 11, Spółdzielczy Dom Kultury).

Mak

Konkurs na short stories

Klub Twórców Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki ogłasza I Ogólnopolski Konkurs na Short Stories.

Nigdzie dotąd nie publikowane prace o objętości nie przekraczającej dwóch stron znormalizowanego maszynopisu, prosimy nadsyłać w trzech egzemplarzach w terminie do 30 kwietnia 1987 r. pod adresem: Klub Twórców PSMF, ul. Barcelońska 1, 02-762 Warszawa.

Prace konkursowe powinny być opatrzone gołdłem. Dane personalne autora należy podać w zaklejonej kopercie, opatrzonej tym samym gołdłem. Nadesłanych prac nie zwracamy. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa nadroczonych utworów.

(raz)

1974 (dokończenie)

986. MATERIALY z międzynarodowego spotkania pisarzy -- twórców literatury fantastyczno-naukowej. Poznań, 11-14 września 1973. Aut.: Elka Konstantinova [i in.]. Red. i przedm. Jerzy Kaczmarek i Bronisław Klezik. Wstęp Czesław Chruszczewski. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 269, nrb. 2, tabl. 4, portr. Rez., Sum. 2000 egz. -- Wyd. na zlecenie Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu i Urzędu Miasta Poznania. -- Na okł. tyt.: **MIĘDZYNA RODOWE spotkanie...**

987. SPEINA Jerzy: Bankructwo realności. Proza Brunona Schulza. Poznań. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 114, nrb. 2. Zsłg. 1000 egz. -- Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Prace Wydziału Filologiczno-Filozoficznego, t. 24, z. 1.

988. STĘPIEN Marian: Bruno Jasieński. Kraków. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 34, nrb. 2. 2 200 egz. PAN Oddział w Krakowie. Nauka dla Wszystkich, nr 222.

989. TREPKA Andrzej: Wizjoner kosmosu Konstanty Ciołkowski. Katowice. Wyd. „Śląsk”. 16° ss. 414, nrb. 6 tabl. 10, bibliogr. 10 000 egz.

„Zagadki nauki” (MS):

990. von DAENIKEN Erich: Wspomnienia z przyszłości. Nierozwiązane zagadki przeszłości. Tłum. [z niem.] Leonia M. Gradstein i Elguszu Kodur. Postowie Marek Marciniak i Olgierd Wołczek. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 174, nrb. 2, tabl. 15, bibliogr. 30 000 egz.

IŁOWIECKI M.: Nowy... -- zob. F.

FAKTY, hipotezy, zagadki. W: Kroki... -- zob. ASF.

LEM S.: Summa... -- zob. F.

991. (?) [LITINECKIJ Izot B.]: Spotkanie z bioniką. Tłum. z ros. Hanna Dobrowolska. Warszawa. Wiedza Powszechna. 8° ss. 484, nrb. 4. 10 000 egz. -- Złota Seria Literatury Popularnonaukowej („Wendowska”). Na k. tyt. nazw. aut.: I. Litniecki. -- Dotyczy m.in. „zagadek nauki” związanych z bioniką.

992. OPACZEWSKI Zbigniew: Hipnopedia. Nauczanie we śnie naturalnym. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 133, nrb. 3, bibliogr. 3000 egz.

Futurologia (F):

993. BRATKOWSKI Stefan: Przyszłość gatunku Homo sapiens. W: CZŁOWIEK wśród ludzi. Red. Halina Milczerowa. Warszawa. Wiedza Powszechna. 8° s. 577-651. 20 000 egz.

994. HUSEN Torsten: Oświata i wychowanie w roku 2000. Tłum. [z ang.] Józef Radzicki. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 142, nrb. 3. 5000 egz.

995. IŁOWIECKI Maciej: Nowy, niezbyt wspaniały świat. Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 457, nrb. 1. 10 000 egz. -- F/MS.

996. LEM Stanisław: Summa technologiae. Wyd. III. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 505, nrb. 2, bibliogr. 10 000 egz. -- F/MS.

997. LUBAS Bolestaw, PODWYSOCKI Tadeusz: Jutro kształtuje się Dzisiaj. Warszawa. Iskry. 16° ss. 170, nrb. 2, bibliogr. 10 000 egz.

998. SUCHODOLSKI Bogdan: Oświata i człowiek przyszłości. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 350, nrb. 2. 4000 egz.

999. SZPILEWICZ Aleksander: Surowce dla przyszłości. Paliwa i energia. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 161, nrb. 2, mapy. 10 000 egz. -- Prognozy. Perspektywy.

1000. TOEFFLER Alvin: Szok przyszłości. Tłum. [z ang.] Fiżbieta Ryszka i Wiktor Osiatyński. Przedmowa Jan Danecki. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 559, nrb. 5, bibliogr. 15 000 egz. -- Wersja skrócona, autoryzowana.

1975

SF dla dorosłych (ASF):

1001. ALDISS Brian W[ilson]: Nori stop. Tłum. [z ang.] Marek Wagner. Warszawa. Iskry. 16° ss. 316, nrb. 4. 50 000 egz. -- Fantastyka, Przygoda.

1002. AUDRY Colette: Ta druga planeta. W: Ta druga planeta [oraz Ageni]. Tłum. [z franc.] Ewa Fiszer. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° s. 5-120. 50 000 egz.

1003. BARDZO dziwny świat. Opowiadania fantastyczne. Aut.: Frederic Brown [i in.]. Tłum. z ang. i ros. Wyd. I w tym wyborze. [w metryczce mylnie III]. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 164, nrb. 4. 75 000 egz. -- Koliber -- Stanowi wybór z „Kroków w nieznane”. T.I. (poz. 703/70).

1004. BIOY CASARES Adolfo: Wynalazek Morcia. Prolog Jorge Luis Borges. Tłum. [z hiszp.] Andrzej Nowak. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 93, nrb. 3. 20 000 egz. -- Seria Fantastyki i Grozy. -- ASF/AF.

1005. BORUN Krzysztof: Próg nieśmiertelności. Warszawa. Iskry. 16° s. 236, nrb. 4. 30 000 egz. -- Fantastyka, Przygoda.

1006. CAPEK Karel: Inwazja jaszczyrów. Tłum. [z czesk.] Jadwiga Bufakowska. Wyd. III [w metryczce mylnie IV]. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 295, nrb. 1. 40 000 egz. -- Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej.

1007. CHRUSZCZEWSKI Czesław: Fenomen kosmosu. Powieść. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 317, nrb. 3. 15 000 egz. -- SF.

1008. CHRUSZCZEWSKI Czesław: Rok 10 000. Opowiadania fantastyczne. Wyd. II. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 342, nrb. 2. 20 000 egz. -- SF.

1009. DICK Philip K[indred]: Ubik. Tłum. [z ang.] Michał Ronikier. Postowie Stanisław Lem. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 268, nrb. 1. 20 000 egz. -- Stanisław Lem poleca.

1010. FIAŁKOWSKI Konrad: Kosmodrom. Warszawa. Iskry. 16° ss. 214, nrb. 2. 40 000 egz. -- Fantastyka, Przygoda -- Stanowi właściwie II wyd. „Wróble galaktyki”, uzupeł. opowiadaniem „Adam i Ewa”.

1011. GÓREC-ROSIŃSKI Jan: Reczka Diogenesa. W: Z nie domkniętych okien. Opowiadania. Gdańsk. Wyd. Morskie. 16° s. 121-191. 5000 egz.

1012. HOLI ANFK Adam: Muzyka dla was, chłopcy. Warszawa. Iskry. 16° ss. 201, nrb. 3. 20 000 egz. -- Fantastyka, Przygoda.

KOREYWO M.: Ludzie z planety... -- zob. CJSF.

1013. KOZŁOWSKI Tadeusz: Poślizg. Warszawa. Iskry. 16° ss. 233, nrb. 3. 20 000 egz. -- Fantastyka, Przygoda.

1014. LEM Stanisław: Odruch warunkowy. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 65, nrb. 3. 30 000 egz. -- Stało się Jutro. Opowiadania fantastycznych zbiorów czwarty.

1015. LEM Stanisław: Opowiadania wybrane. Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 452, nrb. 3. 30 000 egz. -- Zestaw ten sam, co w wyd. I, poz. 969/73.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

Ciężka sprawa z Szulkinem. Po „Golemie”, „Wojnie światów” i „O bi, o ba” – także najnowsze jego dokonanie – „Ga, ga – chwala bohaterom” to film fantastyczny. Za poprzednie zbierał reżyser nagrody na międzynarodowych fantastycznych festiwalach. Aż tu nagle, przyciśnięty przez poirytowanych dziennikarzy, wyznał na festiwalu w Gdańsku, że nie gustuje w konwencji SF i nie czuje się w niej kompetentny.

Niekompetentny? W konwencji fantastycznej? Rozumiem zastrzeżenia dziennikarzy, ale podzielam je tylko częściowo. Nie istnieje dziś nic jednoznacznie określonego, co mogłoby za taką konwencję uchodzić. Jeśli zaś konwencja istnieje, to Szulkin ją rozsada i przekracza. W porównaniu z popularnym wyobrażeniem kina SF jako logicznej opowieści o egzotycznych przestrzeniach, przemierzanych przez metaliczne krążowniki, wyposażone w perfekcyjne komputery, obsługiwane przez postacie w nienagannych skafandrach – dają nam filmy Szulkina zdecydowanie za mało. Albo za dużo.

Przyjrzyjmy się metodzie reżysera w ostatnim filmie, bowiem tutaj zdaje się ją doprowadzać do krańca. Stadien Dziesięciolecia udaje w „Ga, ga” lądowisko obcej planety. Zespół na śmieci staje się włazem kosmicznego krążownika. Komputer pokładowy wygląda jak piecyk, a w ewentualnym zebraniu rozproszonych myśli może mu pomóc uderzenie młotka zawieszzonego obok na sznurku. Przed odlotem w odległe przestrzenie heros kosmosu pije wódkę, a chorągiewka, którą miał zatknąć na nieznaną planetę zapowiedzią się już przed startem. Ktoś ją ukradł. Dla syna.

Gdzie my jesteśmy? Ano w pierwszej Szulkinowskiej komedii: „W XXI wieku, kiedy nikt już nie chce obierać trudnego i ryzykownego zawodu kosmonauty, zaczęto przymusowo wysyłać w kosmos więźniów, których zadaniem jest zdobywanie innych planet...”. Takie otwarcie czuć na miłą grę, ależ, aluzję i wice. Bo nie klasyką przecież, nie nawiązaniem do tradycji galunku. Bardzo daleko stąd do ekranizacji „2001: Odyseja Kosmiczna”, „Solaris”, „Star Trek”; niewiele bliżej filmów nowoczesnych, wyłamujących się z konwencji umownej jak „Koziorożec 1” czy „Blade Runner”.

Na dziwnej planecie ląduje bohater-więzień-Scope. Oczywiście nie jest to żadna Australia-458, tylko nasza Ziemia zamieszkała przez potworne ludzkie marionetki. Takie same jak Scope zostawił w swoim układzie i podobne do tych znanych z poprzednich filmów Szulkina. Tu są oni więźniami kłamliwych gestów, żyją biednie, a podniecają się zbrodnią, którą ktoś popełnia za nich i niejako w ich imieniu, a potem za karę kona na krzyżu-palu, dostarczając im jeszcze sadystycznej rozkoszy. Czy można w myśli jakiejś wyrodzonej metafizyki odkupić ich swoją męką? Tak czy owak pale wbite już w grunt czekają na bohater-skich zbrodniarzy, a w telewizji spikerzy opowiadają widzom o trudach umierania z kotkiem w tyłku. Bohaterów-zbrodniarzy tymczasem łuczy się, pieści, nakłania do przestępstw, zastawia na nich różne pułapki i podsuwa im piękne istoty płci odmiennej, jak bykom jałowki przed corridą.

Wszystko to jest potrzaskane, miodscami śmieszne, miejscami wsłone, gipsiar-skie, wyraźnie poklejone z różnych rzeczy i różnych inspiracji. Szulkin przyznaje się w czółówce do zapożyczeń z prozy Jabłońskiego i filmu „Ser” Pasoliniego. To drugie, to właściwie nowela filmowa, opowiadająca



Szulkinada!

o statystującym w filmie o Chrystusie gódomorze, który nadużywa rozkoszy stołu i potem jako jeden z ukrzyżowanych toturów naprawdę umiera na planie. Ale to jest zmyślowy trop, reżyser spowiada się z mniej ważnych zapożyczeń, by ukryć bardziej istotne. Za ową Australią-458 aż przebiegająca z podniecenia nogami na myśl o bohaterze, który narozrabia, a potem publicznie wyzionie ducha na owalnym stadionie – rozpoznaję przetworzonego po Szulkinowsku Kubę Rozpruwacza. Tego Kubę, którego bezceństwami nasładowali się mieszkańcy miasta przyszłości z noweli Hariana Ellisona „Grasujący w Mieście na Krawędzi Świata”. Kilka lat temu drukował nowelę „Przegląd Techniczny”. Szulkin musiał to czytać.

Trop jest wyraźny, ale Szulkin przerabia to i pokazuje po swojemu. Podobnie jak w „Wojnie światów” oglądamy tu znową telewizyjno-polityczną manipulację mającą za prowadzić bohatera na miejsce kaźni. Do daje Szulkin przerażającą, zniekształconą mistykę Krzyża, dodaje serię portretów małych i większych łajdaków, wśród których wyróżniają się grający na granicy dobrego smaku mistrz ceremonii w wykonaniu Stuhra i stanowczo już przerysowana prostytutka w wykonaniu Stalińskiej. A fantastyczność? – cóż, jak zwykle skapie Szulkin swój plan w podświetlonej niebieskiej mgiełce, a przez ulice miasta planety Australia-458 przejadą co jakiś czas tajemniczy motocykliści z pochodniami. Natomiast w miejsce Ellisonowskiego prucia flaków dostajemy hot-dogi z ludzkimi paluszkami w środku i ręce oderwane od torsów policjantów oraz inne jeszcze, które wyskakują z szafy, by chwycić bohatera za gardło. W tym z kolei znać dodatkową inspirację komiksem i filmem komiksopodobnym, które Szulkin oberzał, wydrwił, skonteslował, a jednocześnie pożywił się ich poetyką i ich makabrą.

Nic tu nie jest na serio. Nic nie dopowiedziano do końca. Reżyser rozluźnia reguły logiki za cenę gestu, efektu, chwilowej śmieszności. Nawet happy end przyklejono do tej nieforemnej opowieści sztucznie i na siłę, żeby przyciągnąć widzów. Zmęczony i bierny właściwie bohater (Olbrychski) spotkał nie zuzylą jeszcze, bo młodą i piękną Once (Figura): o nią jedną naprawdę

zawalczy i potem uciekną oboje „Poza Australia-458 żyć będą odtąd długo i szczęśliwie, dając początek nowej cywilizacji”. Wolne żarty. Prawdziwie w tym filmie konsekwentna jest tylko zaciekłość, z jaką reżyser wykpiwa, przedrzeźnia, kompromituje swoje człekokształtne istotki, niszając na nitkę epizody dowodzące ich małości, sprzedajności i fałszu. Wszystko zmarnują, spieprzą, nawet z Ofiary Krzyża zrobią wredną parodię. Szulkin mówi widzowi – tacy jesteście. Ale widzownia bodajże woli usłyszeć – takimi nas zrobiono. Dzięki temu elementarnemu niedogadaniu możliwy jest instytucjonalny i publiczny funkcjonowanie Szulkina.

W rzeczywistości film jest niespójny, w dokładnym czytaniu ujawnia duże nielogiczności. Mimo to ta koszmarna wizja przebrana za powiastkę filozoficzną ma się perswazyjną i jednak robi wrażenie. Szulkin idzie obok traktatu światowej SF, zdaje się przeprowadzać swoisty test na odporność gatunku na deformację, ale na razie stale wychodzi mu fantastyka. Raczej młoda fantastyka, w stylu zbliżona do punk, w każdym razie na pewno nie fantastyka Zajdłowska. Zajdel był nieskończenie bardziej od Szulkina precyzyjny, jego społeczne mechanizmy działają jak zegarki, a poza tym Zajdel nigdy nie tracił nadziei. Tej zaś Szulkin nie ma od dawna. Od początku.

Ciężka sprawa z Szulkinem. Odcina się od fantastów, trochę ich lekceważy, sądzi pewnie, że im zagrał na nosie, wypatruje więc widzów poza gettem SF, ale tak naprawdę trafia tylko do nas. My jedni tamci-my jego fantastyczne kody bez trudu. My jedni możemy mu wybaczyć odstępstwa od kanonu – poprawnie, gładko, polyskownie zrobionego filmu SF. W każdym razie możemy próbować. Znamy przecież te kanony na pamięć i tak bardzo w głębi ducha jesteśmy nimi znudzeni. Ale inni, jak stychać, nie mający naszego treningu, zaczynają już być znudzeni poetyką Szulkina.

Maciej Parowski

GA, GA – CHWAŁA BOHATEROM. Scenariusz i reżyseria: Piotr Szulkin. Zdjęcia: Edward Kłosowski. Grają: Daniel Olbrychski, Katarzyna Figura, Jerzy Stuhr, Bożena Dykiel, Mariusz Benoit, Marek Walczowski, Daria Stalińska i inni. Zespół „Perspektywa”, 1985.

COLLAPSE

